

listy
i
ci

LISTY
STAREGO DIABŁA
DO MŁODEGO



MEDIA RODZINA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Clive Staples Lewis

**Listy starego diabła
do młodego**

Przełożył
Stanisław Pietraszko

Media Rodzina

Tytuł oryginału: THE SCREWTAPE LETTERS

Copyright © 1942 C.S. Levis Pte Ltd

Copyright © 2005 for the Polish translation by Media Rodzina

Cover Art Copyright © 2005 by Media Rodzina

First published in English in 1952 by Geoffrey Bles,
in 1955 by Fontana Books in 1955
and in 1977 by Fount Paperbacks, an imprint of Harper-Collins Publishers.

Projekt okładki: Andrzej Barecki

Tekst na podstawie wydania IW Pax, Warszawa 1990

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki
– z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych
– możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I elektroniczne

ISBN 978-83-7278-712-5

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań

www.mediarodzina.pl

mediarodzina@mediarodzina.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Spis treści

Przedmowa do wydania dwudziestego czwartego

Przedmowa do wydania pierwszego

Motto

Listy starego diabła do młodego

Toast

Przypisy

Przedmowa

do wydania dwudziestego czwartego

Listy *Screwtape'a* opublikowano w czasie II wojny światowej w czasopiśmie „Guardian” (które obecnie już się nie ukazuje). Mam nadzieję, że nie przyspieszyły końca tego czasopisma, ale na pewno pozbawiły go jednego ze stałych czytelników. Pewien wiejski duchowny napisał do redaktora czasopisma, że rezygnuje z prenumeraty, a uzasadnił to tym, że „znaczna część porad udzielanych w tych listach wydawała mu się nie tylko błędna, lecz zdecydowanie diaboliczna”.

Generalnie jednak *Listy* spotkały się z przyjęciem, o jakim nigdy nie śniłem. Recenzje były albo pochwalne, albo pełne takiej irytacji, jaka przekonuje autora, że trafił w sedno; liczba sprzedawanych egzemplarzy była od początku — według moich kryteriów — ogromna i nadal utrzymuje się na takim poziomie.

Oczywiście, powodzenie sprzedaży nie zawsze odpowiada temu, czego autorzy oczekują. Gdyby wnioskować o poczytności *Pisma Świętego* w Anglii na podstawie liczby sprzedawanych egzemplarzy, można by dojść do bardzo błędnych wniosków. Podobnie — zachowując wszelkie proporcje — ma się sprawa z *Listami Screwtape'a*. Jest to rodzaj książki, którą obdarowuje się chrześniaków: rodzaj lektury, która bywa czytana na głos podczas dni skupienia. Jest to nawet, co zauważyłem z gorzkim uśmiechem, rodzaj lektury grawitującej w kierunku gościnnych pokoi sypialnych, by tam wieść niczym nie zakłócony żywot w towarzystwie takich pozycji, jak *Poradnik drogowca*, *John Inglesant* czy *Życie pszczoł*. Czasami kupowana bywa z powodów jeszcze bardziej upokarzających. Jedna z moich znajomych zauważyła, że młodziutka praktykantka, która w szpitalu podawała jej termofor, czytała *Listy Screwtape'a*. Odkryła również, dlaczego. „Widzi pani — powiedziała dziewczyna — ostrzeżono nas, że na egzaminach, po pytaniach merytorycznych i technicznych, siostry przełożone i inne osoby pytają czasem o ogólne zainteresowania. Najlepiej jest powiedzieć, że się coś czytało. Więc dali nam wykaz około dziesięciu książek, które zazwyczaj uchodzą za dość dobre, i powiedzieli, że powinniśmy przeczytać

przynajmniej jedną z nich”. „I ty wybrałaś *Listy Screwtape’a*?” „No tak, oczywiście, były najciemniejsze”.

Mimo to, jeśli pominąć tego rodzaju nietypowe przypadki, książka ta miała na tyle licznych prawdziwych czytelników, że warto odpowiedzieć na niektóre pytania, jakie jej lektura wzbudziła w ich umysłach. Najczęściej stawiane mi pytanie to: czy ja rzeczywiście „wierzę w Diabła”.

Otóż, jeśli przez określenie „Diabeł” rozumiemy moc przeciwną Bogu i, jak Bóg, samoistną od początku wszech czasów, to odpowiedź brzmi oczywiście „Nie”. Poza Bogiem nie istnieje żadna istota, która nie byłaby stworzona. Bóg nie posiada istoty przeciwstawnej. Żadna istota nie mogłaby osiągnąć stanu „doskonałego zła” przeciwstawnego doskonałemu dobru Boga; bo gdybyśmy usunęli na bok wszelkie jej rzeczy dobre (inteligencję, pamięć, energię i samo istnienie), nic by z niej nie pozostało.

Poprawnie postawione pytanie brzmi: czy ja wierzę w diabły. Tak, wierzę. To znaczy, wierzę w istnienie aniołów i wierzę, że niektóre z nich przez nadużycie swej wolnej woli stały się wrogami Boga i, w następstwie tego, naszymi wrogami. Anioły te możemy nazywać diabłami. Nie różnią się one w swej naturze od dobrych aniołów, lecz natura ich jest zdeprawowana. D i a b e ł jest przeciwieństwem a n i o ł a tylko w takim znaczeniu, jak Zły Człowiek jest przeciwieństwem Dobrego Człowieka. Szatan, przywódca diabłów lub ich dyktator, jest przeciwieństwem nie Boga, lecz Michała Archaniola.

Wierzę w to nie w tym sensie, że jest to częścią mojej wiary, lecz że jest to jedno z moich przekonań. Moja religia nie ległaby w gruzach, gdyby to przekonanie okazało się fałszywe. Dopóki to nie nastąpi — a dowodów, które by temu zaprzeczały, daremnie by szukać — zachowam je. Wydaje mi się, że wyjaśnia ono sporo faktów. Zgadza się z normalnym pojmowaniem Pisma Świętego, z tradycją chrześcijańską i z wierzeniami większości ludzi wszech czasów. Nie jest również sprzeczne z niczym, co byłoby przez którąkolwiek z nauk udowodnione.

Powinno być rzeczą zbyteczną — choć nie jest — dodanie, że wiara w anioły dobre czy złe nie oznacza wiary w takie anioły, jedne czy drugie, jakie przedstawia się w sztuce i literaturze. Diabły przedstawia się ze skrzydłami nietoperza, a dobre anioły ze skrzydłami ptaków nie

dlatego, by ktokolwiek sądził, że moralne zepsucie mogłoby zamienić pióra w błony, lecz dlatego, że większość ludzi lubi bardziej ptaki od nietoperzy. W ogóle skrzydła daje im się po to, by sugerować lotność nieskrępowanej energii intelektualnej. Nadaje im się ludzką postać, ponieważ człowiek jest jedynym rozumnym stworzeniem, jakie znamy. Stworzenia stojące w porządku naturalnym wyżej od nas, niematerialne czy też przybierające jakąś postać cielesną niedostępną naszemu poznaniu, muszą być przedstawiane symboliczne, jeśli w ogóle mają być przedstawiane.

Postacie te nie tylko są symboliczne, lecz zawsze były uważane za symboliczne przez myślących ludzi. Grecy nie wierzyli w to, że bogowie naprawdę podobni byli do postaci ludzkich o pięknych kształtach nadanych im przez rzeźbiarzy. W ich poezji bóg, który chce się „ukazać” śmiertelnikowi, przyjmuje chwilowo postać podobną do człowieka. Teologia chrześcijańska prawie zawsze przedstawiała „ukazanie się” anioła w ten sam sposób. To tylko ignorantom — jak powiada Dionizjusz w V wieku — śni się, że duchy są naprawdę uskrzydłonymi ludźmi.

W sztukach plastycznych symbole te ulegały stopniowej degeneracji. Twarze i pozy aniołów Fra Angelica mają w sobie pokój i powagę nieba. Później pojawiają się puciołowate nagie aniołki Rafaela; na koniec zaś delikatne, wysmukłe, dziewczęce, niosące pociechę anioły dziewiętnastowiecznej sztuki, o kształtach tak niewieścich, że przed zmysłowością chroni je tylko ich totalna nuda — oziębłe hurysy rajskiej atmosfery towarzyskiej przy herbatce. Są one symbolem destruktywnym. W Piśmie Świętym nawiedzenie anioła jest zawsze czymś zatrważającym; musi ono zaczynać się od słów „Nie trwóż się”. Anioł wiktoriański wygląda tak, jak gdyby miał zamiar powiedzieć „Dobrze już, dobrze”.

Symbole literackie kryją w sobie większe niebezpieczeństwo, ponieważ ich symboliczność nie jest tak łatwo rozpoznawalna. Najlepsze są u Dantego. Przed jego aniołami zamieramy przejęci grozą. Jego diabły — jak słusznie zauważył Ruskin — są w swej furii, złośliwości i rozpasaniu o wiele bardziej tym, czym muszą być w rzeczywistości, niż którekolwiek z tych, które spotykamy u Milтона. Diabły Milтона, przez swą majestatyczność i wzniosłą poetyckość, wyrządziły wiele szkody, a jego anioły zbyt wiele zawdzięczają Homerowi i Rafaelowi. Lecz naprawdę zgubnym obrazem diabła jest Mefistofeles Goethego. To Faust,

a nie on, manifestuje bezwzględne, czujne, pozbawione uśmiechu koncentrowanie się na samym sobie, co jest znamieniem Piekła. Pełen humoru, ucywilizowany, rozsądny, umiejący się dostosować do sytuacji Mefistofeles przyczynił się do umocnienia iluzji, jakoby zło miało wartość wyzwalającą.

Prosty człowiek może czasem uniknąć jakiegoś jednostkowego błędu, który przydarzył się komuś wybitnemu, dlatego postanowiłem, że moja własna symbolika nie powinna błędzić tak jak symbolika Goethego. Humor bowiem wprowadza zmysł proporcji i daje możliwość spojrzenia na siebie od zewnątrz. Czegokolwiek byśmy nie przypisywali istotom, które zgrzeszyły przez pychę, właśnie tego nie powinniśmy im przypisywać. Szatan — powiedział Chesterton — upadł na skutek własnej ważności. Piekło musimy przedstawiać jako stan, gdzie każdy jest wiecznie zajęty swoją własną godnością i awansem, każdy ma do kogoś pretensje i gdzie każdy pochłonięty jest śmiertelnie poważnymi uczuciami zazdrości, własnej ważności i urazy. To przede wszystkim. Poza tym sądzę, że mój własny dobór symboli uwarunkowany był usposobieniem i wiekiem.

O wiele bardziej lubię nietoperze niż biurokratów. Żyję w Wieku Zarządzania, w świecie „Admin”. Największe zło nie dzieje się obecnie w owych nędznych „spelunkach przestępstwa”, które lubił opisywać Dickens. Nawet nie w obozach koncentracyjnych i obozach pracy. Tam spotykamy się z jego końcowym rezultatem. Rodzi się ono i jest wprowadzane w życie (wnioskowane, popierane, wykonywane i protokolowane) w schludnych, wyłożonych dywanami, ogrzanych i dobrze oświetlonych biurach, przez spokojnych ludzi w białych kołnierzykach, z przyciętymi paznokciami i gładko wygolonymi policzkami, którzy nie muszą podnosić głosu. Stąd, rzecz dość naturalna, moim symbolem Piekła jest coś w rodzaju biurokracji państwa policyjnego lub biura do cna znikczemniałego koncernu przemysłowego.

Milton powiedział nam, że „diabeł z diabłem, przeklęci, żyją w mocnej zgodzie”. Lecz jak? Na pewno nie z przyjaźni. Istota, która choć trochę potrafi kochać, nie jest jeszcze diabłem. I tutaj znów mój symbol wydał mi się użyteczny. Pozwolił mi, przy pomocy doczesnych paraleli, na opisanie biurokratycznej społeczności, trzymanej całkowicie w ryzach za pomocą strachu i chciwości. Na zewnątrz zachowanie jest normalnie uprzejme. Niegrzeczność w stosunku do przełożonego byłaby oczywiście

samobójstwem; okazanie nieuprzejmości równemu sobie mogłoby obudzić jego czujność, zanim będzie się gotowym wysadzić go z siodła, bo oczywiście, zasadą leżącą u podłoża całej tej organizacji jest „niech się psy wzajemnie zagryzają”. Każdy życzy każdemu kompromitacji, degradacji i zguby; każdy jest ekspertem w pisaniu poufnych donosów, w pozorowanych sojuszach, we wbijaniu noża w plecy. Nad tym wszystkim ich dobre maniere, ich wyrazy pełne szacunku, ich „uznanie” dla świadczonych sobie wzajemnie bezcennych przysług tworzą cieniutką powłokę. Od czasu do czasu bywa ona nakłuwana i wówczas tryska z wewnątrz paląca lawa ich nienawiści.

Symbol ten umożliwił mi również pozbycie się absurdu mniemania, jakoby diabły zajęte były bezinteresownym poszukiwaniem czegoś, co nazywa się Zło (wielka litera jest tu istotna). W przypadku moich diabłów nie ma miejsca na żadne tego rodzaju zwidy. Żli aniołowie, tak jak źli ludzie, są całkiem praktyczni. Kierują się dwoma motywami. Pierwszym jest strach przed karą: bo podobnie jak kraje totalitarne mają swoje obozy dla zadawania tortur, tak moje Piekło posiada głębsze Piekła, swoje „domy poprawcze”. Drugi motyw to swoisty głód. Wyobrażam sobie, że diabły mogą, w sensie duchowym, pożerać jeden drugiego; i nas. Nawet w życiu ludzkim spotyka się namietność skierowaną na zdominowanie, prawie że na przetrwanie, drugiego człowieka; na dążenie do tego, by całe jego intelektualne i emocjonalne życie uczynić jedynie przedłużeniem własnego życia — po to, by uzewnętrznić własną nienawiść, żywić własne urazy, dawać upust własnemu egoizmowi poprzez tego drugiego człowieka, tak jak poprzez siebie. Jego własny mały zasób namietności musi być wyrugowany, by zrobić miejsce naszym. Jeśli on się temu opiera, postępuje bardzo egoistycznie.

Na Ziemi pożądanie to nazywa się często „miłością”. Wyobrażam sobie, że w Piekło znane to jest jako głód. Lecz tam głód jest bardziej drapieżny i możliwe jest pełniejsze jego zaspokojenie. Sugeruję, że tam duch mocniejszy — nie istnieje tam być może żadna forma ciała, która utrudniałaby tę operację — może rzeczywiście i ostatecznie wessać w siebie słabszego i permanentnie sycić własną osobowość tą drugą pogwałconą osobowością. I to z tego powodu (tak mniemam) diabły pożądają ludzkiej duszy i duszy innych diabłów. I to z tej przyczyny Szatan pożąda wszystkich swych wyznawców i wszystkich synów Ewy,

i wszystkich zastępów niebieskich. Śni on o dniu, kiedy wszystko wchłonie w siebie i kiedy wszystko, co wymawia „Ja”, będzie mogło to czynić tylko poprzez niego. Domyślam się, że jest to parodia — imitująca nadętego pajaka, jedyna imitacja, którą potrafi on zrozumieć — tej niezgłębionej wielkoduszności, mocą której Bóg zmienia narzędzie w sługi, a sługi w swych synów, by mogli się z Nim ostatecznie zjednoczyć w doskonale wolnej miłości ofiarowanej Mu z wyżyn ich całkowicie odrębnych indywidualności, których po to, aby takimi byli, wyzwolił.

Lecz, tak jak w opowiadaniach Grimma^[1], *das träumte mir nur*, wszystko to pełni tylko rolę mitu i symbolu. I dlatego pytanie o to, jakie jest moje zdanie na temat diabłów — aczkolwiek należy na nie odpowiedzieć, skoro zostało postawione — ma w gruncie rzeczy bardzo znikome znaczenie dla czytelnika *Listów Screwtape’a*. Dla tych, którzy podzielają moje zdanie, moje diabły będą symbolami konkretnej rzeczywistości; dla innych będą personifikacją pojęć abstrakcyjnych, a książka będzie alegorią. Lecz nie robi to większej różnicy, w jaki sposób będzie się ją czytać. Bo celem jej, rzecz jasna, nie było uprawianie spekulacji na temat życia diabłów, lecz rzucenie z nowego punktu widzenia wiązki światła na życie ludzi.

Słyszałem, że nie jestem w tej materii pierwszy i że już ktoś w siedemnastym wieku napisał listy do diabła. Nie miałem tej książki w ręku. Przypuszczam, że jej treść miała charakter raczej polityczny. Lecz chętnie przyznaję się do zawdzięczenia czegoś książce Stephena McKenny *Confessions of a Well-Meaning Woman*. Związek może nie być oczywisty, lecz można tam znaleźć taką samą moralną inwersję — rzeczy czarne jako zupełnie białe, a białe zupełnie czarne — i humor wynikający z faktu przemawiania poprzez całkowicie pozbawioną humoru *personę*. Myślę, że mój pomysł duchowego kanibalizmu przypuszczalnie zawdzięcza coś okropnym scenom „absorbowania” w zapomnianej już książce Davida Lindsaya *Voyage to Arcturus*.

Imiona moich diabłów wzbudzały dość duże zaciekawienie i było wiele prób wyjaśnień — wszystkie błędne. Prawda jest taka, że zmierzałem tylko do tego, aby uczynić je niemiłymi — i tutaj, być może, mam coś do zawdzięczenia Lindsayowi — jeśli chodzi o brzmienie. Z chwilą gdy imię zostało już wynalezione, mogłem spekulować, jak każdy inny (nie

będąc bardziej uprawniony niż ktokolwiek inny) fonetycznymi skojarzeniami, które powodowały nieprzyjemny efekt. Wyobrażam sobie, że słowa *Scrooge*, *screw*, *thumbscrew*, *tapeworm* i *red tape*, wszystkie odgrywają jakąś rolę w imieniu mego bohatera^[2] i że *slob*, *slobber*, *slubber* i *gob* weszły wszystkie do imienia Slubgob^[3].

Niektórzy prawią mi niezasłużone komplementy, sugerując, że moje *Listy* były dojrzłym owocem wieloletnich studiów w zakresie teologii moralnej i ascetycznej. Zapominają, że istnieje równie niezawodny, choć cieszący się mniejszym zaufaniem, sposób poznania, jak odbywa się kuszenie. „Me serce — nie potrzeba mi innych — ukazuje mi niegodziwość tego, co grzeszne”.

Często proszono mnie czy doradzano, bym uzupełnił napisane pierwotnie *Listy*, lecz przez wiele lat nie miałem do tego najmniejszej ochoty. Chociaż nigdy nie napisałem niczego z większą łatwością, to jednak również nigdy nie pisałem niczego z mniejszym zapalem. Łatwość ta wynikała niewątpliwie z faktu, że pomysł listów diabolicznych, z chwilą gdy się nad nim zastanowić, rozwija się już dalej samorzutnie, podobnie jak pomysł z liliputami i olbrzymami u Swifta czy medyczo-etyczna filozofia w książce *Erewhon* czy Garuda Stone u Ansteya. Pomysł taki poniósłby autora nawet przez tysiąc stronic, gdyby mu pofolgować. Lecz mimo iż było rzeczą łatwą nagiąć swój umysł do przyjęcia postawy diabolicznej, nie było to zabawne, w każdym razie nie na dłuższą metę. Związany z tym wysiłek powodował swego rodzaju duchowe odrętwienie. Świat, w który musiałem się przenieść, przemawiając przez Screwtape’a, był pełen pyłu, piasku, pragnienia i rozdrażnienia. Każdy ślad piękna, świeżości i łagodności musiał być z niego wykluczony. Zanim skończyłem pisanie, atmosfera ta omal mnie nie zadusiła. Gdybym je kontynuował, zadusiłaby moich czytelników.

Ponadto żywiłem do mojej książki żal za to, że nie była inną książką, taką której nikt nie będzie mógł napisać. W sytuacji idealnej rady Screwtape’a, kierowane do Piołuna, winny być zrównoważone radami archanielskimi, skierowanymi do opiekującego się pacjentem anioła stróża. Bez tego obraz ludzkiej egzystencji jest zniekształcony. Lecz któż byłby w stanie wypełnić tę lukę? Nawet gdyby ktoś — a musiałyby być kimś o wiele lepszym ode mnie — potrafił wznieść się na wymagane wyżyny duchowe, to jakim „adekwatnym stylem” mógłby się posłużyć?

Bo styl ten byłby w istocie częścią treści. Same porady to jeszcze za mało; każde zdanie musiałoby mieć w sobie zapach Nieba. A w dzisiejszych czasach, gdyby nawet ktoś potrafił posługiwać się prozą jak sam Traherne, nie pozwolono by mu, bo kanon „funkcjonalizmu” pozbawił literaturę możliwości pełnienia połowy jej funkcji. (Istotnie, każdy ideał stylu dyktuje nam nie tylko, jak powinniśmy opisywać rzeczy, lecz jaki rodzaj rzeczy możemy opisywać).

Z czasem, w miarę upływu lat i w miarę jak wspomnienia tej dusznej atmosfery towarzyszącej pisaniu *Listów* zacierały się w pamięci, zaczęły przychodzić mi do głowy różne pomysły, które domagały się jakoś potraktowania ich w stylu listów Screwtape’a. Postanowiłem sobie, że nigdy już nie napiszę dodatkowego *Listu*. Pomysł napisania czegoś takiego jak wykład lub „przemówienie” błąkał się niewyraźnie w mojej głowie, co jakiś czas odżywając, to znów popadając w zapomnienie, lecz pozostawał ciągle niezrealizowany. Potem nadeszło zaproszenie od „The Saturday Evening Post” — i to było naciśnięciem jęczyczka spustowego.

C.S. Lewis

Magdalene College, Cambridge
18 maja 1960

Przedmowa

do wydania pierwszego

Nie mam zamiaru tłumaczyć, jakim sposobem korespondencja, którą obecnie ofiarowuję publiczności, wpadła w moje ręce.

Jeśli chodzi o diabły, istnieją dwa równie wielkie, a równocześnie przeciwstawne sobie błędy, w które może popaść nasze pokolenie. Jednym z nich jest niewiara w ich istnienie. Drugim wiara i przesadne, a zarazem niezdrowe interesowanie się nimi. One same są jednakowo zadowolone z obu błędów i z tą samą radością witają zarówno materialistę, jak i magika. Sposób pisania, użyty w tej książce, może sobie łatwo przyswoić i spożytkować każdy, kto raz zapoznał się z tą sztuką. Jednakowoż osoby niewłaściwie usposobione lub pobudliwe, które mogłyby zrobić z tego zły użytek, niech się jej ode mnie nie uczą.

Radzę czytelnikom nie zapominać, że diabeł jest kłamcą. Jest rzeczą oczywistą, że nie wszystko, co Krętacz^[4] mówi, jest prawdą; nawet z jego własnego punktu widzenia. Nie próbowałem utożsamiać którejkolwiek z ludzkich istot wzmiankowanych w listach; lecz wydaje mi się mało prawdopodobne, aby portrety takiego na przykład Fr. Spike'a lub matki pacjenta były całkowicie wierne. W Piekło, podobnie jak na Ziemi, istnieją sądy oparte na pragnieniach.

Na zakończenie muszę dodać, że nie usiłowałem ustalić chronologii listów. Okazuje się, że list numer 17 był napisany przed wprowadzeniem ścisłych ograniczeń żywnościowych. Lecz na ogół diabelska metoda oznaczania czasu zdaje się nie pozostawać w żadnym stosunku do czasu ziemskiego i nie usiłowałem jej odtworzyć. Historia wojny europejskiej, poza wypadkami, które od czasu do czasu dotyczyły duchowego stanu pojedynczej ludzkiej istoty, wyraźnie nie interesowała Krętacza.

C.S. Lewis

Magdalen College

5 lipca 1941

*Najlepszym sposobem wypłoszenia diabła,
jeśli nie ustąpi przed słowami Pisma,
jest wydrwić go i wykpić,
ponieważ nie może on znieść pogardy.*

Marcin Luter

*Diabeł... pyszny duch... nie może znieść,
gdy się z niego drwi.*

Tomasz More

Mój drogi Piołunie

Dostrzegam, o co Ci chodzi w tym, co mi donosisz o kierowaniu lekturą Twego pacjenta i trosce, by dużo przestawał ze swym przyjacielem, materialistą. Lecz czy nie jesteś odrobinę *n a i w n y*? Wygląda to bowiem tak, jak gdybyś przypuszczał, że *a r g u m e n t* jest skutecznym środkiem, aby go trzymać z dala od szponów Nieprzyjaciela. Mogłoby tak być, gdyby żył kilka wieków wcześniej. W tamtych bowiem czasach ludzie orientowali się jeszcze doskonale czy jakaś rzecz jest udowodniona, czy nie; a jeśli coś było udowodnione, to rzeczywiście w to wierzyli. Myślenie łączono wówczas jeszcze z czynem i z gotowością zmiany sposobu życia w zależności od wyniku przeprowadzonych rozumowań. Lecz dzięki prasie codziennej i innym podobnym środkom oddziaływania w znacznej mierze zmieniliśmy ten stan rzeczy. Twój pacjent już od wczesnej młodości przywykł do tuzina kłębiących mu się w głowie i sprzecznych z sobą teorii filozoficznych. Doktryny w jego pojęciu nie dzielą się w pierwszym rzędzie na „prawdziwe” lub „fałszywe”, lecz na „akademickie” lub „praktyczne”, „przeżyte” lub „współczesne”, „konwencjonalne” lub „bezwzględne”. Żargon, nie argument jest Twoim najlepszym sprzymierzeńcem w utrzymaniu go z dala od Kościoła. Nie trać czasu na przekonywanie go, że materializm jest *p r a w d z i w y*! Zapewnij go, że jest silny, nieugięty, odważny — że jest filozofią przyszłości. Te rzeczy bowiem są dla niego istotne.

Kłopot z argumentowaniem polega na tym, że cała walka przenosi się wówczas na własny teren Nieprzyjaciela. On również potrafi przytaczać argumenty, natomiast w propagandzie naprawdę praktycznej, takiej, jaką ja sugeruję, okazał się w ciągu stuleci daleko mniej sprawny od Naszego Ojca z Otchłani. Przez sam akt argumentowania rozbudzasz u swego pacjenta zdolność rozumowania, a skoro raz zostanie rozbudzona, któż zdoła przewidzieć następstwa? Nawet gdyby jakiś szczególny tok myśli pacjenta dało się w końcu obrócić na naszą korzyść, to staniesz przed

faktem, że wzmocniłeś w Twym pacjencie fatalny zwyczaj zwracania uwagi na wnioski o charakterze ogólnym, a odwróciłeś jego uwagę od fali bezpośrednich doznań zmysłowych. W Twoim interesie leży, aby przykuć jego uwagę do tych bezpośrednich doznań. Naucz go, by nazwał to „życiem realnym” i nie dozwól mu zastanawiać się nad tym, co rozumie przez słowo „realny”.

Pamiętaj, że nie jest on, tak jak Ty, wyłącznie duchem. Nigdy nie będąc człowiekiem (och, ta niezdolność przewaga Nieprzyjaciela!), nie zdajesz sobie sprawy, jak dalece ulegają oni presji zwyczajności. Miałem niegdyś pacjenta, zdeklarowanego ateistę, który miał zwyczaj studiować w czytelni British Museum. Pewnego dnia, gdy tak siedział zaczytany, spostrzegłem, że tok jego myśli zaczyna zbaczać na złą drogę. Nieprzyjaciel naturalnie w jednej chwili znalazł się przy nim. Zanim się zorientowałem w sytuacji, ujrzałem, że dzieło dwudziestu lat mej pracy zaczyna się chwiać. Gdybym był stracił głowę i usiłował bronić się przy pomocy argumentów, byłbym zgubiony. Lecz nie byłem na tyle nierozsądny. Uderzyłem momentalnie w to, co w nim było najbardziej pod moją kontrolą i podszeptnąłem, że jest już najwyższy czas na drugie śniadanie. Nieprzyjaciel uczynił przypuszczalnie przeciwną propozycję (wiesz, jak nie można nigdy c a ł k o w i c i e podsłuchać, co On mówi), mianowicie że sprawa ta jest ważniejsza od posiłku. Przynajmniej sędzę, że takie musiało być jego pociągnięcie, skoro bowiem powiedziałem: „Rzeczywiście, sprawa z b y t jest doniosła, by się do niej o takiej porze zabierać” — pacjent znacznie się rozpogodził, w chwili zaś, gdy dodałem: „O wiele lepiej przyjść tu z powrotem po śniadaniu i zastanowić się nad tym z świeżym umysłem” — on był już w połowie drogi do drzwi. Skoro już raz znalazł się na ulicy, walka była wygrana. Pokazywałem mu gazeciarza wykrzykującego tytuł południowego dziennika i przejeżdżający autobus nr 73, tak że zanim zszedł ze schodów, wtłoczyłem mu w głowę niezachwiane przekonanie, że jakiegokolwiek dziwaczne myśli mogłyby przyjść do głowy człowiekowi zamkniętemu samotnie wśród książek, to zawsze zdrowa dawka „realnego życia” (przez co on rozumiał autobus i gazeciarza) wystarcza, aby wykazać, że wszelkie „tego rodzaju sprawy” po prostu nie mogą być prawdziwe. Zdawał sobie sprawę z tego, że znajdował się wówczas na niebezpiecznym zakręcie i w późniejszych latach chętnie wspominał o „tym subtelny wyczuciu aktualności, które jest naszym ostatecznym zabezpieczeniem przez

zboczeniami czystej logiki”. Obecnie jest już bezpieczny w domu Naszego Ojca.

Czy zaczynasz rozumieć, na czym rzecz polega? Dzięki procesom, któreśmy w nich zapoczątkowali przed wiekami, jest dla nich rzeczą prawie niemożliwą wierzyć w rzeczy nieznane wtedy gdy to, co znane, znajduje się przed ich oczyma. Narzucaj mu ciągle z w y c z a j n o ś ć rzeczy. Nade wszystko nie próbuj stosować nauki (mam na myśli naukę prawdziwą) jako środka obrony przed chrześcijaństwem. Z całą pewnością pobudziłoby go to do myślenia o rzeczywistości, której nie może ani dotknąć, ani zobaczyć. Podobne żałosne wypadki zdarzyły się już wśród współczesnych filozofów. Jeśli już Twój pacjent musi parać się wiedzą, to zwróć jego uwagę na ekonomię i socjologię: nie pozwól mu wydostać się z kręgu tego bezcennego „realnego życia”. Lecz najlepsze z tego wszystkiego — to nie pozwolić mu w ogóle na studiowanie żadnych prac naukowych, ale wpoić mu nacechowane pewnością ogólne przekonanie, że on to wszystko zna i że wszystko, co uda mu się zdobyć w przypadkowej rozmowie czy lekturze, jest „rezultatem nowoczesnych badań”. Pamiętaj, że jesteś tam po to, by go ogłupiać. Natomiast ze sposobu rozumowania niektórych z was, młodych diabłów, można by sądzić, że naszym zadaniem jest n a u c z a ć.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Z wielką przykrością dowiaduję się, że Twój pacjent został chrześcijaninem. Nie łudź się nadzieją, że unikniesz zwykłych w takich wypadkach kar; przypuszczam, że w momentach powodzenia taka ewentualność nie przysłaby Ci nawet na myśl. Tymczasem musimy wykorzystać sytuację do ostatnich możliwości. Nie ma potrzeby rozpaczać. Setki tego rodzaju dorosłych konwertytów po krótkim pobycie w obozie Nieprzyjaciela udało się odzyskać i obecnie znajdują się u nas. Na razie wszystkie n a w y k i pacjenta, zarówno umysłowe jak i cielesne, są w dalszym ciągu dla nas korzystne.

W tej chwili jednym z naszych wielkich sprzymierzeńców jest sam Kościół. Lecz nie zrozum mnie źle. Nie mam na myśli takiego Kościoła, jak my go widzimy, rozpostartego wszędzie w czasie i przestrzeni, zakorzenionego w wieczności, groźnego jak armia z rozwiniętymi sztandarami. Przyznaję, że to jest widok, który niepokoi naszych najodważniejszych kusicieli. Na szczęście jest to zupełnie niewidoczne dla tych ludzkich istot. Wszystko, co Twój pacjent widzi, to na wpół wykończona pseudogotycka budowla, wzniesiona na miejscu świeżo zajęтым pod budowę. Wchodząc do wnętrza, spostrzega miejscowego kupca z układnym wyrazem twarzy zachwalającego lśniąca książeczkę zawierającą liturgię, której żaden z nich nie rozumie, oraz inną, tandetną książczyne, zawierającą zniekształcony tekst szeregu pieśni religijnych, w większości lichych i do tego pisanych bardzo drobnym drukiem. Gdy siada w swej ławce i spogląda wokół siebie, widzi właśnie galerię tych sąsiadów, których do tej pory unikał. W nich powinieneś znaleźć sprzymierzeńców. Spraw, by myśl jego wędrowała tam i z powrotem pomiędzy takim wyrażeniem jak „Ciało Chrystusowe” a twarzami ludzi z najbliższej ławki. To oczywiście jest mało ważne, jakiego rodzaju ludzie naprawdę siedzą w tej ławce. Ty sam możesz orientować się, że któryś z nich jest wielkim wojownikiem po stronie Nieprzyjaciela. To nie

szkodzi. Twój pacjent, dzięki naszemu Ojcu z Otchłani, jest głupcem. Byle tylko niektórzy z tych sąsiadów śpiewali fałszywym głosem lub mieli skrzypiące buty, podwójny podbródek albo dziwaczną odzież, pacjent Twój z łatwością nabierze przekonania, że wobec tego religia ich musi być w pewnym stopniu niedorzeczna. Jak widzisz, w obecnym stanie pacjent wyrobił sobie wyobrażenie o „chrześcijanach”, które uważa za uduchowienie, lecz faktycznie jest ono w wysokim stopniu powierzchowne, zaczerpnięte ze starych obrazów. Jego wyobrażenia roi się od tóg, sandałów, zbroi i obnażonych goleni, a prosty fakt, że inni ludzie w kościele noszą strój nowoczesny, jest dla niego prawdziwą, chociaż oczywiście nieuświadomioną trudnością. Nigdy nie dopuść, aby się w tym zorientował. Nie pozwól mu nigdy zadać sobie pytania, czego oczekiwał on po ich wyglądzie. Przypilnuj, aby wszystkie jego wyobrażenia były mgliste, a będziesz się miał czym zabawiać przez całą wieczność, wytwarzając w nim ten szczególny rodzaj jasności, której dostarcza Piekło.

Wykorzystaj więc, ile możesz, chwile rozczarowania lub depresji, które niewątpliwie przyjdą na pacjenta podczas jego pierwszych tygodni przynależności do Kościoła. Nieprzyjaciół dopuszcza takie rozczarowanie na progu każdego ludzkiego zamierzenia. Zjawia się ono, kiedy chłopiec, oczarowany niegdyś w dzieciennym pokoju opowiadaniem z *Odysei*, zamierza na serio uczyć się greki. Zdarza się zakochanym, którzy się pobrali i stają przed realną perspektywą wspólnego życia. W każdej dziedzinie życia znaczy ono przejście od marzycielskich aspiracji do pracowitego działania. Nieprzyjaciół podejmuje to ryzyko, gdyż ma On osobliwą fantazję czynienia z tej wstrętnej, nikczemnej ludzkiej gawiedzi swych, jak On to nazywa, „wolnych” wielbicieli i sług; „synowie” — to określenie, którego używa, mając dziwaczne a uporczywe upodobanie w degradowaniu duchowego świata przez Swe nienaturalne związki z dwunożnymi zwierzętami. Szanując ich wolność, nie chce ich doprowadzać jedynie uczuciem i przyzwyczajeniem do któregośkolwiek z celów, jakie przed nimi stawia. Pozostawia ich, by „uczynili to sami z siebie”. I tu jest dla nas okazja. Ale pamiętaj, że w tym kryje się także dla nas niebezpieczeństwo. Jeśli raz przebrną pomyślnie przez tę początkową oschłość, stają się o wiele mniej zależni od uczuć, a przeto znacznie trudniejsi do kuszenia.

Pisałem dotychczas, zakładając, że ludzie siedzący w pobliskiej ławce nie dostarczają r a c j o n a l n e j podstawy do rozczarowania. Naturalnie, jeśli jest przeciwnie, jeśli pacjent wie, że kobieta w dziwacznym kapeluszu jest fanatyczną brydżystką, lub mężczyzna w skrzypiących butach — sknerą i zdziercą, wówczas zadanie Twoje jest o wiele łatwiejsze. Wszystko, co masz wówczas do zrobienia, to strzec jego myśli przed pytaniem: „Jeśli ja, będąc tym, czym jestem, mogę w pewnym sensie uważać siebie za chrześcijanina, dlaczego wady tamtych ludzi z pobliskiej ławki miałyby dowodzić, że ich religia jest jedynie hipokryzją i konwencją?” Może zapytasz, czy jest to możliwe, by nie dopuścić nawet tak oczywistej myśli do ludzkiej świadomości. Jest możliwe, Piołunie, jest. Pokieruj nim odpowiednio, a po prostu nie przyjdzie mu to do głowy. Nie obcował on jeszcze dość długo z Nieprzyjacielem, aby mógł już nabyć prawdziwej pokory. To, co on mówi o swojej grzeszności, nawet na klęczkach, jest tylko bezmyślnym naśladowaniem. W gruncie rzeczy jest on w dalszym ciągu przekonany, że pozwalając się nawrócić, otworzył bardzo korzystne konto w księdze buchalteryjnej Nieprzyjaciela, i uważa, że w ogóle okazuje wielką pokorę i uniżoność, chodząc do kościoła z tymi „zadowolonymi z siebie”, pospolitymi ludźmi. Utrzymuj go w tym przekonaniu, jak długo tylko możesz.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Bardzo jestem zadowolony z tego, co mi donosisz o stosunku Twego pacjenta do matki. Lecz musisz wykorzystać pomyślną dla Ciebie okoliczność. Nieprzyjaciół będzie działał od środka na zewnątrz, ujarzmiając stopniowo postępowanie pacjenta i poddając je nowym wymogom; w każdym momencie może więc osiągnąć sprawy jego ustosunkowania się do tej starszej pani. Ty go musisz w tym uprzedzić. Bądź w ścisłym kontakcie z naszym kolegą Glubosem, który ma pod swoją opieką matkę, i razem z nim utrwalcie w tym domu zwyczaj wzajemnego dokuczania sobie; codzienne ukłucia szpilką. Użyteczne są następujące metody:

1. Nastawiaj umysł jego na życie wewnętrzne. On sądzi, że jego nawrócenie jest sprawą czysto w e w n ę t r z n ą i dlatego uwaga jego jest obecnie skierowana głównie na stany umysłu — lub raczej na ich w wysokim stopniu uwzniośloną treść i to jest wszystko, na co mu w tej chwili możesz pozwolić. Popieraj to. Odwracaj jego uwagę od najelementarniejszych obowiązków przez kierowanie jej na obowiązki szczególnie wzniosłe i duchowe. Poglębiaj tę niezwykle pożyteczną cechę ludzką, jaką jest lekceważenie i pogarda tego, co jest jasne i proste. Musisz doprowadzić do takiego stanu, w którym godzinami mógłby analizować swoje postępowanie, nie odkrywając w sobie żadnej z tych rzeczy, które są widoczne dla każdego, kto kiedykolwiek mieszkał z nim pod jednym dachem czy też pracował w tym samym biurze.

2. Bez wątpienia niemożliwą jest rzeczą przeszkodzić jego modlitwom za matkę. Istnieje jednak sposób, by te modlitwy unieszkodliwić. Postaraj się o to, by były zawsze bardzo „uduchowione”, by troska jego dotyczyła zawsze stanu jej duszy, a nigdy jej reumatyzmu. Wyniknie stąd podwójna korzyść. Po pierwsze, myśli jego będą się zwracać ku temu, co uważa za jej grzechy, a przy odrobinie pomocy z Twojej strony doprowadzić można do tego, że zaczną zaliczać do grzechu wszystkie jej czynności,

które są dla niego niewygodne lub irytujące. W ten sposób możesz dalej rozjatrzać istniejące zadrażnienia, nawet wówczas gdy znajduje się na klęczkach. Przeprowadzenie tego nie jest wcale trudne, a przekonasz się, że to jest bardzo zabawne. Po drugie, skoro jego wyobrażenia o duszy matki będą bardzo prymitywne i często błędne, będzie on w pewnym stopniu modlić się za osobę nierealną, a to już Twoje zadanie, by ten urojony obraz uczynić z dnia na dzień coraz mniej podobnym do rzeczywistej matki, do owej sarkastycznej starszej pani, siedzącej z nim przy śniadaniu. Z czasem będziesz mógł tę rozbieżność tak pogłębić, że żadna myśl lub uczucie zrodzone w czasie modlitwy za urojoną matkę nie zaważy już na jego ustosunkowaniu się do matki rzeczywistej. Swego czasu miałem własnych pacjentów tak pewnie w rękę, że można ich było w jednej chwili oderwać od żarliwej modlitwy za „duszę” żony lub syna po to, aby bili lub znieważali, bez żadnych skrupułów, prawdziwą żonę czy syna.

3. Gdy dwie ludzkie istoty mieszkają latami wspólnie, to zwykle zdarza się, że każda z nich miewa tony głosu i wyraz twarzy, które w sposób wprost nieznośny działają na nerwy drugiej osoby. Wykorzystaj to. Rozbudź u swego pacjenta świadomość tego szczególnego marszczenia brwi u matki, do którego nabrał odrazy jeszcze w dzieciństwie, i niech sobie uświadamia, jak bardzo tego nie lubi. Niech w myśli będzie przekonany o tym, że ona wie, jak go to drażni i że czyni to celowo; jeśli znasz się na swej robocie, nie zauważy nawet, jak bardzo niedorzeczna jest taka myśl. No i oczywiście niech nigdy nie podejrzewa, że i on ma tony i miny, które ją w podobny sposób drażnią. Ponieważ nie może on siebie zobaczyć ani usłyszeć, przeto sytuację taką da się bez trudu wytworzyć.

4. W świecie cywilizowanym nienawiść w rodzinie uzewnętrznia się zwykle w wyrażeniach, które napisane wydawałyby się całkiem niewinne (same s ł o w a nie są obraźliwe), lecz wypowiedziane są takim tonem lub w takim momencie, że niewiele różnią się od uderzenia w policzek. Aby tę grę podtrzymać, musicie wspólnie z Glubosem zadbać o to, by każdy z tych głupców stosował coś w rodzaju podwójnej miarki. Twój pacjent musi żądać, aby wszystkie jego wypowiedzi brane były za dobrą monetę i osądzane po prostu na podstawie treści użytych słów; równocześnie wszystkie wypowiedzi matki oceniać z przeczuloną wrażliwością, interpretującą ich ton, kontekst oraz podejrzane intencje. Ją trzeba

zachęcać, aby postępowała w ten sam sposób. W następstwie tego oboje mogą wyjść z każdej kłótni przekonani, lub prawie przekonani, że są zupełnie niewinni. Znasz takie sytuacje: „Ja ją po prostu pytam, kiedy będzie obiad, a ona wpada w złość”. Z chwilą utrwalenia się tego zwyczaju stwarza się rozkoszną sytuację, w której człowiek mówi rzeczy z wyraźnym zamiarem dokuczenia drugiej osobie, mając równocześnie za złe, gdy ta osoba czuje się naprawdę dotknięta.

Na zakończenie donieś mi cośkolwiek o religijnej postawie starszej pani. Czy jest w ogóle zazdrosna o ten nowy czynnik w życiu swego syna? — zgoła dotknięta tym, że musiał się uczyć od innych i tak późno tego, do czego dawała mu, w jej mniemaniu, tyle sposobności już w dzieciństwie? Czy nie odczuwa tego, że on wokół tej sprawy czyni zbyt wiele „zamieszania” — lub że mu to wszystko zbyt łatwo przychodzi?

Pamiętaj o starszym bracie z przypowieści Nieprzyjaciela.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Dyletanckie sugestie zawarte w Twym ostatnim liście ostrzegają mnie, iż czas najwyższy, bym Ci wyczerpująco napisał o kłopotliwym przedmiocie, mianowicie o modlitwie. Mógłbyś zaoszczędzić sobie komentarza, że moja rada co do modłów Twego pacjenta za matkę „okazała się szczególnie niefortunna”. To nie jest sposób, w jaki bratanek winien pisywać do swego stryja, ani też młodszy kusiciel do podsekretarza departamentu. Zdradza to również nieładną chętkę wykręcenia się od odpowiedzialności; musisz się nauczyć sam płacić za swe błędy.

Najlepszą rzeczą, tam gdzie to możliwe — jest chronić skutecznie pacjenta od poważnej intencji modlenia się. Kiedy pacjent, podobnie jak Twój, jest już dorosły i dopiero od niedawna przynależy do stronnictwa Nieprzyjaciela, najlepiej będzie zachęcać go, by sobie przypominał lub przynajmniej sądził, że sobie przypomina, swój papuzi sposób modlenia się w dzieciństwie. W związku z tym można go nakłonić, aby w modlitwie unikał formalizmu oraz dążył do czegoś całkowicie spontanicznego i wewnętrznego, niekonwencjonalnego. To zaś u początkującego będzie równoznaczne z usiłowaniem wytworzenia w sobie bliżej nieokreślonego *n a s t r o j u* nabożnego, nie mającego nic wspólnego z prawdziwym skupieniem myśli i woli. Jeden z ich poetów, Coleridge, wspomina, że nie zwykł się modlić „poruszając wargami i zginając kolana”, lecz jedynie „skłaniał swego ducha do miłowania” i oddawał się „swoistemu uczuciu błagalnemu”. To jest właśnie ten rodzaj modlitwy, jakiego my chcemy; ponieważ zaś powierzchownie jest ona podobna do milczących modlitw praktykowanych przez ludzi daleko zaawansowanych w służbie Nieprzyjaciela, pomysłowi, a zarazem gnuśni pacjenci mogą ulegać takiemu złudzeniu przez długi czas. A przynajmniej mogą być przekonani, że pozycja ciała nie wpływa w żaden sposób na ich modlitwę; zapominają ustawicznie, o czym Ty winienesz pamiętać zawsze,

że są wszakże zwierzętami, i że wszystko, co czynią ich ciała, oddziaływa również na ich duszę. Zabawne jest, jak śmiertelnicy stale wyobrażają nas sobie jako tych, którzy właczają im coś w głowę; w rzeczywistości najlepszą robotę wykonujemy wtedy, gdy pewnych rzeczy nie dopuszczamy do ich świadomości.

Jeśli powyższa metoda zawiedzie, musisz uciec się do subtelniejszego zmylenia jego intencji. Ilekroć uwaga ich zwraca się do samego Nieprzyjaciela, jesteśmy bezradni, lecz istnieją sposoby, by im w tym przeszkodzić. Najprościej jest odwrócić ich uwagę od Niego, kierując ją na nich samych. Niech śledzą własne myśli i niech za pomocą własnej woli próbują wywoływać w sobie u c z u c i a. Gdyby zamierzali prosić Go o miłosierdzie, spraw, by zamiast tego próbowali sfabrykować uczucie litości nad sobą i by się nie spostrzegli, że w ten sposób postępują. Kiedy zamierzali modlić się o odwagę, spraw, by istotnie próbowali czuć się odważnymi. Kiedy mówią, że modlą się o przebaczenie, niech próbują odczuć, że im przebaczone. Naucz ich oceniać wartość każdej modlitwy według tego, w jakim stopniu wywołuje ona żądane odczucia, lecz nigdy nie dozwól im podejrzewać, jak bardzo tego rodzaju powodzenie lub niepowodzenie zależy od tego, czy są w danej chwili zdrowi lub chorzy, rześcy lub znużeni.

Jest rzeczą oczywistą, że Nieprzyjaciel nie pozostanie w tym czasie bezczynny. Gdziekolwiek jest modlitwa, tam istnieje niebezpieczeństwo Jego bezzwłocznej akcji. W cyniczny sposób lekceważy On godność zarówno swojego, jak też i naszego stanowiska — stanowiska duchów czystych — i ludzkim zwierzakom na klęczkach udziela poznania samego siebie w sposób zgoła bezwstydnym. Ale nawet jeśli udaremni On Twe pierwsze usiłowanie wprowadzenia ludzi w błąd, mamy oręż jeszcze subtelniejszy. Ludzkie istoty nie rozpoczynają swej drogi od owego prostego dostrzeżenia Go, czego my, na nieszczęście, nie możemy uniknąć. Nigdy nie znały tej upiornej jasności, tego przeszywającego i palącego blasku, który stanowi tło ustawicznej udręki naszych istnień. Jeśli zajrzysz w myśli swego pacjenta w czasie modlitwy, nie znajdziesz tam t e g o. A gdy sprawdzisz przedmiot, ku któremu kieruje swą myśl, przekonasz się, że jest on złożony i zawiera w sobie wiele śmiesznych składników. Będą tam wyobrażenia pochodzące z malowideł przedstawiających Nieprzyjaciela, gdy ukazał się On w czasie niesławnego epizodu, znanego pod nazwą Wcielenia; będą tam niejasne,

być może całkiem prymitywne i dziecinne wyobrażenia skojarzone z dwiema pozostałymi Osobami. Będzie tam nawet coś z jego własnej czci (i z towarzyszących jej cielesnych sensacji), zobiektywizowanej i przypisywanej czczonemu przedmiotowi. Znałem wypadki, gdzie to, co pacjent nazywał swym „Bogiem”, w rzeczywistości u m i e j s c o w i o n e było w lewym górnym kącie sufitu sypialni, albo też w jego własnej głowie lub też w krucyfiksie na ścianie. Lecz jakkolwiek miałyby być natura tego złożonego przedmiotu, musisz w dalszym ciągu pilnować, aby modlił się on do niego, do rzeczy, którą sam powołał do istnienia, nie zaś do Osoby, która jego samego do istnienia powołała. Możesz nawet zachęcać go, by przywiązywał duże znaczenie do tego, aby złożony ten przedmiot poprawiać i udoskonalać, i by go stale miał w wyobraźni w ciągu swej modlitwy. Albowiem jeśli kiedykolwiek pojmie to rozróżnienie i jeśli kiedykolwiek świadomie skieruje swe modły „nie do tego, czym ja myślę, że jesteś, lecz do tego, czym Ty sam wiesz, że jesteś” — to nasza sytuacja momentalnie stanie się rozpaczliwa. Gdy jednak wszystkie te jego myśli i wyobrażenia zostaną odrzucone, albo gdy człowiek wprawdzie je zatrzyma, lecz w pełni rozpozna ich subiektywną naturę, a przy tym powierzy siebie realnej, niewidzialnej i istniejącej poza jego świadomością Obecności, przebywającej razem z nim w pokoju — niedostępnej jego poznaniu, mimo że on przez Nią jest poznany — wówczas stać się może coś najbardziej nieobliczalnego w skutkach. W zapobieżeniu takiej sytuacji — owej rzeczywistej nagości duszy w modlitwie — będzie Ci pomocny fakt, że ludzie sami wcale nie pragną jej tak bardzo, jak im się wydaje. Istota rzeczy leży bowiem w tym, że ludzie otrzymują więcej, aniżeli tego sami pragnęli.

Twój kochający stryj

Kręta

Mój drogi Piołunie

Rozczarowałem się nieco: miał wyczekiwanego szczegółowego sprawozdania z pracy — list Twój jest jakąś mglistą rapsodią. Mówisz, że „szalejesz z radości”, ponieważ Europejczycy rozpoczęli jeszcze jedną wojnę. Widzę bardzo dobrze, co Ci się przydarzyło. Nie oszalałeś, lecz jesteś tylko odurzony. Czytając między wierszami Twego bardzo nie zrównoważonego sprawozdania o bezsennej nocy pacjenta, mogę dość dokładnie odtworzyć stan Twego umysłu. Po raz pierwszy w swym zawodzie zakosztowałeś napoju, który jest nagrodą za wszystkie nasze trudy — udręczenia i oszołomienia ludzkiej duszy — i to Ci uderzyło do głowy. Chyba nie mogę Cię ganić. Próżno szukać doświadczonej i statecznej głowy na młodych barkach.

Czy pacjent zareagował na przedstawione przez Ciebie przerażające obrazy przyszłości? Czy doprowadziłeś go choćby do paru tylko wnikliwych a pełnych żalu spojrzeń na minioną szczęśliwą przeszłość? Może odczuł kilka subtelnych dreszczyków w swym wnętrzu? Spisałeś się więc na medal? Tak, tak — to wszystko jest całkiem naturalne. Ale pamiętaj, Piołunie, że obowiązek idzie przed przyjemnością. Jeśli teraz przez jakiekolwiek zlekceważenie sprawy doprowadzisz do ostatecznej utraty swego łupu, to przez całą wieczność cierpieć będziesz, pragnąc napoju, którego pierwszy łyk tak bardzo Cię teraz uszczęśliwił. Jeśli jednak z drugiej strony przez stałe i z zimną rozważą stosowane zabiegi zdołasz ostatecznie zabezpieczyć jego duszę, to stanie się on Twoim na zawsze — żywy kielich po brzegi wypełniony rozpaczą, grozą i zdumieniem, który będziesz mógł podnosić do swych ust tak często, jak często będziesz miał na to ochotę. Tak więc nie dopuść, by jakiekolwiek przelotne podniecenie odciągnęło Cię od istotnego Twego zadania, którym jest podkopanie wiary i zapobieganie formowaniu się cnót. W następnym liście nie omieszkaj donieść mi szczegółowo o tym, jak Twój pacjent reaguje na wojnę — tak ażebyśmy mogli zastanowić się nad

tym, czy osiągniesz więcej korzyści, czyniąc zeń zagorzałego patriotę, czy też zapalonego pacyfistę. I w jednym, i w drugim wypadku masz bogate możliwości. Tymczasem jednak muszę Cię ostrzec, byś od wojny nie oczekiwał zbyt wiele.

Naturalnie wojna to rzecz zajmująca. Związany z nią lęk i cierpienie ludzkie jest upragnionym i miłym pokrzepieniem dla niezliczonego mnóstwa naszych utrudzonych pracowników. Ale jakież trwałe dobro może nam to przynieść, jeśli nie wykorzystamy wojny dla dostarczenia dusz ludzkich Naszemu Ojcu w Otchłani? Gdy patrzę na doczesne cierpienia tych ludzi, którzy w końcu wymykają nam się z rąk, to czuję się tak, jak gdyby pozwolono mi skosztować pierwszego dania na wspaniałej uczcie, a potem odmówiono mi reszty. To gorsze, niż gdyby się niczego nie skosztowało. Nieprzyjaciół, wierny swym barbarzyńskim metodom walki, pozwala nam widzieć krótkotrwałą niedolę swych ulubieńców jedynie po to, by nas dręczyć i przyprawiać o męki Tantala — drażnić złudnymi nadziejami ten nieustanny głód, do którego doprowadza nas Jego blokada w obecnej fazie wielkiego konfliktu. Myślmy przeto raczej, jak wykorzystać tę wojnę europejską, niż jak się nią cieszyć. Zawiera ona bowiem pewne tendencje, które same z siebie wcale nie są dla nas korzystne. Możemy spodziewać się dużej dozy okrucieństwa i nieczystości. Ale jeśli będziemy nieostrożni, ujrzymy, jak tysiące ludzi zwraca się w tej ciężkiej próbie ku Nieprzyjacielowi, podczas gdy dziesiątki tysięcy, które wprowadzie aż tak daleko się nie posuną — odwracają przecież uwagę od samych siebie, skierowując ją na wartości i sprawy, które ich zdaniem przewyższają ich samych. Wiem, że Nieprzyjaciół nie pochwała wielu tych spraw. Ale w tym właśnie tkwi Jego wielka nieuczciwość. Często zagarnia On ludzi, którzy życie oddali za sprawy przez Niego samego uważane za złe, a czyni tak na tej potwornie sofistycznej podstawie, że ludzie uważali je za dobre i że szli za tym, co w ich pojęciu było najlepsze. Rozważ również, jak wiele jest niepożądanych zgonów w czasie wojny. Ludzie giną tam, gdzie wiedzą, że mogą zostać zabici, o ile więc w ogóle należą do stronnictwa Nieprzyjaciela, idą na śmierć przygotowani. O ileż lepiej byłoby dla nas, gdyby w s z y s c y ludzie umierali w kosztownych zakładach leczniczych, wśród doktorów, którzy kłamią, pielęgniarek, które kłamią, przyjaciół, którzy kłamią — tak jak ich nauczyliśmy — obiecując umierającym życie, umacniając w nich mniemanie, że choroba

usprawiedliwia wszelkie pobyżanie dla siebie, a nawet, jeśli nasi pracownicy znają swą robotę, powstrzymując wszelką sugestię przywołania księdza, by choremu nie zdradzić, jaki jest prawdziwy stan jego zdrowia. A jak zgubną jest dla nas ustawiczna pamięć o śmierci, jaką ludziom narzuca wojna. Jeden z najlepszych naszych oręży — zadowolenie się doczesnością — staje się nieprzydatny. W czasie wojny nikt nie sądzi, że żyć będzie wiecznie.

Wiem — Scabtree i inni widzieli w wojnach doskonałą okazję do ataków na wiarę, sądzę jednak, że to przesada. Nieprzyjaciel bardzo jasno uświadomił swych stronników, że cierpienie jest zasadniczym elementem tego, co On sam nazywa Odkupieniem, toteż wiara zburzona przez wojnę albo zarazę, w rzeczywistości niewarta jest trudu włożonego w jej burzenie. Mam w tej chwili na myśli cierpienie długotrwałe, takie jakie przynosi wojna. Naturalnie w samej chwili przerażenia, jakiejś bolesnej straty lub fizycznego bólu, gdy rozsądek chwilowo nie działa — możesz swym człowiekiem zawładnąć. Przekonałem się jednak, że nawet wówczas, jeśli tylko człowiek odwoła się do głównej kwatery Nieprzyjaciela, sytuacja jego jest prawie zawsze uratowana.

Twój kochający stryj
Krętacz

Mój drogi Piołunie

Bardzo jestem rad, że wiek Twego pacjenta i jego zawód kwalifikują go do służby wojskowej oraz że sprawa powołania do wojska nie jest całkowicie przesądzona. Dla nas jest rzeczą ważną, by utrzymać go w maksimum niepewności, tak by umysł jego był wypełniony najrozmaitszymi sprzecznymi wyobrażeniami o przyszłości, wzbudzającymi w nim lęk lub nadzieję. Niepewność i obawa — to niezrównane sposoby, by zabarykadować myśl ludzką przed Nieprzyjacielem. On chce, by ludzie interesowali się tym, co aktualnie czynią; w naszym zaś interesie jest utrzymywać ich w rozpamiętywaniu tego, co im się może przydarzyć w przyszłości.

Twój pacjent zdobędzie naturalnie w końcu przeświadczenie, że musi się cierpliwie poddawać woli Nieprzyjaciela. Nieprzyjaciół rozumie przez to, że przede wszystkim winien on przyjmować z poddaniem się cierpienia, które faktycznie zostały na niego zesłane — obecną troskę i niepewność. Właśnie ze względu na to winien on powtarzać: „bądź wola Twoja” i w zamian za codzienny trud znoszenia tego otrzyma on chleb powszedni. Twoją już sprawą jest dopatrzyć, by pacjent nigdy nie myślał o tym, że to obecny strach jest wyznaczonym mu krzyżem, lecz by za krzyż uważał sprawy, których się obawia. Niech patrzy na nie jak na zesłane mu krzyże. Pozwól, niech przeoczy, że skoro jedno z nich wyklucza drugie, wobec tego nie mogą go wszystkie spotkać; niech wreszcie w odniesieniu do tych spraw próbuje już z góry praktykować cnotę męstwa i cierpliwości. Rzeczywista bowiem i jednoczesna rezygnacja wobec tuzina rozmaitych i tylko hipotetycznych kolei losu jest prawie niemożliwa, Nieprzyjaciół zaś nie wspiera zbyt wielu tych, którzy próbują to osiągnąć; natomiast rezygnacja wobec obecnego i aktualnego cierpienia, nawet jeśli to cierpienie polega na strachu, jest o wiele łatwiejsza i bywa zazwyczaj wspomagana przez tę bezpośredniość działania.

Mieści się w tym doniosłe prawo duchowe. Wyjaśniłem Ci, że możesz osłabić jego modlitwy przez odwrócenie uwagi od samego Nieprzyjaciela i skierowanie jej na jego własne stany umysłowe odnoszące się do Nieprzyjaciela. Z drugiej strony łatwiej jest opanować strach, gdy myśl pacjenta odwróci się od wywołującego go przedmiotu, a skieruje ku samemu strachowi pojętemu jako aktualny i niepożądany stan wewnętrzny; a skoro spojrzy na strach jako na wyznaczony mu krzyż, to nieuchronnie zda sobie sprawę z tego, że jest to jego stan wewnętrzny. Można przeto sformułować ogólną zasadę: we wszystkich czynnościach umysłu, które sprzyjają naszej sprawie, popieraj u pacjenta nieświadomość samego siebie i zachęcaj go do skupienia uwagi na przedmiocie, natomiast we wszystkich sytuacjach korzystnych dla Nieprzyjaciela skierowuj jego uwagę z powrotem na jego własny umysł. Niech zniewaga lub ciało kobiece tak przykuje jego myśl i uwagę, by nie zdawał sobie sprawy z sytuacji i by nie myślał: „Oto wstępuję obecnie w stan zwany gniewem” albo „Oto ogarnia mnie żądza”. Przeciwnie, niech refleksja: „Oto moje uczucia stają się teraz pobożniejsze i bardziej miłosierne” — tak przykuje jego uwagę do samego siebie, by już nie spoglądał poza siebie i skutkiem tego nie mógł dojrzeć naszego Nieprzyjaciela ani swych własnych sąsiadów.

Co do ogólnego jego stosunku do wojny, to nie możesz za bardzo polegać na owych uczuciach nienawiści, o których z takim zapalem rozpisują się chrześcijańskie czy antychrześcijańskie czasopisma. Pacjenta w jego udęcie można oczywiście zachęcić, aby się mścił, budząc w nim odwetowe uczucia skierowane ku niemieckim przywódcom, i o tyle sprawa wygląda dobrze. Lecz zazwyczaj bywa to rodzaj melodramatycznej czy mitycznej nienawiści zwróconej przeciw wyimaginowanym kozłom ofiarnym. W życiu realnym i tak nigdy nie zetknie się z owymi ludźmi. Są to tylko manekiny wymodelowane w oparciu o to, co przynoszą gazety. Skutki takiej fantazyjnej nienawiści bywają często ogromnie zawodne, a ze wszystkich ludzi Anglicy są pod tym względem najżałośniejszymi niewieściuchami. Są oni nędznymi typami, którzy głośno proklamują, że tortury dla wrogów to jeszcze za mało, a pierwszemu rannemu niemieckiemu pilotowi, skoro tylko pojawi się u drzwi, podają herbatę i papierosy.

Cokolwiek byś czynił, to w duszy Twego pacjenta będzie zawsze zarówno trochę złośliwości, jak i dobrej woli. Niezwykle ważną rzeczą

jest skierować jego złośliwość ku jego codziennie spotykanym sąsiadom, natomiast uczynność wypchnąć het, ku odległym krańcom, ku ludziom, których nie zna. W ten sposób złośliwość staje się sprawą całkowicie realną, zaś uczynność w znacznej mierze urojoną. Nie ma absolutnie żadnego pożytku z rozpalania jego nienawiści ku Niemcom, jeśli w tym samym czasie pomiędzy nim a jego matką, jego pracodawcą i człowiekiem spotkanym w pociągu zacznie dojrzewać zgubna atmosfera wzajemnej życzliwości. Myśl o swoim pacjencie jak o serii kół koncentrycznych: najgłębszym kołem jest wola, następnie idzie intelekt, a na koniec wyobraźnia. Nie należy spodziewać się, że od razu można będzie z tych kręgów wyrugować to, co trąci Nieprzyjacielem, lecz winieneś nieustannie wszystkie cnoty wypychać na zewnątrz tak, by w końcu znalazły się w kręgu wyobraźni, natomiast wszystkie pożądane właściwości — do wewnątrz, do kręgu woli. Cnoty są rzeczywiście dla nas czymś fatalnym, jednak tylko o tyle, o ile docierają do samej woli i są wcielone w przyzwyczajenia. (Mówiąc o woli, mam naturalnie na myśli nie to, co pacjent mylnie bierze za swoją wolę, to świadome złośczenie się i zżymanie oraz zaciskanie zębów przy podejmowaniu postanowień, lecz to rzeczywiste centrum, które Nieprzyjaciół zowie Sercem). Wszelkiego rodzaju cnoty istniejące w wyobraźni albo uznane przez intelekt lub nawet w pewnej mierze lubiane i podziwiane nie uchronią człowieka od domu naszego Ojca. Doprawdy, mogą go uczynić jeszcze bardziej zabawnym, gdy się tam znajdzie.

*Twój kochający stryj
Krętać*

Mój drogi Piołunie

Dziwię się, jak możesz mnie pytać o to, czy koniecznie należy utrzymać pacjenta w niewiedzy o Twoim istnieniu. Ta kwestia, przynajmniej w obecnej fazie walki, została rozstrzygnięta za nas przez Naczelne Dowództwo. Na razie winniśmy przyjąć taktykę ukrywania się. Naturalnie nie zawsze tak bywało. W rzeczy samej stoimy tu wobec okrutnego dylematu. Gdy ludzie nie wierzą w nasze istnienie, jesteśmy pozbawieni wszystkich przyjemności wynikających z bezpośredniego terroryzowania, i nie ma miejsca na czarnoksiężników. Z drugiej znów strony, gdy w nas wierzą, nie możemy z nich robić materialistów i sceptyków. W każdym razie do tej pory jeszcze nie. Mam głęboką nadzieję, że we właściwym czasie nauczymy się, jak uczulić i umitologizować ich wiedzę do tego stopnia, by przemycić do niej to, co w gruncie rzeczy jest wiarą w nas (oczywiście nie nazywając tego w ten sposób), przy równoczesnym odgrodzeniu ludzkiego umysłu od wiary w Nieprzyjaciela. „Siła życiowa”, kult seksu i pewne aspekty psychoanalizy mogą się tu przydać. Jeśli raz wyprodukujemy swe arcydzieło: Materialistycznego Maga, człowieka, którzy nie spożytkowuje, lecz prawdziwie czci to, co nazywa mgliście „Siłami Natury”, zaprzeczając jednocześnie istnieniu „duchów”, wówczas koniec wojny będzie już widoczny. Na razie jednak musimy słuchać rozkazów. Nie sądzę, by utrzymanie pacjenta w niewiedzy mogło Ci sprawić dużo kłopotu. Dopomoże Ci fakt, iż „diabły” są przeważnie we współczesnej imaginacji osobistościami nader k o m i c z n y m i. Jeśli w najmniejszym stopniu Twój pacjent zaczyna podejrzewać Twoje istnienie, zasugeruj mu obrazek czegoś w czerwonych trykotach i wytłumacz mu, że skoro nie może uwierzyć w coś podobnego (jest to stara, podręcznikowa metoda wprowadzania ich w błąd), zatem nie może wierzyć i w Ciebie.

Nie zapomniałem swej obietnicy zastanowienia się nad tym, czy mamy pacjenta uczynić skrajnym patriotą, czy zagorzałym pacyfistą.

Powinniśmy popierać wszelkie skrajności z wyjątkiem skrajnego poświęcenia się Nieprzyjacielowi. Nie zawsze naturalnie, ale w obecnych czasach z pewnością. W niektórych stuleciach panuje duch obojętności i zadowolenia z siebie i wtedy naszym zadaniem jest jeszcze bardziej ten stan senności pogłębiać. Inne stulecia, a jednym z takich jest obecne, mają charakter nie zrównoważony, skłonne są do rozbicia na partie i wówczas zadaniem naszym jest wszelkie różnice jeszcze bardziej zaogniać. Każda grupa ludzi związana jakimiś interesami, których inni nie lubią lub ignorują, zmierza do wytworzenia w swoim gronie cieplarnianej atmosfery wzajemnej adoracji, a w stosunku do świata zewnętrznego wykazuje wiele pychy i nienawiści, nie odczuwając z tego powodu wstydu, jako że patronuje im „sprawa”, a ta, w ich przekonaniu, pozbawiona jest charakteru osobistego. Dzieje się tak nawet wówczas, gdy ta mała grupa już z założenia swego ma służyć osobistym celom Nieprzyjaciela. Pragniemy, by Kościół był mały nie tylko dlatego, by mniej ludzi mogło poznać Nieprzyjaciela, lecz również dlatego, by ci, którzy Go już znają, prześlą tę charakterystyczną dla tajnego stowarzyszenia lub kliku atmosferą niespokojnego napięcia i defensywnego faryzeizmu. Sam Kościół naturalnie jest mocno strzeżony i nigdy jeszcze nie udało się nam nadać mu w s z y s t k i c h cech kliku, lecz drugorzędne stronnictwa należące do Kościoła często wydawały owoce godne podziwu, i to począwszy od zwolenników Pawła i Apollona w Koryncie, a skończywszy na Wysokim i Niskim Stronnictwie w Kościele anglikańskim.

Jeśli da się doprowadzić do tego, aby Twój pacjent stał się jednym z tych, którzy uchylają się od służby wojskowej z uwagi na nakazy sumienia, to automatycznie znajdzie on sobie jedno z tych małych, natarczywych, zorganizowanych i zarazem niepopularnych stowarzyszeń, a skutki, jakie to wywrze na człowieku, który dopiero co przystał do chrześcijaństwa, będą prawie na pewno dobre. Lecz tylko p r a w i e na pewno. Czy miał poważne wątpliwości co do słuszności brania udziału w sprawiedliwej wojnie, zanim zaczęła się obecna? Czy jest mężczyzną odważnym, i to tak bardzo, że nie będzie miał nawet półświadomych wątpliwości co do istotnych motywów swego pacyfizmu? Czy wtedy, gdy jest najbliżej uczciwości (żaden człowiek nie jest jej nigdy b a r d z o bliski), może się czuć w pełni przeświadczony, że siłą napędową jego postępowania jest wyłącznie pragnienie służenia Nieprzyjacielowi? Jeśli

jest człowiekiem tego pokroju, to jego pacyfizm prawdopodobnie nie przyniesie nam wiele dobrego, a Nieprzyjaciół uchroni go zapewne od zwykłych konsekwencji należenia do sekty. W takim wypadku najlepszym planem byłoby pokusić się o raptowny emocjonalny kryzys, z którego mógłby wyjść jako chwiejny konwertyta na patriotyzm. Takie rzeczy nierzadko się zdarzają. Lecz jeśli jest człowiekiem, za jakiego ja go biorę, to próbuj pacyfizmu.

Którąkolwiek postawę wybierze, Twoje główne zadanie będzie takie samo. Na początek niech zacznie traktować patriotyzm lub pacyfizm jako część składową swej religii. Następnie pod naporem atmosfery stronnictwa niech zacznie uważać ją za najważniejszą część. Z kolei subtelными zabiegami doprowadź go spokojnie i stopniowo do tego stadium, w którym religia staje się tylko częścią „sprawy” i w którym chrześcijaństwo ceni się głównie za to, że dostarcza ono wybornych argumentów brytyjskiej akcji wojennej bądź na rzecz pacyfizmu. Postawa, której musisz zapobiec, to ta, w której sprawy doczesne traktuje się przede wszystkim jako przedmiot posłuszeństwa. Skoro raz uczynisz Świat celem, a wiarę środkiem do celu, to niemal zdobyłeś już swego człowieka, a to, jakiego rodzaju światowy cel sobie obrał, nie ma już większego znaczenia. Byle tylko zebrania, broszury, plany działania, ruchy ideowe, sprawy i krucjaty znaczyły dla niego więcej niż modlitwa, sakramenty i miłosierdzie, a będzie nasz — a im bardziej będzie „religijny” (w tym rozumieniu), tym pewniej będzie nasz. Mógłbym Ci tu pokazać niegorszą klatkę zapełnioną podobnymi okazami.

Twój kochający stryj

Krętać

Mój drogi Piołunie

A więc jesteś „pełen nadziei, że religijny okres w życiu pacjenta zanika” — wszak takie jest Twoje zdanie? Zawsze uważałem, że Szkoła Kunsztu Kuszenia zeszła na psy, odkąd na czele jej stanął stary Slubgob, a teraz jestem tego pewny. Czy nikt wam nigdy nie mówił o prawie falowania?

Istoty ludzkie są amfibiami — na wpół duchy, na wpół zwierzęta. (Stanowczość Nieprzyjaciela w Jego dążeniu do stworzenia tak odrażającego mieszańca była jedną z przyczyn, które skłoniły Naszego Ojca do wycofania swego poparcia dla Niego). Jako duchy należą one do świata wiecznego, lecz jako zwierzęta tkwią w czasie. Oznacza to, że podczas gdy ich duch może być skierowany ku celom wiecznym, ich ciała, namiętności i wyobrażenia ulegają ciągłej zmianie, gdyż trwać w czasie znaczy zmieniać się. Dlatego to, co w nich jest najbardziej stałe, to właśnie owo falowanie — powtarzający się nawrót do poziomu, od którego ponownie się oddalają, szereg dolin i szczytów. Gdybyś był pilnie śledził swego pacjenta, byłbyś dostrzegł to falowanie w każdej sferze jego życia; jego zainteresowanie się pracą, przywiązanie do przyjaciół, fizyczne pragnienia, wszystko to raz przybiera na sile, to znów maleje. Jak długo będzie żył na Ziemi, okresy emocjonalnego i fizycznego bogactwa i zwawości występować będą na przemian z okresami odrętwienia i ubóstwa. Okres oschłości i apatii, przez który Twój pacjent obecnie przechodzi, nie jest, jak naiwnie przypuszczasz, Twoim dziełem; jest to jedynie zjawisko naturalne, które nam nie przyniesie korzyści, jeżeli go odpowiednio nie wykorzystasz.

Aby móc zdecydować, w jaki sposób najlepiej tę sytuację spożytkować, trzeba się najpierw zastanowić nad tym, w jaki sposób pragnie ją wykorzystać Nieprzyjaciół, a następnie postąpić przeciwnie. Otóż może Cię to zdziwić, gdy dowiesz się, że w Jego wysiłkach, zmierzających do trwałego zawładnięcia duszą ludzką, liczy On nawet

więcej na doliny niż na szczyty; niektórzy z Jego szczególnych ulubieńców przeszli przez dłuższe i głębsze doliny niż ktokolwiek inny. Uzasadnienie jest następujące. Dla nas istota ludzka jest przede wszystkim żerem; naszym celem jest wchłonąć jej wolę w naszą, powiększyć sferę naszej osobowości jej kosztem. Lecz posłuszeństwo, którego Nieprzyjaciół wymaga od ludzi, jest czymś zupełnie innym. Trzeba się pogodzić z faktem, że całe to rozprawianie o Jego miłości do ludzi i o tym, że Jego służba jest całkowitą wolnością, nie jest tylko (jakby się w to chciało wierzyć) czczą propagandą, lecz przerażającą prawdą. On naprawdę chce zapełnić wszechświat mnóstwem małych wstrętnych kopii samego Siebie — stworzeń, których życie, w miniaturowej skali, będzie jakościowo podobne do Jego, nie dlatego, że je wchłonał, lecz dlatego, że ich wola dobrowolnie dostosowuje się do Jego woli. My potrzebujemy bydła, które w końcu mogłoby stać się żerem; On potrzebuje sług, którzy w końcu mogliby stać się synami. My chcemy chłonać, On chce rozdawać. W nas jest pustka i chcielibyśmy ją zapełnić; On jest pełny i przelewa się. Celem naszej walki jest świat, w którym Nasz Ojciec z Otchłani wchłonałby w siebie wszelkie pozostałe istoty; Nieprzyjaciół pragnie, aby świat był pełen istot z Nim wprawdzie zjednoczonych, lecz mimo to zachowujących swą odrębność.

I tutaj właśnie doliny mają do spełnienia swą rolę. Musiałeś się temu nieraz dziwić, dlaczego Nieprzyjaciół nie czyni większego użytku ze Swej mocy, by Jego obecność była dla duszy ludzkiej odczuwalna w dowolnie obranym przez Niego stopniu i momencie. Lecz teraz rozumiesz, że sama natura Jego zamysłu nie pozwala Mu posłużyć się w działaniu tym, co jest Nieodparte i Bezsporne. Samo obez władnienie ludzkiej woli (a dokonałoby tego każde odczucie Jego obecności, z wyjątkiem najslabszego i najbardziej złagodzonego) byłoby dla Niego rzeczą bezużyteczną. On nie może zadawać gwałtu. Może tylko wabić. Jego niecnym zamiarem bowiem jest zjeść ciastko i mieć je nadal; stworzenia mają z Nim stanowić jedno, lecz pomimo to pozostać sobą; samo ich unicestwienie lub asymilowanie nie odpowiada Mu. W początkowym okresie jest On skłonny nieco się narzucać. Wyposaża ludzi na drogę w sygnały świadczące o Jego obecności, które aczkolwiek słabe, im wydają się mocne: w radosne upojenie i łatwe panowanie nad pokusami. Lecz nigdy nie pozwala, aby ten stan rzeczy trwał długo. Prędzej czy później wycofuje, jeżeli nie w rzeczywistości, to przynajmniej z ich

świadomych doznań, ten rodzaj wsparcia i bodźców. Wycofuje się, aby stworzeniu pozwolić stanąć na własnych nogach, aby wykonywało jedynie z własnej woli obowiązki, które straciły wszelki urok. W tych właśnie okresach dolinowych, w o wiele większym stopniu niż w okresach szczytowych, przeobraża się ono w takie stworzenie, jakim On je mieć pragnie. Dlatego najbardziej mu się podobają modlitwy zanoszone w okresie oschłości. My możemy ciągnąć za sobą naszych pacjentów przez ustawiczne kuszenie, ponieważ przeznaczamy ich wyłącznie do stołu, a im więcej wikła się ich wolę, tym lepiej. On nie może „kusić” do cnoty, jak my kusimy do występku. On chce, aby nauczyli się chodzić o własnych siłach i dlatego musi cofać Swą rękę, i jeśli tylko istnieje prawdziwa wola chodzenia, jest zadowolony nawet z ich potknięć. Nie łudź się, Piołunie. Nasza sprawa nigdy nie jest bardziej zagrożona niż wówczas, gdy człowiek już nie pragnie, a mimo to w dalszym ciągu usiłuje pełnić wolę naszego Nieprzyjaciela, rozgląda się po wszechświecie, z którego wszelki Jego ślad pozornie zaginął, i pyta, dlaczego został opuszczony, a jednak słucha dalej.

Lecz oczywiście doliny dostarczają również okazji naszej stronie. W następnym tygodniu podam Ci kilka wskazówek, jak je wyzyskać.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Ostatni mój list przekonał Cię, mam nadzieję, że dolina oziębłości lub „oschłości”, przez którą obecnie przechodzi Twój pacjent, nie da Ci jego duszy sama przez się, lecz wymaga odpowiednich zabiegów z Twojej strony. Obecnie rozważę, jaką formę mają one przybrać.

Przed wszystkim zawsze przekonywałem Cię, że okresy dolinowe ludzkiego falowania dostarczają doskonałej okazji do wszelkich pokus zmysłowych, szczególnie seksualnych. Może Cię to zdziwić, gdyż — co jest rzeczą samo przez się zrozumiałą — więcej fizycznej energii, a co za tym idzie, więcej potencjalnych pragnień istnieje w okresach szczytowych; lecz musisz pamiętać o tym, że również odporność jest wówczas największa. Zdrowie i siły witalne, które Ty chcesz wykorzystać do rozbudzenia pożądliwości, mogą niestety być także z łatwością spożytkowane na pracę, sport, rozmyślanie lub na nieszkodliwą zabawę. Atak ma o wiele większe szanse powodzenia w okresie, gdy cały wewnętrzny świat człowieka przeniknięty jest szarżyzną, chłodem i pustką. Należy wziąć również pod uwagę to, że seksualność dolinowa, pod względem jakości różni się nieco od seksualności szczytowej; o wiele rzadziej prowadzi ona do tego ckiego zjawiska, które ludzie nazywają „zakochaniem”, jest o wiele więcej skłonna do perwersji, o wiele mniej skażona tymi wielkodusznymi, fantazyjnymi, a nawet duchowymi dodatkami, które często czynią ludzką seksualność tak bardzo zawodną. Tak samo jest z innymi pożądliwościami ciała. O wiele łatwiej doprowadzisz swojego człowieka do nałogu pijaństwa, jeżeli będziesz mu podsuwał kieliszek jako środek kojący, w chwilach gdy jest znużony i przygnębiony, niż gdybyś go zachęcał do korzystania z niego jako środka do wytworzenia w gronie kolegów atmosfery wesołości wtedy, gdy jest szczęśliwy i pełen życia. Nie zapominaj nigdy o tym, że mając do czynienia z jakąkolwiek przyjemnością w jej zdrowej, normalnej i zaspokajającej formie, znajdujemy się w pewnym sensie na pozycjach

Nieprzyjaciela. Wiem, że zdobyliśmy niejedną duszę poprzez przyjemności. Niemniej jednak jest to Jego wynalazek, a nie nasz. On stworzył przyjemności; żadne z naszych dotychczasowych dociekań prowadzonych w tym kierunku nie pozwoliły nam wytworzyć chociażby jednej. Wszystko, co możemy uczynić, to zachęcać ludzi, aby z przyjemności stworzonych przez naszego Nieprzyjaciela korzystali w czasie, w sposób lub stopniu przez Niego zakazanym. Dlatego staramy się zawsze wypaczać naturalny stan każdej przyjemności i nadać jej taką formę, w której byłaby najmniej naturalna, najmniej przyjemna i najmniej przypominała swego Stwórcę. Stale rosnące pożądanie stale malejącej przyjemności — oto właściwa formuła. Jest pewniejsza i w lepszym s t y l u. Zyskać duszę człowieka i nic mu za to nie dać — oto co naprawdę cieszy serce Naszego Ojca. Okresy dolin są sprzyjającą porą do zapoczątkowania takiego procesu.

Lecz istnieje jeszcze lepszy sposób wykorzystania doliny, mianowicie przez wyzyskanie tego, co sam pacjent o niej myśli. Jak zawsze pierwszą i najważniejszą rzeczą jest utrzymywać go w niewiedzy. Nie dopuścić do tego, aby zmiarkował się, że istnieje prawo falowania. Niech wychodzi z założenia, że początkowa gorliwość towarzysząca jego nawróceniu mogła i powinna była trwać wiecznie i że jego obecna oschłość jest równie trwałym stanem. Raz utrwaliwszy w jego umyśle to błędne mniemanie, możesz obrać różne drogi dalszego postępowania. Wszystko zależy od tego, czy Twój człowiek jest typem małodusznym, którego można kusić do rozpacz, czy też typem naiwnego optymisty, którego łatwo da się przekonać, że wszystko jest w porządku. Pierwszy typ spotyka się wśród ludzi coraz rzadziej. Jeżeli jakimś trafem Twój pacjent jest właśnie taki, wszystko pójdzie łatwo. Musisz go tylko trzymać z dala od doświadczonych chrześcijan (nietrudne zadanie w dzisiejszych czasach), skierowywać jego uwagę na odpowiednie ustępy w Piśmie Świętym, a następnie postawić przed nim beznadziejne zadanie odzyskania swych dawnych uczuć jedynie siłą woli, a wygrana jest po naszej stronie. Jeżeli natomiast jest typem raczej beztroskim, Twoim zadaniem jest, aby pogodził się z obecną niską temperaturą swego ducha i stopniowo zadowolił się nią, utwierdzając się w przeświadczeniu, że ostatecznie nie jest tak bardzo niska. Po tygodniu lub dwóch każesz mu żywić wątpliwości co do tego, czy pierwsze dni jego chrześcijaństwa nie grzeszyły przypadkiem lekką nadgorliwością. Mów mu o „potrzebie

zachowania umiaru we wszystkim”, a możesz być zupełnie spokojny o jego duszę. Religia umiarkowana jest dla nas tak samo użyteczna jak kompletny brak religijności — a przy tym zabawniejsza.

Inna możliwość to bezpośrednie zaatakowanie jego wiary. Kiedy dzięki Twoim zabiegom zgodzi się z tym, że ten okres dolinowy jest czymś trwałym, to czyż nie będziesz go mógł przekonać, że „jego religijna faza” po prostu zaniknie, jak wszystkie poprzednie fazy, przez które przechodził? Oczywiście, nie można sobie w żaden sposób wyobrazić, jak ze stwierdzenia: „Przestaje mnie to interesować”, można logicznie myśląc przejść do twierdzenia: „To jest fałszywe”. Lecz jak już uprzednio zaznaczyłem, musisz polegać na żargonie, a nie na rozumowaniu. Samo słowo *f a z a* najskuteczniej załatwi tu sprawę. Zakładam, że człowiek ten przeszedł już przez kilka takich faz — wszyscy oni to przechodzą — i że zawsze przyjmuje postawę wyższości i lekceważenia w stosunku do faz, które pozostawił już za sobą, nie dlatego, że je krytycznie ocenił, lecz po prostu dlatego, że już minęły. (Ufam, że karmisz go należycie mglistymi ideami Postępu, Rozwoju i Historycznego Punktu Widzenia i że dajesz mu do czytania dużo nowoczesnych biografii. Ludzie w nich zawsze przechodzą przez jakieś fazy, nieprawda?)

Rozumiesz już, na czym rzecz polega? Rób tak, aby jego umysł nie dojrzał tej prostej antytezy, jaka istnieje pomiędzy prawdą a fałszem. Efektowne, bliżej nieokreślone wyrażenia: „To była faza”; „Już to wszystko mam poza sobą” — i nie zapomnij wykorzystać również owego zbawiennego słowa „młodzieńczy”.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Rad byłem usłyszeć od Triptweeze'a, że Twój pacjent zawarł kilka bardzo pożądanых znajomości i że, jak się zdaje, wykorzystałeś to zdarzenie w sposób zaiste obiecujący. Wnioskuje, że para małżeńska w średnim wieku, która zjawiała się w jego biurze, to właśnie ludzie tego pokroju, jakich nam trzeba. Wymarzone towarzystwo dla Twego pacjenta: bogaci, eleganccy, powierzchowni intelektualisci i dowcipni sceptycy w stosunku do całego świata. Domyślam się, że są oni nawet w jakimś sensie pacyfistami, co wypływa nie z pobudek moralnych, lecz z wrodzonego im zwyczaju pomniejszania wszystkiego cokolwiek dotyczy wielkiej masy ich bliźnich, a także z atmosfery modnej literatury. Świetnie się składa. A Ty, jak się zdaje, zrobiłeś dobry użytek z całego jego społecznego, seksualnego i intelektualnego snobizmu. Donieś mi o tym coś więcej. Czy zaangażował się mocno? Mam tu na myśli nie słowa, lecz tę subtelą grę spojrzeń, tonów i uśmiechów, przez które śmiertelnik ma możliwość zaznaczyć, że należy do tej samej kategorii ludzi, co i ci, do których się zwraca. To jest ten rodzaj sprzymierzania się, który powinienesz szczególnie popierać, ponieważ pacjent sam nie zdaje sobie w pełni z tego sprawy; do czasu zaś, zanim się w tej sytuacji połapie, Ty zdążysz się już postarać o to, aby mu się było trudno wycofać.

Bez wątpienia zorientuje się on dość szybko, że jego wiara jest całkowicie przeciwna zasadom, na których wspiera się rozmowa jego nowych przyjaciół. Nie sądzę, by to miało zaważyć na rozwoju sytuacji, jeśli tylko uda Ci się go nakłonić, aby jakiegolwiek jawne potwierdzenie tego faktu odłożył na później, a to da się łatwo osiągnąć za pomocą wstydu, dumy, skromności czy próżności. Dopóki potrwa ta zwłoka, jego pozycja będzie fałszywa: będzie milczał, gdy powinien mówić, będzie się śmiał, kiedy powinien milczeć. Początkowo tylko przez swe zachowanie, a następnie również przez swe wypowiedzi będzie zajmował różne cyniczne i sceptyczne postawy, które naprawdę nie są jego własne. Mogą

się jednak nimi stać, jeśli dobrze nim pokierujesz. Wszyscy śmiertelnicy są skłonni do stawania się tym, pod co się podszywają. To rzecz elementarna. Prawdziwy problem leży w tym, w jaki sposób przygotować się na kontratak Nieprzyjaciela.

Przede wszystkim należy jak najbardziej odwlekać chwilę, w której pacjent Twój stwierdzi, że ta nowa przyjemność jest pokusą. Mogłoby się to wydawać trudne do przeprowadzenia wobec faktu, że od dwóch tysięcy lat słudzy Nieprzyjaciela prawią o „Świecie” jako jednej z groźniejszych pokus. Szczęściem bardzo mało mówili o tym przez kilka ostatnich dziesięcioleci. W nowoczesnych chrześcijańskich utworach literackich, chociaż widzę wiele (więcej zaiste, niżbym pragnął) o mamonie, mało dostrzegam starych ostrzeżeń co do marności świata, wyboru przyjaciół i wartości czasu. Wszystko to twój pacjent sklasyfikowałby prawdopodobnie jako „purytanizm” — i niech mi będzie wolno zaznaczyć mimochodem, że wartość, jaką temu słowu nadaliśmy, jest naprawdę jednym z większych triumfów ostatniego stulecia. Dzięki niemu ratujemy rocznie tysiące ludzi od umiarkowania, czystości i powściągliwości w życiu.

Jednakże wcześniej czy później pozna on prawdziwe oblicze swych nowych przyjaciół, a wtedy Twoja taktyka musi dostosować się do inteligencji pacjenta. Jeśli jest w dostatecznym stopniu głupcem, to możesz doprowadzić do tego, aby zdawał sobie sprawę z prawdziwego charakteru swych przyjaciół tylko wtedy, gdy są nieobecni; ich obecność natomiast niechby automatycznie oddalała wszelki krytycyzm. Jeśli się to uda, to można go będzie nakłonić (znałem wielu żyjących tak ludzi), by przez długi okres prowadził podwójne życie; to już nie tylko będą pozory, lecz istotnie będzie on różnym człowiekiem w każdym z środowisk, w których się obraca.

O ile to zawiedzie, istnieje jeszcze subtelniejsza i bardziej zabawna metoda. Możesz go tak urobić, że znajdzie on prawdziwą przyjemność w uświadomieniu sobie swego podwójnego życia. Dokonasz tego, wykorzystując jego próżność. Możesz go nauczyć, by klęcząc w niedzielę obok kupca korzennego, cieszył się właśnie tym, że wie, iż kupiec ten nie byłby w stanie zrozumieć tego wielkomiejskiego i cynicznego świata, wśród którego on sam obracał się poprzedniego wieczoru; i przeciwnie, pijąc kawę ze swymi uroczymi przyjaciółmi, niech tym bardziej cieszy się sprośnymi rozmowami i bluźnierstwami, im bardziej sam w sobie jest

świadom „głębszego”, „duchowego” świata, którego oni zrozumieć nie potrafią.

Czy pojmujesz moją myśl? Światowi przyjaciele dotykają go z jednej strony, a kupiec korzenny z drugiej, on zaś jest pełnym, zrównoważonym, wszechstronnie doświadczonym człowiekiem, mającym szersze niżli oni horyzonty. W ten sposób, zdradzając stale co najmniej dwie grupy ludzi, zamiast wstydu będzie ustawicznie odczuwał ukryty nurt zadowolenia z siebie.

Na koniec — jeśli wszystko zawiedzie, możesz, wbrew głosowi sumienia, wyperswadować mu, by dalej utrzymywał tę nową znajomość z tej racji, że już przez sam fakt spijania ich koktajli i śmiania się z ich żartów w jakiś bliżej nieokreślony sposób świadczy tym ludziom dobro, a zaprzestanie tego byłoby czymś „przesadnym”, „nietolerancyjnym” i (ma się rozumieć) „purytańskim”.

Równocześnie podejmiesz oczywiście konieczne środki ostrożności i dopilnujesz, by ten nowy rozwój wypadków doprowadził go do wydawania więcej, niż go na to stać, do zaniedbywania swej pracy i zapominania o matce. Jej zazdrość i trwoga oraz jego coraz częściej powtarzające się wykręty lub szorstkość będą bezcenne dla pogorszenia napiętych stosunków domowych.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Trzeba przyznać, że wszystko idzie doskonale. Szczególnie zadowolony jestem z tego, że tych dwoje nowych przyjaciół zapoznało go z całą swoją grupą. Jak zmiarkowałem z kartotek biura ewidencyjnego, wszyscy oni to z gruntu pewni ludzie: niezmienni i konsekwentni kpiarze, oddani sprawom doczesnym, zdążający bez żadnych sensacyjnych przestępstw, w spokoju i wśród wygod do domu naszego Ojca. Mówisz, że są wielkimi śmieszkami. Mam nadzieję, że to nie oznacza, jakobyś sądził, że śmiech jako taki zawsze przynosi nam korzyść. Warto tej sprawie poświęcić nieco uwagi.

Jako przyczyny ludzkiego śmiechu wyróżniam: radość, uciechę, żart właściwy i płytką paplaninę. Pierwsze spotkasz wśród przyjaciół i zakochanych, spotykających się u progu wakacji. Wśród dorosłych znajdzie się wówczas zwykle coś z żartów, lecz łatwość, z jaką najmniejsze dowcipy wywołują wtedy śmiech, wskazuje, że nie one są jego istotną przyczyną. Co jest rzeczywistą, nie wiemy. Coś podobnego wyraża znaczna część tej obmierzłej sztuki, którą ludzie nazywają muzyką, coś podobnego dzieje się również w Niebie — owo bezsensowne przyspieszenie rytmu niebiańskich doznań, dla nas całkowicie niezrozumiałe. Taki śmiech nie przynosi nam nic dobrego i należy mu zawsze zapobiegać. Ponadto zjawisko to jest samo w sobie odrażające i jest jawną zniewagą realizmu, godności i surowości Piekła.

Uciecha jest blisko spokrewnione z radością — to pewien rodzaj emocjonalnego wzburzenia, mającego swe źródło w instynkcie zabawy. Niewiele z niej mamy pożytku. Można ją oczywiście niekiedy wykorzystać, aby odciągnąć ludzką uwagę od przeżywania lub czynienia innych rzeczy, których życzyłby sobie Nieprzyjaciół; lecz uciecha, sama w sobie, zawiera zgoła niepożądane tendencje: skłania do miłości bliźniego, odwagi, pogody ducha i do wielu innych kategorii zła.

Żart właściwy, który polega na nagłym dostrzeżeniu niedorzeczności, jest dziedziną dla nas o wiele bardziej obiecującą. Wcale nie myślę tylko o nieprzyzwoitym lub sprośnym humorze, który choć wiele sobie po nim obiecują kusiele drugorzędni, w skutkach prowadzi często do rozczarowań. Faktem jest, że ludzie dzielą się w tej materii dość wyraźnie na dwie klasy. Są ludzie, dla których „żadna namiętność nie jest tak poważna jak pożądlivość” i u nich nieprzyzwoita historia przestaje wywoływać lubieżność dokładnie w takim samym stopniu, w jakim staje się zabawna; są inni, u których i śmiech, i pożądanie budzą się równocześnie i z tych samych powodów. Pierwsza grupa ludzi żartuje na temat płci, ponieważ daje to sposobność do stwarzania wielu zabawnych sytuacji; druga natomiast stwarza sytuacje zabawne, ponieważ dostarczają one pretekstu do rozmawiania o płci. Jeśli Twój pacjent należy do ludzi pierwszego typu, to sprośny humor nic tu nie pomoże. Nigdy nie zapomnę zmarnowanych godzin (dla mnie nieznośnie nudnych), spędzonych w towarzystwie jednego z moich pierwszych pacjentów w barach i palarniach, zanim poznałem tę regułę. Zorientuj się, do której grupy należy Twój pacjent — lecz pilnuj uważnie, aby on sam się nie zorientował.

Prawdziwego pożytku z żartów lub humoru należy szukać zupełnie gdzie indziej; szczególnie wiele można sobie przy tym obiecywać po Anglikach, którzy swój „zmysł humoru” traktują tak bardzo na serio, że brak tego zmysłu jest nieledwie jedynym brakiem, którego się wstydzą. Humor jest dla nich wszechosładzającym i (zauważ to) wszechwybaczącym wdziękiem życia. Z tego też względu jest on nieocenionym środkiem niszczenia wstydu. Jeśli ktoś po prostu pozwala innym płacić za siebie, uchodzi za pospolitego skąpca; jeśli się tym chępi w sposób żartobliwy i natrząsa ze swych kolegów, że dali się nabrać, nie jest już skąpcem, lecz zabawnym towarzyszem. Samo tchórzostwo jest czymś, co przynosi wstyd; tchórzostwo, którym się ktoś przechwala z pełną humoru przesadą oraz groteskowymi gestami, może uchodzić za zabawne. Okrucieństwo jest haniebnie, chyba że jego sprawca potrafi je przedstawić jako figiel spleatany dla żartu. Tysiące sprośnych czy nawet bluźnierczych żartów nie przyczynia się w tej mierze do potępienia człowieka, co uczynione przezeń odkrycie, że prawie wszystko, cokolwiek pragnie czynić, może uczynić nie tylko bez nagany, lecz nawet zyskując jeszcze podziw swych towarzyszy — jeśli tylko potrafi

podciągnąć to pod żart. Pokusę tę da się prawie z całą pewnością ukryć przed Twym pacjentem dzięki owej angielskiej powadze, z jaką traktuje się tam humor. Każdą myśl, która sugerowałaby mu, że przebrał miarę, można mu przedstawić jako „purytańską” lub zdradzającą „brak humoru”.

Lecz płytki paplanina jest ze wszystkiego najlepsza. Przede wszystkim jest bardzo ekonomiczna. Tylko człowiek inteligentny może ukuć żart na temat cnoty, lub w ogóle na jakikolwiek inny temat; natomiast każdy może nauczyć się paplać o cnocie jako o czymś zabawnym. Między ludźmi tego pokroju zawsze się zakłada, że został zrobiony żart. W istocie jednak nikt go nie robi, lecz na każdy poważny temat dyskutuje się w taki sposób, jakby już z góry odkryto jego śmieszną stronę. Płytki paplanina, uprawiana nawykowo na dłuższą metę, buduje wokół człowieka najsubtelniejszy pancerz, jaki znam, chroniący go przed Nieprzyjacielem; ponadto jest ona całkowicie wolna od niebezpieczeństw, które tkwią w innych źródłach śmiechu. Tysiąc mil dzieli ją od radości; zabija intelekt, zamiast go wyostrzać, a między tymi, którzy ją praktykują, nie wywołuje uczuć wzajemnego przywiązania.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Oczywiście, robisz doskonałe postępy. Obawiam się tylko, byś próbując przynaglać pacjenta, nie obudził w nim świadomości jego prawdziwego położenia. My bowiem, którzy widzimy jego położenie takim, jakim ono jest w rzeczywistości, nie możemy nigdy zaprzestać starań, by pacjentowi przedstawiało się ono w zupełnie odmiennym świetle. My wiemy, że zmieniliśmy kierunek jego drogi i że na skutek tego zbacza on już w tej chwili ze swej orbity wokół Nieprzyjaciela; jego samego trzeba jednak utrzymywać w przekonaniu, że postawione przez niego kroki, które spowodowały zmianę tego kierunku, są błahе i odwracalne. Nie wolno mu podejrzewać, że w tej chwili, aczkolwiek powoli, oddala się od słońca po linii, która powiedzie go w najdalszą przestrzeń chłodu i mroku.

Z tej racji jestem prawie zadowolony z wiadomości, że wciąż jeszcze chodzi do kościoła i komunikuje. Wiem, że tkwią w tym niebezpieczeństwa; ale każda inna rzecz jest lepsza niż ta, by miał zdać sobie sprawę z tego, jak dalece zerwał z pierwszym okresem swego chrześcijańskiego życia. Póki zachowuje zewnętrzne obyczaje chrześcijanina, można nim jeszcze tak pokierować, by uważał się za człowieka, który wprawdzie poznał kilku nowych przyjaciół, lecz jego stan duchowy jest niemal taki sam, jak przed sześciu tygodniami. A dopóki myśli on w ten sposób, nie potrzebujemy walczyć w nim z wyraźną skruchą z powodu konkretnego, w pełni uznanego grzechu, lecz jedynie z nieuchwytnym, choć pełnym niepokoju uczuciem, że ostatnio nie postępował całkiem dobrze.

Taki bliżej nieokreślony niepokój wymaga, by obchodzić się z nim ostrożnie. Jeśli przybierze zbyt na sile, może obudzić pacjenta i zepsuć całą grę. Z drugiej strony, jeśli go stłumisz całkowicie — czego, nawiasem mówiąc, Nieprzyjaciel nie pozwoli ci przypuszczać — tracimy w tej sytuacji element, który można by z powodzeniem

wykorzystać. Jeśli takiemu uczuciu pozwala się trwać, lecz nie dopuszcza się do tego, by stało się nieodparte i by rozwinęło się w rzeczywistą skrucę, to wykazuje ono jedną niezwykle cenną tendencję: zwiększa niechęć pacjenta do myślenia o Nieprzyjacielu. Wszystkim ludziom wszystkich prawie czasów zdarza się w jakimś stopniu przeżywać taką niechęć; lecz gdy myślenie o Nim pociąga za sobą potęgowanie się uczucia bliżej nieokreślonej, na pół świadomej winy, której trzeba stawić czoło — niechęć ta wzrasta dziesięciokrotnie. Nienawidzą każdej myśli, która Go przypomina, tak jak ludzie będący w kłopotach finansowych nie znoszą samego widoku książeczki bankowej. W tym stanie Twój pacjent nie będzie opuszczał swych obowiązków religijnych, lecz niechęć do nich będzie stale wzrastała. Będzie o nich myślał tylko tyle, ile mu nakazuje przyzwoitość, by po ich spełnieniu jak najprędzej o nich zapomnieć. Kilka tygodni temu musiałeś go k u s i ć do nierealności i nieuwagi w modlitwie. Teraz sam wyciągnie ku Tobie ręce i nieomal będzie żebrał, byś odciągnął go od właściwego celu i odrętwił serce. Będzie p r a g n ą ł, by modlitwy jego były nierealne, albowiem niczego się tak nie obawia jak rzeczywistego zetknięcia się z Nieprzyjacielem. Jego celem będzie nie budzić robaka toczącego sumienie.

Gdy ten stan rzeczy bardziej się ustali, stopniowo uwolnisz się od nużącego obowiązku dostarczania mu przyjemności jako pokus. W miarę jak ten niepokój i niechęć stawienia mu czoła będą go coraz bardziej oddalać od wszelkiego prawdziwego szczęścia i gdy przyzwyczajenie sprawi, że uciechy płynące z próżności, podniecenia i płytkiej paplaniny staną się mniej przyjemne, a zarazem trudniej się będzie bez nich obejść (bo tak, na szczęście, czyni przyzwyczajenie z każdą przyjemnością) — przekonasz się, że byle co wystarczy, aby przyciągnąć jego rozproszoną uwagę. Nie będziesz już potrzebował dobrej książki, którą naprawdę lubi, by odciągnąć go od modlitwy, pracy lub snu; starczy kolumna ogłoszeń z wczorajszej gazety. Możesz sprawić, że będzie marnotrawił swój czas nie tylko na przyjemnych rozmowach z ludźmi, których lubi, lecz na rozmowach z tymi, którzy go nic nie obchodzą, i na tematy, które go nudzą. Możesz doprowadzić do tego, że długie godziny spędzać będzie beczynn timer. Możesz trzymać go do późnej nocy, trawiącego czas nie na hulance, lecz na wpatrywaniu się w wygasły ogień w zimnym pokoju. Można go będzie powstrzymać od wszelkiej zdrowej działalności poza domem, której sobie nie życzymy,

nie dając mu w zamian n i c; tak że w końcu może kiedyś powiedzieć, jak to określił jeden z moich pacjentów, gdy się tu znalazł: „Teraz widzę, że większą część swego życia spędziłem czyniąc n i to, co powinienem był czynić, n i to, co lubiłem”. Chrześcijanie określają Nieprzyjaciela jako tego, „poza którym jest Nicość”. A Nicość jest bardzo mocna: dość mocna, by wykraść najlepsze lata człowieka, które mijają niepostrzeżenie, spędzane nawet nie w upojeniu grzechem, lecz na ponurym błakaniu się myśli, nie wiadomo gdzie i nie wiadomo w jakim celu; na zaspokajaniu zaciekawień tak słabych, że człowiek tylko połowicznie zdaje sobie z nich sprawę; na bębnieniu palcami po stole i machaniu nogami; na wygwizdywaniu melodii, których nie lubi; na pogrążaniu się w ciemnym labiryncie marzeń, którym brak nawet zmysłowości i ambicji do uzyskania jakiegoś jej posmaku, lecz z których (gdy zostaną raz wywołane jakimś przypadkowym skojarzeniem) stworzenie to, z powodu niemocy i zamroczenia, nie potrafi się otrząsnąć.

Powiesz, że są to bardzo małe grzechy; niewątpliwie, tak jak wszyscy młodzi kusiciele, chciałbyś donosić o sensacyjnych wykroczeniach. Pamiętaj jednak, że jedyną rzeczą, która się liczy, jest to, w jakim stopniu odgradzisz człowieka od Nieprzyjaciela. Nie ma znaczenia to, jak małe są przewinienia, pod warunkiem, że łącznym ich efektem będzie stopniowe odsuwanie człowieka od Światła i pogrążenie go w Nicość. Zabójstwo nie jest w niczym lepsze od kart, jeśli karty potrafią dokonać tego, o co nam chodzi. Doprawdy, najpewniejszą drogą do Piekła jest droga stopniowa — łagodna, miękko usłana, bez nagłych zakrętów, bez kamieni milowych, bez drogowskazów.

*Twój kochający stryj
Krętacz*

Mój drogi Piołunie

Wydaje mi się, że zużyłeś zbyt wiele atramentu, by donieść mi o całkiem prostej sprawie. Pozwoliłeś temu człowiekowi wymknąć Ci się z rąk — oto cała historia. Sytuacja jest bardzo poważna i doprawdy nie widzę żadnych powodów, dla których miałbym Cię osłaniać przed konsekwencjami Twojej nieudolności. Skrucha i wznowienie tego, co tamta strona zowie „łaską”, i to w skali, jaką opisujesz, jest dla nas druzgocącą porażką. Równa się drugiemu nawróceniu, i to dokonaniem prawdopodobnie na głębszym podłożu niż pierwsze.

Ten duszący obłok, który uniemożliwił Twój atak w czasie powrotu pacjenta ze spaceru do starego młyna, jest znanym zjawiskiem i Ty powinienesz być o tym wiedzieć. Jest to najbardziej barbarzyński oręż Nieprzyjaciela, a występuje zazwyczaj wówczas, gdy dla pacjenta On sam jest bezpośrednio, w jakiś bliżej nieokreślony sposób, obecny. Niektórzy ludzie są Nim stale otoczeni i skutkiem tego zupełnie dla nas niedostępni.

A teraz o Twoich błędach. Przede wszystkim, jak wynika z Twojej własnej relacji, pozwoliłeś pacjentowi czytać książkę, która mu się naprawdę podobała, dlatego że mu się podobała, a nie dlatego, aby potem swoimi uwagami o niej popisywać się przed swymi przyjaciółmi. Po wtóre, zgodziłeś się, by przeszedł się w dół do starego młyna na herbatę — spacer w okolicy, którą naprawdę lubi, a w dodatku spacer samotny. Innymi słowy, pozwoliłeś mu na dwie konkretne, pozytywne przyjemności. Czyż byłeś do tego stopnia ślepy, by nie widzieć w tym niebezpieczeństwa? Cechą charakterystyczną cierpienia i przyjemności jest ich oczywista realność, a zatem, jak długo trwają, są dla człowieka, który je przeżywa, probierzem rzeczywistości. Przeto próbując doprowadzić swego pacjenta do wiecznego potępienia metodą romantyczną, czyniąc z niego kogoś w rodzaju Childe Harolda lub Wertera, pogrążonego w uzalaniu się nad samym sobą z powodu urojonych cierpień, winienesz za wszelką cenę zachować go

od jakiegokolwiek rzeczywistego cierpienia, ponieważ pięciominutowy prawdziwy ból zęba ukazałby mu oczywiście nonsens romantycznych strapień i zdemaskowałby całą Twoją strategię. Lecz Ty próbowałeś doprowadzić swojego pacjenta do potępienia wiecznego za pośrednictwem Świata, to jest przez nabieranie go na próżność, rozgardiasz, ironię i kosztowną nudę, potraktowane jako przyjemności. Jak mogłeś tego nie dostrzegać, że p r a w d z i w a przyjemność była ostatnią rzeczą, na jaką mogłeś mu pozwolić. Czy nie przewidziałeś, że przez sam kontrast zniweczy ona te wszystkie bzdury, które tak mozolnie uczyłeś go cenić? I że ten rodzaj przyjemności, jaką dała mu książka i spacer, był najniebezpieczniejszy ze wszystkich? Że to uwolni jego wrażliwość z tej skorupy, którą wokół niej formowałeś i pozwoli mu odczuć, że powraca do rzeczywistości i odzyskuje samego siebie? Dążyłeś do tego, aby odłączyć go od siebie samego, traktując to jako wstępny krok do odłączenia go od Nieprzyjaciela, i osiągnąłeś w tym kierunku pewien postęp. A teraz wszystko to zostało zmarnowane.

Oczywiście wiem, iż Nieprzyjaciół również pragnie oderwać ludzi od nich samych, ale w inny sposób. Pamiętaj zawsze, że On naprawdę lubi tę nikczemną gawiedź i ma ogromny szacunek dla ich osobowości. Kiedy mówi o zatraceniu samych siebie, to pragnie jedynie, by wyrzekli się krzyku własnej woli, a skoro to uczynią, zwraca im całą osobowość i chęłpi się (obawiam się, że szczerze), że gdy oddadzą Mu się całkowicie, będą bardziej sobą niż kiedykolwiek przedtem. Stąd też jakkolwiek cieszy się, widząc, że poświęcają nawet swe niewinne chęci dla Jego woli, to nie znosi, gdy sprzeniewierzają się swej własnej naturze dla jakiegokolwiek innego powodu. My zaś powinniśmy ich zawsze do tego zachęcać. Najgłębsze skłonności i impulsy każdego człowieka są punktem wyjścia i surowcem, w który go Nieprzyjaciół wyposażył. Odcięcie go od tych skłonności i impulsów jest zawsze pewnym zyskiem; nawet w sprawach obojętnych jest rzeczą pożądaną, by w miejsce rzeczywistych własnych upodobań czy niechęci człowieka podstawić normy świata, konwencji lub mody. Oczywiście poszedłbym w tym kierunku jak najdalej. Przyjąłbym zasadę wykorzenienia u mego pacjenta wszelkich wyraźnych upodobań osobistych, które aktualnie nie są grzechem, nawet gdyby to były upodobania zupełnie błahe, takie jak zamiłowanie do krykieta, zbierania znaczków lub też picia kakao. Takie rzeczy, zgadzam się z Tobą, nie mają w sobie nic z cnoty, jest w nich

jednak pewien rodzaj niewinności, pokory i bezinteresowności, do których nie mam zaufania. Człowiek cieszący się prawdziwie i bezinteresownie jakąkolwiek rzeczą na świecie jedynie ze względu na nią samą i nie dbający wcale o to, co inni o tym mówią, jest z góry przez sam ten fakt uzbrojony przeciwko niektórym naszym najsubtelniejszym sposobom atakowania. Powinieneś zawsze skłaniać pacjenta do porzucenia ludzi, pokarmu lub książek, które rzeczywiście lubi, na rzecz „najlepszych” ludzi, „właściwego” pokarmu, „doniosłych” książek. Znałem człowieka, którego przed wielkimi pokusami ambicji społecznych ochroniło jeszcze większe zamiłowanie do flaczków i cebuli.

Należy zastanowić się, w jaki sposób naprawić tę klęskę. Bardzo ważną rzeczą jest powstrzymać go od jakiegokolwiek działalności. Dopóki nie zamieni tej nowej skruchy na czyn, nie ma znaczenia, ile czasu poświęca jej w myśli. Niech się to bydlątko tarza w niej. Jeśli ma ku temu jakieś skłonności, niech napisze książkę na ten temat; często bywa to wybornym sposobem wyjałowienia ziarna, które Nieprzyjaciół rzuca w ludzkie dusze. Niech robi, co mu się podoba, tylko niech nie działa. Żadne natężenie pobożności w jego wyobraźni i uczuciach nie przyniesie nam szkody, jeśli potrafimy utrzymać ją z dala od jego woli. Czynne przyzwyczajenia, jak powiedział to jeden z ludzi, wzmacniają się przez powtarzanie, natomiast bierne słabną. Im częściej pacjent Twój odczuwa pewne sprawy, lecz przy tym nic nie robi, tym mniej staje się w ogóle zdolny do czynu, a na dalszą metę tym mniej zdolny do odczuwania.

*Twój kochający stryj
Krętacz*

Mój drogi Piołunie

W Twoim ostatnim sprawozdaniu o pacjencie najbardziej niepokojące jest to, że nie czyni on żadnego z owych dufnych postanowień, którymi nacechowane było jego pierwsze nawrócenie. Już nic z tych hojnych obietnic o wiecznej cnocie, jak miarkuję; nawet nie oczekuje daru „łaski” na całe życie; pozostała tylko nadzieja na skromną bieżącą zapomogę, potrzebną do sprostania bieżącej, codziennej pokusie. To bardzo źle.

Chwilowo widzę tylko jedną rzecz, którą się trzeba zająć. Twój pacjent stał się pokorny; czy zwróciłeś jego uwagę na ten fakt? Każda cnota staje się dla nas mniej groźna z chwilą, gdy człowiek nabierze przekonania, że ją posiada, a w odniesieniu do pokory jest to szczególnie prawdziwe. Zaskocz go znienacka, w momencie gdy będzie rzeczywiście ubogi w ducha, i przemyć do jego świadomości tę wynagradzającą refleksję: „Na Jowisza! zaczynam być pokorny”, a prawie natychmiast pojawi się pycha — pycha z własnej pokory. Jeśli spostrzeże w tym niebezpieczeństwo i będzie próbował stłumić tę nową postać pychy, uczynić go dumnym z tej próby — i tak dalej poprzez tyle stopni, ile Ci się spodoba, lecz nie posuwaj się w tym kierunku zbyt daleko, abyś nie obudził w nim poczucia humoru i proporcji, w takim bowiem wypadku tylko się z Ciebie wyśmiejie i pójdzie spać.

Lecz istnieją jeszcze inne korzystne sposoby przykucia jego uwagi do cnoty pokory. Przez cnotę pokory, jak zresztą i przez wszystkie inne, Nieprzyjaciół pragnie odwrócić uwagę człowieka od niego samego, a skierować ją ku Sobie i ku bliźnim. Całe poniżenie i znienawidzenie samego siebie ma ostatecznie zmierzać wyłącznie do tego celu. Jeśli tego celu nie osiąga, nie czyni nam wiele szkody; może nam nawet wyjść na korzyść, o ile skupia uwagę człowieka na nim samym, a nade wszystko, jeśli pogarda samego siebie stanie się punktem wyjścia do gardzenia innymi ludźmi, a wreszcie do przygnębiania, cynizmu i okrucieństwa.

Musisz zatem ukryć przed pacjentem prawdziwy cel pokory. Niech nie myśli, że jest ona zapomnieniem o samym sobie, lecz że jest pewnego rodzaju opinią (mianowicie niezbyt pochlebną) o jego własnych talentach i charakterze. Jak wnioskuję, posiada on rzeczywiście pewne talenty. Ugruntuj w jego świadomości przeświadczenie, iż pokora polega na wmawianiu w siebie, że talenty te są mniej cenne niż on o nich sądzi. Bez wątpienia, w rzeczywistości są mniej cenne niż sądzi, ale nie o to chodzi. Istotną rzeczą jest skłonić go, by wartość jakiegoś przymiotu oceniał inaczej niż jest w rzeczywistości, wprowadzając w ten sposób pewien element nieuczciwości i udawania w sam rdzeń tego, co w przeciwnym wypadku mogłoby się stać cnotą. Dzięki stosowaniu tej metody tysiące ludzi uważa, że pokora to piękne kobiety usiłujące uwierzyć, że są brzydkie, inteligentni mężczyźni usiłujący uwierzyć, że są głupcami. A ponieważ to, w co próbują uwierzyć, może być w pewnych wypadkach oczywistym nonsensem, nie potrafią w to uwierzyć; nam z kolei daje to okazję do wytworzenia sytuacji, w której myśli ich wiecznie obracać się będą wokół ich własnej osoby, w usiłowaniach zmierzających do osiągnięcia tego, co niemożliwe.

Aby uprzedzić strategię Nieprzyjaciela, trzeba rozważyć Jego zamiary. Nieprzyjaciel pragnie doprowadzić człowieka do takiego stanu umysłu, w którym mógłby on zaprojektować najwspanialszą katedrę świata i zdawać sobie sprawę z tego, że jest ona najwspanialsza, i cieszyć się tym faktem, nie odczuwając jednak z tego powodu większego (ani mniejszego) ani innego zadowolenia niż to, jakie odczuwałby, gdyby tego dokonał ktoś inny. Nieprzyjaciel chce w końcu, by człowiek był tak dalece wolny od wszelkiej stronniczości na swoją korzyść, iżby mógł cieszyć się własnymi talentami tak szczerze i pogodnie jak talentami swego bliźniego lub wschodem słońca, słońcem czy wodospadem. Na dalszą metę chce On, by każdy człowiek był zdolny uznać wszelkie stworzenia (nawet siebie samego) za coś wspaniałego i doskonałego. Pragnie On zabić czym prędzej ich zwierzęcą miłość własną: lecz obawiam się, że w Swej polityce długofalowej pragnie On ożywić w nich nowy rodzaj miłości własnej — dobroczynność i uczucie wdzięczności dla wszystkich, włączając w to także samych siebie. Z chwilą gdy się naprawdę nauczą kochać swych bliźnich jak siebie samych, wolno im będzie kochać siebie jak swych bliźnich. Albowiem nie możemy nigdy zapominać o tym, co jest najbardziej odpychającym i niewytłumaczalnym

rysem Nieprzyjaciela; On r z e c z y w i ś c i e kocha te stworzone przez siebie bezwłose dwunożne istoty i to, co odejmuje jedną ręką, zawsze oddaje im drugą.

Cały jego wysiłek pójdzie więc w tym kierunku, by całkowicie odwrócić uwagę człowieka od sprawy jego własnej wartości. Wolałby raczej, by człowiek uznał się w myśli za wielkiego architekta lub wielkiego poetę, a potem o tym zapomniał, niż żeby tracił wiele czasu i wysiłków, próbując uważać się za kiepskiego. Twoje usiłowania, by wsaczyć w pacjenta chępliwość lub fałszywą skromność spotkają się ze strony Nieprzyjaciela ze zrozumiałą przestrożą, że od człowieka nie żąda się wcale, aby miał wyrobione zdanie o swych talentach i że nic nie stoi na przeszkodzie, aby je dalej udoskonalał wedle najlepszych swych zdolności, bez dokładnego wyznaczania sobie właściwego miejsca w świątyni Sławy. Musisz starać się za wszelką cenę nie dopuścić tej przestrogi do świadomości swego pacjenta. Nieprzyjaciel będzie również dążył do tego, aby pacjent zdał sobie sprawę z realności doktryny, którą oni wszyscy wyznają, lecz z którą uczuciowo trudno im się pogodzić — doktryny, że nie oni siebie stworzyli, że ich talenty zostały im dane i że równie dobrze mogliby być dumni z koloru swych włosów. Nieprzyjaciel będzie się starał zawsze i wszelkimi sposobami odwrócić myśl pacjenta od tych zagadnień; Twoim natomiast zadaniem będzie przykuć do nich jego uwagę. Nieprzyjaciel nie pragnie nawet, by myślał zbyt wiele o swych grzechach; skoro raz zostały odżałowane, to im prędzej człowiek odwróci od nich swą uwagę, tym bardziej Nieprzyjaciel będzie zadowolony.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Oczywiście zauważyłem, że ludzkość przechodziła ostatnio okres chwilowego uciszenia w europejskiej wojnie — w tym co oni nazywają naiwnie w o j n ą! — i nie dziwię się, że przycichły także niepokoje pacjenta. Czy w naszym interesie leży, aby to popierać, czy też mamy podtrzymywać jego udrękę? Zarówno dręczące obawy, jak i głupia pewność siebie są pożądanymi stanami umysłu. Nasz wybór pomiędzy jednym a drugim wiąże się z innymi ważnymi problemami.

Ludzie żyją w czasie, lecz Nieprzyjaciel przeznacza ich do wieczności. Dlatego, moim zdaniem, chce On, by zwracali swą uwagę głównie na dwie rzeczy: na samą wieczność i na ten punkt w czasie, który oni nazywają terażniejszością. Terażniejszość bowiem jest punktem, w którym czas styka się z wiecznością. W odniesieniu do terażniejszego momentu, i tylko w odniesieniu do niego, doznania ludzi są podobne do doznań, których nasz Nieprzyjaciel doświadcza w stosunku do całej rzeczywistości; tylko w tym momencie darowana jest ludziom wolność i aktualność. Chciałby dlatego, aby ich zainteresowania kierowały się nieustannie albo ku wieczności (co jest jednoznaczne z kierowaniem swych zainteresowań ku Niemu), albo ku terażniejszości — by albo rozmyślali o wiekuistej z Nim łączności lub rozłące, albo szli za aktualnym głosem sumienia, znosili aktualnie przeznaczony im krzyż w oparciu o aktualnie otrzymaną łaskę, dziękując za aktualnie przeżywane przyjemności.

W naszym interesie leży, aby odciągnąć ich od tego, co wieczne, i od tego, co terażniejsze. Mając to na uwadze, kusimy czasem człowieka (powiedzmy jakąś wdowę lub naukowca), aby żył przeszłością. Lecz ma to ograniczoną wartość, gdyż do pewnego stopnia posiadają oni rzeczywistą znajomość przeszłości, która z kolei ma wyraźnie określony charakter i pod tym względem przypomina wieczność. Daleko lepiej jest nakłonić ich do tego, by żyli przyszłością. Już biologiczna konieczność

skierowuje wszystkie ich namiętności w tę stronę, tak że myśl o przyszłości budzi w nich uczucia nadziei i trwogi. W dodatku przyszłość jest im nieznana; skłaniając ich więc do myślenia o niej, skłaniamy ich do myślenia o rzeczach i sprawach nierealnych. Krótko mówiąc, ze wszystkich rzeczy przyszłość n a j m n i e j przypomina wieczność. Jest ona najbardziej doczesną częścią czasu — przeszłość jest już bowiem zmrożona i znieruchomiała, a terażniejszość jest prześwietlona promieniami wieczności. Stąd poparcie, jakiego udzielaliśmy i udzielamy takim schematom myślowym, jak twórcza ewolucja, humanizm naukowy czy też komunizm, które kierują myśli i uczucia ludzi ku przyszłości, w samo sedno doczesności. Dlatego prawie wszystkie występki i wykroczenia tkwią swymi korzeniami w przyszłości. Wdzięczność kieruje się ku przeszłości, a miłość ku terażniejszości; strach, chciwość, nieczystość i ambicja ku przyszłości. Niech Ci się nie wydaje, że nieczystość jest tu wyjątkiem. Gdy nadchodzi aktualna przyjemność, grzech (który nas tu wyłącznie obchodzi) już się dokonał. Przyjemność jest właśnie tą częścią tego procesu, z powodu której ubolewamy i którą chętnie wykluczylibyśmy, gdybyśmy tego mogli dokonać bez utraty grzechu; jest ona dziełem Nieprzyjaciela i dlatego doświadczana jest w terażniejszości. Grzech, który jest naszym dziełem, patrzył w przyszłość.

Bez wątpienia Nieprzyjaciel chce, aby ludzie myśleli również o przyszłości — dokładnie tyle, ile potrzeba do dzisiejszego zaplanowania uczynków sprawiedliwości lub miłości bliźniego, które przypuszczalnie będą ich jutrzejszym obowiązkiem. Obowiązek planowania jutrzejszych czynności jest obowiązkiem dnia d z i s i e j s z e g o; aczkolwiek dotyczy on spraw przyszłych, obowiązek, jak wszystkie obowiązki, tkwi w terażniejszości. Tu nie chodzi o rozcinanie żdźbła na części. On nie chce, aby ludzie byli całkowicie pochłonięci przyszłością, by w niej umieszczali swe skarby. My chcemy. Jego ideałem jest człowiek, który po całodziennej pracy dla dobra potomności (jeśli to jest jego powołanie) potrafi o tym wszystkim zapomnieć, sprawę polecić Niebu i przyjąć od razu postawę nacechowaną cierpliwością lub wdzięcznością, w zależności od wymogów bieżącej chwili. My natomiast chcemy człowieka nękanego przyszłością, nawiedzonego wizją nadchodzącego raju lub piekła na Ziemi, gotowego w terażniejszości łamać polecenia Nieprzyjaciela, jeśli potrafimy go przekonać, że czyniąc to, może

osiągnąć jedno lub odwrócić drugie; w wierze swej zależnego od sukcesu lub bankructwa planów, których ostatecznego rozwiązania nie będzie już za swego życia oglądał. Chcemy stworzyć całe pokolenia ustawicznie goniące za tęczowymi mirażami; pokolenia ludzi ani uczciwych, ani życzliwych, ani n a b i e ż ą c o szczęśliwych, ludzi, którzy każdy rzeczywisty dar otrzymany w terażniejszości zużytkowują jako środek napędowy do wznoszenia ołtarza przyszłości.

Pomijając inne nieistotne tu sprawy, można więc ogólnie przyjąć, że lepiej byłoby, aby Twój pacjent w związku z tą wojną był pełen obaw lub nadziei (przy czym nie ma większego znaczenia, czy przeżywał będzie to pierwsze, czy to drugie), niż gdyby miał żyć terażniejszością. Lecz wyrażenie „żyć terażniejszością” jest dwuznaczne. Może ono oznaczać proces, który w gruncie rzeczy bazuje na przyszłości w tym samym stopniu, co obawa. Możliwa jest sytuacja, w której Twój pacjent nie będzie się martwił o przyszłość nie dlatego, że interesuje się terażniejszością, lecz dlatego, ponieważ wyperswadował sobie, że przyszłość ułoży się przyjemnie. Dopóki to jest prawdziwym powodem jego uspokojenia, uspokojenie to wyjdzie nam na korzyść, ponieważ przygotowuje mu ono tym większe rozczarowanie, a w konsekwencji większe zniecierpliwienie, z chwilą gdy jego złudne nadzieje prysną. Jeżeli natomiast zdaje sobie sprawę z tego, że mogą go oczekiwać rzeczy okropne, i modli się o cnoty potrzebne, aby im sprostać, a tymczasem zajmuje się terażniejszością, dlatego że w niej, i tylko w niej, istnieją wszelkie obowiązki, wszelkie łaski, wszelkie poznanie i wszelkie przyjemności, to jego postawa jest bardzo niepożądana i powinna być natychmiast zaatakowana. Tutaj jeszcze raz przychodzi nam z pomocą nasz Oddział Filologiczny, spróbuj w jego wypadku słowa „ukontentowanie”. Lecz jest rzeczą wielce prawdopodobną, że „żyje on terażniejszością” nie dla żadnej z powyższych przyczyn, lecz po prostu dlatego, że cieszy się dobrym zdrowiem i lubi swoją pracę. Byłoby to wówczas zjawisko czysto naturalne. Mimo wszystko na Twoim miejscu zburzyłbym ten stan rzeczy. Żadne naturalne zjawisko nie przynosi nam w gruncie rzeczy korzyści. Bo w końcu, dlaczego to stworzenie m i a ł o b y być szczęśliwe?

*Twój kochający stryj
Krętaacz*

Mój drogi Piołunie

Wspomniałeś przypadkowo w ostatnim liście, iż pacjent od chwili nawrócenia uczęszcza bez przerwy do jednego i tylko jednego kościoła oraz że nie jest całkowicie z niego zadowolony. I cóż Ty na to, jeśli wolno zapytać? Dlaczego dotychczas nie otrzymałem od Ciebie sprawozdania o przyczynach wierności dla parafialnego kościoła? Czy zdajesz sobie sprawę, że o ile nie jest to przejaw obojętności, jest to rzecz bardzo zła? Na pewno wiesz, że gdy jakiegoś człowieka nie można uleczyć z chodzenia do kościoła, to najlepiej wysłać go w sąsiednią okolicę, by póty szukał kościoła, który by mu „dogadzał”, aż stanie się wybrednym smakoszem i znawcą kościołów.

Powody są oczywiste. Po pierwsze, parafialna organizacja powinna być zawsze atakowana, ponieważ będąc jednością miejsca, a nie upodobań, jednoczy w ten sposób zgodnie z wolą Nieprzyjaciela ludzi różnych klas i psychiki. Natomiast zasada kongregacyjna czyni z każdego kościoła rodzaj klubu i ostatecznie — jeśli wszystko idzie dobrze — koterię lub stronnictwo. Po drugie, poszukiwanie „odpowiedniego” kościoła czyni z człowieka krytyka, wtedy gdy Nieprzyjaciel pragnie w nim widzieć ucznia. Od człowieka świeckiego oczekuje On w kościele postawy, która wprawdzie może być krytyczna w znaczeniu odrzucania tego, co fałszywe i nieprzydatne, lecz która ma być bezkrytyczna przez to, że nie traci czasu na szerokie i długie roztrząsanie w myśli powodów, dla których to czy owo zostało odrzucone, lecz raczej w skupieniu i pokornej gotowości otwiera się na przyjęcie wszelkiego dobra, które mu podają. (Sam widzisz, jak On się poniża, jaki jest nieuduchowiony, jak beznadziejnie wulgarny). Ta postawa stwarza specjalnie w czasie kazań — stan niezwykle niesprzyjający dla całej naszej polityki, w którym owe nudziarstwa mogą rzeczywiście trafić do ludzkiej duszy. Nie ma prawie kazania ani książki, która nie byłaby dla nas niebezpieczna, jeśli zostanie przyjęta w tym usposobieniu. Proszę więc, rusz się i jak najprędzej poślij

tego durnia na obchód sąsiednich kościołów. Rejestr Twoich ostatnich poczynąń nie daje nam zbyt wiele zadowolenia.

W naszym biurze ewidencyjnym zasięgnąłem informacji o dwu kościołach w najbliższym sąsiedztwie — obydwie zasługują na uwagę. W pierwszym z nich proboszcz tak gorliwie zajął się rozwadnianiem prawd wiary, by je uczynić łatwiejszymi dla niedowierzającej, jak przypuszczam, i ciężko myślącej kongregacji, że obecnie zaskakuje on parafian swą własną niewiarą, a nie n a o d w r ó t. W niejednej duszy podkopał już chrześcijaństwo. Jego prowadzenie nabożeństw jest również godne podziwu. W celu zaoszczędzenia świeckim wszelkich „trudności”, zaniechał lekcjonarza i naznaczonych psalmów, i obecnie, nie zdając sobie z tego sprawy, kręci nieustannie kołowrotek swych piętnastu ulubionych psalmów i dwudziestu ulubionych lekcji. W tym stanie rzeczy nie grozi nam niebezpieczeństwo, żeby jakaś prawda, która jemu lub jego owczarni nie jest jeszcze dobrze znana, dotarła kiedykolwiek do ich świadomości przez Pismo Święte. Ale może Twój pacjent nie jest na tyle głupi — lub jeszcze nie — by kościół ten mógł nam przynieść pożytek?

W drugim kościele mamy Fr. Spike’a. Ludzie chcący ogarnąć zakres jego poglądów bywają często zakłopotani; nie mogą pojąć, dlaczego jednego dnia jest on prawie komunistą, a następnego dnia jest niedaleki od pewnego rodzaju teokratycznego faszyzmu — jednego dnia jest scholastykiem, by w następnym przeczyć prawie zupełnie wartości ludzkiego rozumu — jednego dnia nurza się w polityce, a nazajutrz głosi, że wszystkie państwa tego świata w r ó w n e j m i e r z e „podlegają sądowi”. My naturalnie widzimy ogniwo wiążące te sprzeczności; jest nim niechęć do ludzi i przekora. Ten człowiek nie potrafi głosić czegokolwiek, co nie jest obliczone na poruszenie, urażenie, zakłopotanie albo upokorzenie swych parafian i ich przyjaciół. Kazanie, na które ci ludzie mogliby się zgodzić, byłoby dla niego tak nudne jak oklepany poemat w ich wykonaniu. Jest w nim również pewna obiecująca skaza nieuczciwości; można go skusić, aby mówił „Kościół naucza...”, podczas gdy w rzeczywistości myśli: „Jestem tego prawie pewien, że czytałem ostatnio u Maritaine’a czy u kogoś podobnego”. Ale muszę Cię ostrzec, iż posiada on jedną fatalną wadę: on naprawdę wierzy. A to może jeszcze wszystko popsuć.

Lecz istnieje jedna korzystna okoliczność, wspólna obu kościołom — oba są kościołami partykularnymi. Zdaje się, iż ostrzegałem Cię

uprzednio, że o ile nie da się utrzymać pacjenta z dala od Kościoła, to należy go przynajmniej związać mocno z jakimś stronnictwem w Kościele. Nie myślę tu o jakimś odłamie na tle prawdziwie doktrynalnym; w tych sprawach im bardziej jest obojętny, tym lepiej. Poza tym przy wytwarzaniu złośliwości nie liczymy w pierwszym rzędzie na kwestie doktrynalne. Prawdziwa uciecha to wytworzenie nienawiści między tymi, którzy m ó w i ą „msza”, a tymi, którzy m ó w i ą „święta komunია”, gdy równocześnie żadna ze stron nie potrafiłaby na przykład wyjaśnić różnicy między doktryną Hookera a Tomasza z Akwinu, w sposób, który ostałby się krytyce bodaj przez pięć minut. A jakież cudowny grunt dla naszej działalności stanowią takie skądinąd obojętne rzeczy, jak świece, szaty i inne podobne drobiazgi. Usunęliśmy prawie zupełnie ze świadomości ludzkiej to, czego ten tak bardzo dla nas szkodliwy kaznodzieja Paweł nauczał swego czasu o pokarmach i innych nieistotnych rzeczach — mianowicie, iż człowiek bez skrupułów winien się zawsze liczyć w postępowaniu z człowiekiem skrupulatnym. Wydawałoby się, że aktualność tej zasady jest dla nich jak najbardziej oczywista. Można by się spodziewać, że zobaczysz człowieka „Niskiego Kościoła” klękającego i żegnającego z obawy, by nie zgorszyć delikatnego sumienia brata z „Wysokiego Kościoła” brakiem religijnego uszanowania; i przeciwnie, członka „Wysokiego Kościoła” wstrzymującego się od tych oznak czci w obawie, by nie zawieść swego brata z „Niskiego Kościoła” do bałwochwalstwa.

I tak by istotnie było, gdyby nie nasz nieustanny wysiłek. Bez niego różnaitość zwyczajów anglikańskiego Kościoła mogłaby się stać istną cieplarnią chrześcijańskiego miłosierdzia i pokory.

*Twój kochający stryj
Krętacz*

Mój drogi Piołunie

Lekceważenie, z jakim wyrażałeś się w Twym ostatnim liście o obżarstwie jako sposobie zdobywania dusz, jest świadectwem Twojej ignorancji. Jednym z wielkich osiągnięć ostatniego stulecia jest znieczulenie ludzkiego sumienia na tym punkcie, tak iż obecnie, jak Europa długa i szeroka, z trudnością usłyszałbyś kazanie piętnujące obżarstwo lub znalazłbyś sumienie nim zaniepokojone. Osiągnęliśmy ten sukces głównie przez ześrodkowanie wszystkich naszych wysiłków na obżarstwie smakoszostwa, nie zaś na obżarstwie pochodzącym z nadmiaru. Dobrym tego przykładem jest, jak dowiaduję się z jej akt, matka Twego pacjenta, o czym mogłeś się być zresztą dowiedzieć od Glubose'a. Byłaby zdumiona — i mam nadzieję, że pewnego dnia będzie — gdyby się dowiedziała, że całe jej życie wciągnięte jest w jarzmo tego rodzaju zmysłowości; nie może zaś tego dostrzec, ponieważ ilości pokarmu, które tu wchodzi w grę, są niewielkie. Lecz cóż za znaczenie ma ilość w wypadku, gdy możemy użyć ludzkiego żołądka i podniebienia do sprowokowania kłótności, zniecierpliwienia, nieżyczliwości i przesadnej troski o siebie? Glubose trzyma tę starą kobietę mocno w garści. Jest ona istnym postrachem goszczących ją gospodyń i służących. Zawsze się odwraca od tego, co jej podano, aby z delikatnym westchnieniem powiedzieć: „Ależ błagam... w s z y s t k o, czego mi potrzeba, to filiżanka herbaty, słaba, ale nie za słaba, i naprawdę małej kawałek kruchej grzanki”.

Pojmujesz? Ponieważ to, czego żąda, jest mniejsze i mniej kosztowne od tego, co jej podano, nigdy nie uzna za obżarstwo swej stanowczej chęci otrzymania tego, czego pragnie, nawet jeśli to może być bardzo kłopotliwe dla innych. W chwili prawdziwego folgowania swemu apetytowi wierzy, iż praktykuje umiarkowanie. Na widok talerza stawianego przed nią przez zapracowaną kelnerkę w zatłoczonej restauracji wydaje lekki okrzyk i mówi: „Och, to za dużo, o wiele

za dużo. Proszę to zabrać i przynieść mi mniej więcej czwartą część tego”. W razie sprzeciwu powiedziałaaby, że postępuje tak przecież tylko dlatego, aby uniknąć marnotrawstwa. W rzeczywistości powodem jej postępowania jest osobliwy odcień smakoszystwa, którym myśmy ją ujarzmili, a które zostało urażone widokiem większej ilości pożywienia, niż jej akurat potrzeba.

Rzeczywistą wartość spokojnej i dyskretnej pracy, którą Głubose pełni od lat przy tej starej kobiecie, można ocenić wedle skali, w jakiej jej żołądek panuje obecnie nad jej życiem. Kobieta ta jest w stanie umysłu, który można wyrazić powiedzeniem: „Wszystko, czego mi potrzeba”. W s z y s t k o, czego potrzebuje, to filiżanka herbaty należycie zaparzonej lub jajko należycie ugotowane, lub wreszcie kromka chleba należycie przyrumieniona. Nigdy jednak nie natrafia ona na służącą czy też przyjaciółkę, która potrafiłaby przyrządzić te proste potrawy „należycie”, a to dlatego, że jej „należycie” kryje w sobie nienasycone pożądanie jakiegoś doskonałego, prawie że niemożliwego do osiągnięcia dogodzenia podniebieniu, którego jak się jej wydaje, doznawała w przeszłości. Przeszłość, którą ona opisuje jako „czasy, w których można było znaleźć dobrą służącą”, my znamy jako dni, kiedy jej zmysły łatwiej doznawały zadowolenia, a ponadto znajdowała ona wówczas przyjemności innego rodzaju, które czyniły ją mniej zależną od uciech stołu. Tymczasem obecnie codzienne rozczarowania powodują codzienne złe humory — kucharki składają wypowiedzenia, a przyjaźnie ostygają. Jeśli Nieprzyjaciel budzi w jej świadomości słabe podejrzenie, iż zbyt troszczy się o pożywienie, to Głubose przeciwważa je natychmiast, sugerując jej, iż nie chodzi jej przecież o to, co sama jada, lecz „lubi, aby jej chłopak miał wszystko dobrze przyrządzone”. W gruncie rzeczy jej łakomstwo jest właśnie jedną z głównych przyczyn jego, trwającego od lat, niezadowolenia z rodzinnego domu.

Otóż Twój pacjent jest nieodrodnym synem swej matki. Czyniąc, co możesz, zresztą zupełnie słusznie, na innych frontach, nie powinienes zaniedbywać powolnej infiltracji na odcinku obżarstwa. Będąc mężczyzną, nie da się przypuszczać, iż złapać na zwodniczy frazes: „W s z y s t k o, czego mi potrzeba”. Mężczyzn łatwiej przemienia się w żarłoków, wykorzystując ich próżność. Należy ich tak urobić, by uważali się za znawców w dziedzinie kulinarnej, by na przykład chełpili się tym, że odkryli w mieście jedyną restaurację, w której

naprawdę zrazy są „należycie” usmażone. To, co zaczyna się od próżności, stopniowo można zamienić w przyzwyczajenie. Lecz niezależnie od tego, jak podejdziesz do tej sprawy — najważniejsze jest doprowadzić pacjenta do takiego stanu, w którym niemożność dogodzenia sobie — obojętnie czy to będzie chodzić o szampana, herbatę czy papierosy — „wyprowadza go z równowagi”, wówczas bowiem jego cnoty — miłosierdzie, sprawiedliwość, posłuszeństwo — zdane są wszystkie na Twoją łaskę i niełaskę.

Samo nieumiarkowanie w jedzeniu jest o wiele mniej cenne niż smakoszostwo. Jego główne zastosowanie jest czymś w rodzaju przygotowania artyleryjskiego do ataku na czystość. W tej sprawie, jak zresztą w każdej innej, utrzymuj swego człowieka w stanie fałszywego uduchowienia. Niech w niej nigdy nie dostrzeże aspektu medycznego. Niech zastanawia się i dziwi, co za pycha czy też brak wiary popchnął go w Twe ręce, podczas gdy proste spojrzenie wstecz i przebadanie tego, co jadł czy pił w ciągu ostatnich 24 godzin, wykazałoby mu, skąd pochodzi Twoja amunicja, i w ten sposób przez małą nieraz abstynencję Twoje linie komunikacyjne mogłyby zostać zagrożone. Jeśli Twój pacjent musi już myśleć o fizjologicznej stronie czystości, to karm go wielkim kłamstwem, w które za naszą sprawą Anglicy uwierzyli, iż nadmierne ćwiczenia fizyczne oraz wynikające stąd zmęczenie szczególnie sprzyjają tej cnotie. Można się słusznie zapytać, jak wobec powszechnie znanej poządliwości marynarzy i żołnierzy potrafią oni w to jeszcze wierzyć. Lecz myśmy użyli nauczycieli szkolnych, by ten pogląd rozpowszechnić — ludzi, którzy naprawdę byli zainteresowani czystością, traktując ją jako usprawiedliwienie gier sportowych i zalecając gry jako pomoc do zachowania czystości. Lecz cała ta sprawa jest zbyt obszerna, by zajmować się nią na samym końcu listu.

*Twój kochający stryj
Krętacz*

Mój drogi Piołunie

Nawet w szkole prowadzonej przez Slubgoba musiałeś się uczyć rutyniarskiej techniki kuszenia seksualnego, a ponieważ dla nas, duchów, cała ta dziedzina jest wyjątkowo nudna (jakkolwiek stanowi konieczną część naszego wyszkolenia), nie będę się nad nią zatrzymywał. Lecz jeśli chodzi o wyrobienie sobie szerszego spojrzenia na te zagadnienia, to sądzę, że musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Wymagania Nieprzyjaciela stawiane ludziom przybierają formę dylematu: a l b o zupełna wstrzeźliwość, a l b o konsekwentne jednożeństwo. Już od chwili pierwszego wielkiego zwycięstwa naszego Ojca całkowita wstrzeźliwość dzięki naszym zabiegom jest dla ludzi zadaniem niezwykle trudnym. Natomiast ucieczkę w drugim kierunku zagradzamy im już od kilkuset lat. Dokonujemy tego przez poetów i powieściopisarzy, przekonując ludzi, że jedyną przyzwoitą pobudką wstępowania w związek małżeński jest owo ciekawe, a zazwyczaj krótkotrwałe przeżycie zwane „zakochaniem się”, że małżeństwo może i powinno to przeżycie utrwalić i że małżeństwo, które tego nie spełnia, przestaje być obowiązujące. W ten sposób sparodiowaliśmy ideę pochodzącą od Nieprzyjaciela. Cała filozofia Piekła opiera się na uznaniu pewnika, że jedna rzecz nie jest drugą rzeczą, a zwłaszcza, że jedna jaźń nie jest drugą jaźnią. Moje dobro jest tylko moim dobrem, a twoje dobro jest twoim. Co jeden zyskuje, to drugi traci. Nawet martwy przedmiot jest tym, czym jest, dzięki wykluczeniu z zajmowanej przez siebie przestrzeni wszelkich innych przedmiotów; jeśli coś się powiększa, czyni to przez odepchnięcie od siebie innych przedmiotów albo przez pochłonięcie ich. To samo odnosi się do ludzkiej osoby. U zwierząt pochłonięcie przybiera formę pożarcia; dla nas, szatanów, oznacza to wessanie woli i wolności osobnika słabszego przez silniejszego. „Być” z n a c z y „trwać we współzawodnictwie o byt”.

Natomiast filozofia Nieprzyjaciela nie jest niczym innym jak ciągłym usiłowaniem zmierzającym do ominięcia tej najoczywistszej prawdy. On zmierza do sprzeczności. Ma być zachowana wielość rzeczy, które w jakiś niewytłumaczony sposób mają również stanowić jedność. Dobro jednej osoby ma być dobrem drugiej. Tę niemożliwość nazywa On m i ł o ś c i ą, i to samo monotonne panaceum można wyśledzić we wszystkich Jego poczynaniach, a nawet we wszystkim, czym jest — lub ma pretensję być. Skutkiem tego nawet jeśli chodzi o Jego własny byt, nie zadowala się jednością w sensie ściśle arytmetycznym; chce być troistym, a równocześnie jedynym, by w ten sposób cały ten nonsens o miłości mógł znaleźć oparcie w Jego własnej naturze. Na przeciwległym krańcu tej skali wprowadza On do materii ten obrzydliwy wynalazek — organizm — w którym poszczególne części zostały w sposób przewrotny oderwane od ich naturalnych funkcji rywalizacji i współzawodnictwa pomiędzy sobą, a skierowane ku zgodnemu współdziałaniu dla dobra całości.

Rzeczywisty motyw, jakim kierował się Nieprzyjaciół, decydując się na ustanowienie płci jako środka przekazywania życia, jest jednak zbyt widoczny ze sposobu, w jaki ją wykorzystał. Płeć — z naszego punktu widzenia — mogła być całkowicie nieszkodliwa. Mogła być tylko jednym więcej sposobem, w jaki silniejszy osobnik napada na słabszego — jak to ma miejsce wśród pajaków, gdzie oblubienica kończy swe gody weselne pożarciem swego oblubieńca. Lecz u ludzi Nieprzyjaciół połączył niedorzecznie miłość pomiędzy stronami z pożądaniem seksualnym. On również uzależnił potomstwo od rodziców, a rodzicom udzielił impulsu do jego wychowania — stwarzając w ten sposób Rodzinę, podobną do organizmu, tylko gorszą, gdyż jej członkowie są jednostkami bardziej odrębnymi, a równocześnie powiązanymi z sobą w sposób bardziej świadomy i odpowiedzialny. W rzeczywistości okazuje się, że cała ta rzecz to jeszcze jeden pomysł wciągania ludzi w sferę Miłości.

A teraz do rzeczy. Nieprzyjaciół określił zaślubioną parę jako „jedno ciało”. Nie powiedział „szczęśliwie zaślubiona para” albo „para zaślubiona, ponieważ była zakochana”; ty jednak możesz doprowadzić do tego, by ludzie to przeoczyli. Możesz również sprawić, by zapomnieli, że człowiek, zwany przez nich Pawłem, nie ograniczył tej jedności wyłącznie do par z a ś l u b i o n y c h. Sam stosunek cielesny czyni według niego „jedno ciało”. Można więc tak pokierować sprawę, by to,

co w pismach Pawła było prostym podkreśleniem doniosłości samego faktu płciowego obcowania, ludzie przyjęli jako literacką pochwałę „zakochania”. Prawdą jest, że gdziekolwiek mężczyzna współżyje fizycznie z kobietą, tam — czy strony tego chcą, czy nie chcą — zadzierzga się pomiędzy nimi transcendentalna więź, która będzie trwała wiecznie, przynosząc szczęście lub cierpienie.

Z prawdziwej przesłanki, że ta transcendentalna więź z przeznaczenia swego miała zmierzać do wytworzenia uczucia miłości i rozbudowania rodziny — co się rzeczywiście nazbyt często zdarza, w wypadku gdy zawiązuje się ją z uczciwymi zamiarami — ludzie powinni, dzięki odpowiednim zabiegom z naszej strony, wysnuć fałszywe przekonanie, że owa mieszanina czułości, lęku i żądy zwana „zakochaniem się” jest jedyną rzeczą, która czyni małżeństwo szczęśliwym albo świętym. Urobienie takiego błędnego mniemania jest o tyle łatwe, że w zachodniej Europie „zakochanie” bardzo często poprzedza związki małżeńskie, zawarte zgodnie z wolą i zamierzeniami Nieprzyjaciela, to znaczy z intencją wierności, płodności i dobrej woli; podobnie jak religijne wzruszenie towarzyszy bardzo często — choć nie zawsze — religijnemu nawróceniu. Innymi słowy, trzeba ludzi zachęcać, aby sądzili, że podstawą do małżeństwa jest jakaś mocno ukoloryzowana i wykrzywiona wersja tego, co Nieprzyjaciel istotnie przyobiecał, ale dopiero jako jego rezultat. Osiąga się przez to podwójną korzyść. Z jednej strony, ludzi nie posiadających daru wstrzemięźliwości można odciągnąć od szukania rozwiązania tej trudności w małżeństwie, ponieważ nie czują się „zakochani” — myśl zaś o zawarciu małżeństwa z jakiegokolwiek innej przyczyny wydaje im się, dzięki naszym wysiłkom, poniżająca czy wręcz cyniczna. I rzeczywiście ludzie tak sądzą. Uważają, że intencja lojalności partnerowi dla zachowania czystości, wzajemnej pomocy i przekazania życia jest czymś niższym od burzliwych emocji. (Postaraj się wytworzyć w Twym pacjencie przekonanie, że ceremonia zaślubin jest w swej istocie czymś obrażającym i poniżającym). Z drugiej strony, każde seksualne zaślepienie, jakiegokolwiek by ono było, dopóki zmierza do małżeństwa, będzie uważane za „miłość”, a „miłość” będzie usprawiedliwiać wszelkie przewinienia człowieka. Rodząca się z takiego myślenia opinia publiczna nie pozwoli mu dostrzec konsekwencji wynikających z poślubienia osoby bezbożnej, głupiej lub rozpustnej. Lecz więcej na ten temat w następnym liście.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Mocno się zastanawiałem nad kwestią poruszoną w Twym ostatnim liście. Jeśli wszystkie byty, jak to jasno wykazałem, już z natury swej między sobą współzawodniczą, a tym samym idea Miłości głoszona przez Nieprzyjaciela pozostaje z tym w jawnej sprzeczności, to jaki sens mają moje tylokrotnie ponawiane ostrzeżenia, iż On naprawdę kocha tę ludzką gawiedź i rzeczywiście pragnie ich wolności i nieprzerwanej egzystencji? Mam nadzieję, mój drogi chłopcze, że nie pokazałeś nikomu mych listów. Oczywiście nie dlatego, aby to miało jakieś znaczenie. Nietrudno przecież dostrzec, że pozorna herezja, w jaką popadłem, jest zupełnie przypadkowym potknięciem się. A propos, mam nadzieję, że zrozumiałeś również, iż niektóre pozornie niepochlebne aluzje co do Sługoba miały charakter wyłącznie żartobliwy. W rzeczywistości mam dla niego najwyższy szacunek. No i oczywiście to, co napisałem, że nie będę Cię osłaniał przed władzami, nie było pomyślane na serio. Lecz proszę Cię, trzymaj to wszystko pod kluczem.

Prawdą jest, że stało się to wyłącznie przez nieuwagę, kiedy powiedziałem, że Nieprzyjaciół naprawdę kocha ludzi. To jest naturalnie niemożliwością. On i ludzie to dwa odrębne światy. Ich dobro nie może być Jego dobrem. Całe Jego gadanie o Miłości musi być maską, za którą kryje się coś innego — On musi mieć jakiś r z e c z y w i s t y motyw, stwarzając ich i tak bardzo się o nich troszcząc. Powodem tego, że zapominamy się i zaczynamy mówić, jakoby On rzeczywiście posiadał tę niemożliwą Miłość, jest nasza kompletna bezsilność i niemożność wykrycia prawdziwego motywu. Jak On ich zamyśla wykorzystać? To jest właśnie ta nierozwiązalna zagadka. Nie sądzę, by to mogło przynieść jakąś szkodę, jeśli Ci zdradzę, że ten właśnie problem był główną przyczyną sporu między Naszym Ojcem a Nieprzyjacielem. Kiedy sprawa stworzenia człowieka została po raz pierwszy poruszona i kiedy już wówczas Nieprzyjaciół wykrył, iż przewidział pewien epizod z krzyżem,

Nasz Ojciec poprosił zwyczajnie o rozmowę i wyjaśnienie. Zamiast rzeczowej odpowiedzi Nieprzyjaciel przedstawił mu tę nieprawdopodobną historię o bezinteresownej Miłości, którą aż do tej chwili podtrzymuje i rozpowszechnia. Ojciec nasz nie mógł się naturalnie na taką odpowiedź zgodzić. Błagał Nieprzyjaciela, by odkrył swe karty, i dawał Mu do tego wszelką sposobność. Wyznał, iż gorąco pragnie poznać tę tajemnicę; Nieprzyjaciel odrzekł: „Pragnę z całego serca, abyś ją poznał”. Wyobrażam sobie, że to musiało być w tym stadium rozmowy, gdy odczucie takiego nieusprawiedliwionego braku zaufania kazało Naszemu Ojcu usunąć się sprzed oblicza Nieprzyjaciela w bezkresną dal z gwałtownością, która dała początek tej śmiesznej nieprzyjacielskiej historii, iż został przemocą wyrzucony z Nieba. Od owej chwili zaczęliśmy dociekać, dlaczego nasz Ciemiezca był aż tak tajemniczy. Cała Jego władza opiera się na tej tajemnicy. Członkowie Jego stronnictwa przyznawali nieraz, że gdybyśmy kiedykolwiek zrozumieli, co On pojmuje przez Miłość, wojna byłaby skończona i weszlibyśmy z powrotem do Nieba. I wokół tego koncentruje się nasze największe zadanie. My wiemy, że On w rzeczywistości kochać nie może — nikt nie może — to w ogóle nie ma sensu. Gdybyśmy tylko mogli odkryć, do czego On n a p r a w d ę zmierza! Wysuwa się hipotezę za hipotezą i wciąż nie możemy tego zgłębić. Nie wolno jednak tracić nadziei; coraz więcej i więcej skomplikowanych teorii, coraz pełniejsze nagromadzenie danych, zwiększone nagrody dla badaczy osiagających postęp w badaniach, coraz straszniejsze kary dla tych, którym się nie udaje — to wszystko, kontynuowane i przyspieszane aż po kres czasu, na pewno nie może zakończyć się niepowodzeniem.

Uskarżasz się, że w mym ostatnim liście nie stawiam sprawy jasno, czy uważam z a k o c h a n i e s i ę za stan pożądany dla człowieka, czy nie. Lecz doprawdy, Piołunie, to jest pytanie, którego można by się od n i c h spodziewać. Pozostaw im roztrząsanie, czy takie rzeczy, jak „miłość”, patriotyzm czy celibat, świece na ołtarzu, abstynencja lub edukacja są „dobre”, czy „złe”. Czy nie widzisz, że na to nie ma odpowiedzi? Jedyna rzecz, która tu ma znaczenie, to to, czy stan umysłu w danych okolicznościach kieruje pacjenta ku Nieprzyjacielowi, czy ku nam. Przeto najlepiej byłoby nakłonić pacjenta, aby sam zdecydował, czy „miłość” jest „dobra”, czy „zła”.

Jeśli jest człowiekiem aroganckim, żywiącym dla ciała pogardę wynikającą z przewrażliwienia, lecz przez niego mylnie uważaną za czystość — i takim, który znajduje przyjemność w wyszydzaniu tego, co większość jego bliźnich aprobuje — niech za wszelką cenę zdecyduje się przeciw miłości. Wsącz mu w duszę pyszny ascetyzm, a skoro odgrodzisz sferę jego seksualności od wszystkiego, co mogłoby ją uczłowieczyć, narzuć mu ją z powrotem w formie jeszcze bardziej brutalnej i cynicznej.

Jeśli natomiast jest człowiekiem uczuciowym i łatwowiernym, karm go pośledniejszymi poetami i powieściopisarzami starej szkoły, dopóki nie uwierzy, iż „miłość” jest zarówno nieodpartą koniecznością, jak i czymś, co samo w sobie jest godne pochwały. Przyznaję, że to mniemanie niewiele pomaga do wywołania dorywczej nieczystości; jest jednak niezrównaną receptą na przewlekłe, „noblwe”, romantyczne i tragiczne cudzołóstwa, kończące się, jeśli wszystko idzie dobrze, morderstwami lub samobójstwami. O ile się to uda, można to nastawienie wykorzystać, skłaniając pacjenta do zawarcia korzystnego dla nas małżeństwa. Małżeństwo bowiem, chociaż jest wynalazkiem Nieprzyjaciela, posiada swe dobre strony. W otoczeniu Twego pacjenta znajduje się z pewnością kilka młodych kobiet, które by mu niezmiernie utrudniły chrześcijańskie życie, gdybyś go tylko potrafił nakłonić do poślubienia jednej z nich. Przyślij mi — proszę — raport w tej sprawie w następnym liście. W tym czasie postaraj się raz na zawsze zrozumieć, że fakt z a k o c h a n i a s i ę sam w sobie nie jest koniecznie sprzyjający ani dla nas, ani dla strony przeciwnej. Jest to po prostu okazja, którą obie strony, my i Nieprzyjaciół, próbują wykorzystać. Podobnie jak większość rzeczy, którymi się ludzie przejmują, takich jak zdrowie i choroba, młodość i starość czy wojna i pokój, zakochanie się jest z punktu widzenia życia duchowego surowym materiałem.

*Twój kochający stryj
Krętacz*

Mój drogi Piołunie

Stwierdzam z wielkim niezadowoleniem, iż na jakiś czas Nieprzyjaciół położył zdecydowanie kres Twoim bezpośrednim atakom na czystość pacjenta. Powinieneś być wiedzieć, że On to w końcu zawsze czyni i powinieneś być się zatrzymać, nim doszedłeś do tego punktu. W obecnej sytuacji pacjent Twój odkrył niebezpieczną prawdę, że tego rodzaju ataki nie mogą trwać wiecznie. W konsekwencji nie możesz już nadal używać tego, co mimo wszystko stanowi naszą najlepszą broń — owego przekonania niedoświadczonych ludzi, że jedynym sposobem pozbycia się nas jest rezygnacja z oporu i walki. Przypuszczam, że próbowałeś przekonać go, że czystość szkodzi zdrowiu?

Dotychczas nie otrzymałem od Ciebie sprawozdania o młodych kobietach z najbliższego sąsiedztwa. Chciałbym je natychmiast otrzymać; jeśli bowiem nie możemy użyć dziedziny seksualnej, by doprowadzić go do nieczystości, musimy próbować wykorzystać ją, popierając zawarcie korzystnego dla nas małżeństwa. Tymczasem chciałbym dać Ci kilka wskazówek co do typu kobiety — mam tu na myśli fizyczny typ kobiety — w której pacjent powinien by się zakochać, skoro „zakochanie się” jest w tej chwili najlepszą bronią, jaką dysponujemy.

W ogólnych, ma się rozumieć, zarysach sprawy te rozstrzygane są za nas przez duchy o wiele wyższej rangi niż Ty i ja. Jest to sprawa tych wielkich mistrzów, by w każdym pokoleniu spowodować ogólne wypaczenie tego, co można by nazwać „smakiem” seksualnym. Czynią to przy pomocy szczupłego grona popularnych artystów, aktorek i modystek oraz reklam, ustalających modny typ. Celem tych zabiegów jest odciągnąć uwagę każdej płci od tych osobników płci odmiennej, z którymi mogliby zawrzeć zbawienne dla ich duszy, szczęśliwe i płodne małżeństwo. Tym sposobem zatriumfowaliśmy nad naturą na okres kilku stuleci do tego stopnia, że pewne drugorzędne cechy charakterystyczne dla mężczyzn (takie jak na przykład brody) uczyniliśmy odstręczającymi

dla wszystkich niemal kobiet — jest to większe osiągnięcie, niż mógłbyś przypuszczać. W zakresie upodobań mężczyzn wprowadziliśmy również niemałą ilość odmian. Był czas, że skierowywaliśmy ich uwagę na typ piękności posągowej i arystokratycznej. Mieszając próżność z pożądaniem, zachęcaliśmy ówczesne pokolenie mężczyzn, by szukało sobie kandydatek na żony i matki wśród kobiet najbardziej aroganckich i marnotrawnych. Kiedy indziej wyselekcjonowaliśmy typ przesadnie kobiecy, słaby i omdlewający, tak iż bojaźliwość, brak rozsądku oraz towarzysząca im umysłowa małostkowość oraz zakłamanie osiągnęły wysoką cenę. Obecnie przerzuciliśmy się w drugą krańcowość. Po wieku walca nastąpił wiek jazzu, wobec tego krzewimy obecnie wśród mężczyzn upodobanie do kobiet o figurze niemal chłopięcej. Ponieważ zaś ten typ piękności przemija szybciej niż inne, potęgujemy w ten sposób chroniczny lęk kobiety przed starzeniem się (z doskonałymi rezultatami) i czynimy ją mniej chętną i mniej zdolną do rodzenia dzieci. Lecz to jeszcze nie wszystko. Naszym dziełem jest owa wzrastająca ciągle beztroska, z jaką społeczeństwo godzi się na prezentowanie pozornej nagości (nie rzeczywistej nagości) w sztuce, i pokazywanie jej na scenie czy na plaży. Wszystko to jest naturalnie oszukaństwem; kształty ludzkie w sztuce popularnej kreślone są fałszywie; rzeczywiste kobiety w stroju kąpielowym lub trykotach są w istocie ściśnięte i opięte, by robić wrażenie prężniejszych, smuklejszych i bardziej chłopięcych niż natura pozwala na to kobiecie normalnie rozwiniętej. Lecz równocześnie wmawia się nowoczesnemu człowiekowi, że jest to bardziej „szczerze”, „zdrowe” i stanowi powrót do natury. W rezultacie coraz częściej kierujemy pożądania mężczyzn ku czemuś, co nie istnieje — czyniąc rolę oka w dziedzinie seksualnej coraz ważniejszą, a równocześnie jego wymagania coraz bardziej nieosiągalnymi. Skutki tego łatwo możesz przewidzieć!

Tak przedstawia się w tej chwili ogólna strategia. Lecz w jej ramach będziesz jeszcze mógł podsycać pożądania Twego pacjenta w jednym z dwu kierunków. Jeśli uważnie wnikniesz w tajniki serca jakiegokolwiek mężczyzny, przekonasz się, że prześladują go co najmniej dwie urojone kobiety — ziemską i piekielną Wenus, i że jego pożądanie różni się jakościowo, w zależności od obiektu. W odniesieniu do pierwszego typu kobiety jego pożądanie jest w naturalny sposób podporządkowane Nieprzyjacielowi — zabarwione miłością bliźniego, skłonne

do małżeństwa, opromienione tym złotym światłem poszanowania i naturalności, którego tak nie znosimy. Drugi typ to kobieta, której pożąda brutalnie i pragnie brutalnie pożądać, kobieta nadająca się najbardziej, by go zupełnie odciągnąć od małżeństwa, lecz którą nawet w małżeństwie skłonny byłby traktować jako niewolnicę, bożyszcze lub jako kompana w przestępstwie. Miłość mężczyzny do kobiety pierwszego typu tylko przypadkowo mogłaby pociągnąć za sobą to, co Nieprzyjaciół nazywa złem; mężczyzna bowiem nie życzyłby sobie, by była żoną kogo innego, i martwiłby się, że nie może jej kochać legalnie. W drugim natomiast typie samo odczuwane zło jest tym, czego pragnie; to owa „pikantność” smaku, na którą się łakomi. W twarzy lubi właśnie zwierzęcość, ponurość, przebiegłość lub okrucieństwo, a w figurze coś zupełnie odmiennego od tego, co zwykle nazywa Pięknem, coś, co w chwili rozsądku może nawet określić mianem brzydoty, lecz co dzięki naszej sztuce może być wykorzystane do zagrania na czulej strunie jego własnej obsesji.

Piekielna Wenus nadaje się bez wątpienia, by wykorzystać ją jako prostytutkę lub metrese, lecz jeśli twój pacjent jest chrześcijaninem i jeśli jest dobrze wyszkolony w nonsensach o nieprzepartej i wszystko tłumaczącej „miłości”, to można go nieraz nakłonić do poślubienia jej. A do tego naprawdę warto doprowadzić. Nie uda ci się z nierządem i samotnym nałogiem; lecz istnieją inne, bardziej pośrednie metody wykorzystania seksualizmu człowieka na jego własną zgubę. Przy tym owe metody są nie tylko skuteczne, lecz także rozkoszne, a spowodowane nieszczęście należy do bardziej trwałych i stanowi osiągnięcie wysokiej klasy.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Tak. Okres kuszenia seksualnego nadaje się wyśmienicie do ubocznego ataku mającego na celu obudzenie zgryźliwości i opryskliwości pacjenta. Może to być nawet główny atak tak długo, jak długo pacjent uważać go będzie za atak podrzędny. Lecz w tym wypadku, jak zresztą w każdym innym, musisz przygotować sobie drogę do moralnego natarcia przez zaciemnienie jego rozumu.

Niepowodzenie jako takie nie doprowadza do gniewu, jednak niepowodzenie pojęte jako krzywda — wywoła go niezawodnie. Znaczenie zaś krzywdy polega na odczuciu, że zaprzeczono słusznemu uprawnieniu. Dlatego im więcej wymagań od życia zdołasz wszczepić Twojemu pacjentowi, tym bardziej będzie się czuł pokrzywdzony, a w rezultacie źle usposobiony. Musiałeś zauważyć, że obecnie nic nie doprowadza go tak łatwo do pasji, jak stwierdzenie straty czasu, czasu, który, jak mu się zdawało, miał do własnej dyspozycji, a który mu niespodzianie zabrano. Bywa, że tym, co wytrąca go z równowagi, jest nieoczekiwany gość, w chwili gdy pragnie spokojnie spędzić wieczór, lub rozmowna żona przyjaciela zjawiająca się właśnie wtedy, gdy pragnie zostać z przyjacielem sam na sam. To wytrąca go z równowagi. Obecnie nie jest on jeszcze do tego stopnia gnuśny czy niewyrozumiały, by te drobne obowiązki grzeczności były same w sobie ponad jego siły. Irytują go jednak, ponieważ uważa czas za swoją własność i czuje, że go z niego okradają. Musisz więc gorliwie strzec w jego umyśle tego osobliwego założenia: „Mój czas jest moją własnością”. Pozwól mu żywić przekonanie, iż rozpoczyna każdy dzień jako pełnoprawny posiadacz dwudziestu czterech godzin. Tę część swego czasu, którą odstępuje swym chlebodawcom, niech uważa za uciążliwą daninę, chwile zaś przeznaczone na obowiązki religijne za daninę wspaniałomyślną. Nie pozwól mu przy tym nigdy powątpiewać, że całość, z której dokonano

owych potrażeń, była, w jakimś bliżej nieokreślonym sensie, jego przyrodzoną własnością.

Masz tu delikatne zadanie do wykonania. To założenie, które chcesz, aby w dalszym ciągu podtrzymywał, jest tak absurdałne, że jeśli kiedykolwiek zostanie zakwestionowane, to nawet my nie będziemy mogli znaleźć na jego obronę choćby jakiegoś skrawka argumentu. Nawet jednego momentu czasu nie może człowiek ani stworzyć, ani zatrzymać; otrzymuje go w całości jako prawdziwy dar; równie dobrze mógłby patrzeć na słońce czy księżyc jako na swe ruchomości. Jest on również w teorii skazany na całkowitą służbę Nieprzyjacielowi i gdyby Ten zjawił mu się w cielesnej postaci i zażądał w praktyce tej całkowitej służby w ciągu jednego pełnego dnia, nie odmówiłby. Przyjąłby z wielką ulgą, gdyby w tym dniu nie zażądano od niego niczego więcej ponad cierpliwe przysłuchiwanie się rozmowie głupiej kobiety; a zadowolenie z odniesionej ulgi doszłoby prawie do zenitu, gdyby Nieprzyjaciel w owym dniu powiedział mu: „Teraz możesz iść i zabawić się przez pół godziny”. Otóż, jeśli pacjent zastanowi się przez chwilę nad swoim położeniem, to nawet on musi sobie zdać z tego sprawę, że w takiej właśnie sytuacji znajduje się codziennie. Dlatego gdy mówię o podtrzymywaniu w jego świadomości tego przekonania, to uważam równocześnie, że najgłupszą rzeczą, jaką mógłbyś zrobić, to dostarczać mu argumentów na jego obronę. Twoje zadanie jest czysto negatywne. Nie dopuść, by myśli jego zbliżały się do tych spraw. Osłoń je mrokiem, a w centrum owej ciemności niech jego poczucie posiadania czasu na własność spoczywa milczące, niezbadane, lecz przynoszące pożądane skutki.

W ogóle zmysł posiadania na własność powinno się zawsze pobudzać. Ludzie ustawicznie kierują się pretensjami do prawa własności, które równie śmiesznie brzmią w Niebie, jak i w Piekło, a my musimy ich w tym utrzymywać. Przeciwwstawienie się w dzisiejszych czasach czystości wypływa w znacznej mierze z przekonania ludzi, że „posiadają” swe ciała — owe ogromne i niebezpieczne posiadłości pulsujące energią, która stworzyła światy, posiadłości, w których znaleźli się bez własnej woli i z których zostaną wyrzuceni przez wolę cudzą. Sprawa wygląda tak, jak gdyby dziecię królewskie, któremu ojciec wyznaczył z miłością pewną wielką prowincję w tytularny zarząd, podczas gdy w istocie rządzą nim mądrzy doradcy, uroiło sobie, że rzeczywiście posiada miasta, lasy

i zboża, i to w taki sposób, jak klocki na posadzce swego dziecięcego pokoju.

Ten zmysł posiadania wytwarzamy i utwierdzamy nie tylko przez pychę, lecz także przez zamęt. Uczymy ludzi, by nie dostrzegali różnych znaczeń zaimka dzierżawczego — tych subtelnie stopniowanych różnic znaczeniowych poczynając od: „moje buty” poprzez „mój pies”, „mój sługa”, „moja żona”, „mój władca” i „mój kraj” aż do „mój Bóg”. Można ich doprowadzić do tego, by zredukowali wszystkie te znaczenia posiadania od owego „moje buty” — do „moje” w znaczeniu posiadania. Nawet w dziecięcym pokoju można dziecko nauczyć, żeby przez „mój miś” rozumiało nie przedmiot czułości, z którym jest w specjalny sposób związane (bowiem to jest właśnie to, czego ich Nieprzyjaciół nauczył, jeśli mu w tym nie przeszkodzimy), lecz „miś”, którego mogę, jeśli mi się spodoba, rozszarpać na kawałki. Natomiast z drugiej strony nauczyliśmy ludzi, by wymawiali „mój Bóg” w znaczeniu mało w rzeczywistości odbiegającym od: „moje buty”, w znaczeniu „Bóg, od którego mam prawo żądać pomocy za moje wybitne zasługi i którego na przykład jako duchowny eksploatuję z ambony — Bóg, u którego zapewniłem sobie kącik”.

Cały dowcip polega na tym, że słowo „moje” w jego pełnym znaczeniu dzierżawczym nie może być użyte przez człowieka w stosunku do niczego. Na dalszą metę albo Nasz Ojciec, albo Nieprzyjaciół wypowie „moje” o każdej istniejącej rzeczy, a w szczególności o każdym człowieku. Nie ma o to obawy, że w końcu dowiedzą się, do kogo naprawdę należy ich czas, ich dusze, ich ciała — na pewno nie do nich, cokolwiek się zdarzy. Obecnie Nieprzyjaciół mówi o wszystkim „Moje” na tej pedantycznej, legalistycznej zasadzie, że On to stworzył. Nasz Ojciec ufa jednak, że w końcu będzie mógł o wszystkim powiedzieć „moje” na bardziej realistycznej i dynamicznej zasadzie — na zasadzie podboju.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Więc jednak Twój pacjent zakochał się, i to zakochaniem najgorszego gatunku, jaki się może człowiekowi przytrafić, a na domiar w dziewczynie, która nawet nie figuruje w nadesłanym przez Ciebie raporcie.

Może Cię zainteresuje wiadomość, iż minęło już drobne nieporozumienie z Tajną Policją, jakie próbowałeś wywołać, wykorzystując kilka niebacznych wyrażen w jednym z mych listów. Jeśli liczyłeś na to, że tą drogą wymusisz na mnie jakąś pomoc, to się pomyliłeś. Zapłacisz za to, podobnie jak i za inne swe błędy. Tymczasem załączam dopiero co wydaną małą broszurkę na temat nowego Domu Poprawczego dla Niedołężnych Kusicieli. Jest bogato ilustrowana i nie znajdziesz w niej ani jednej nudnej stronicy.

Sprawdziłem akta tej dziewczyny i przeraziłem się tym, co znalazłem. Nie tylko chrześcijanka, lecz taka chrześcijańska — nikczemna, skryta, wdzięcząca się, pruderyjna, małomówna, nieśmiała, spokojna, nic nie znacząca, dziewicza pensjonarka. Przyprawia mnie o mdłości. Ona cuchnie i parzy poprzez same kartki jej akt. Do szaleństwa doprowadza mnie to, że świat coraz bardziej stacza się ostatnio ku gorszemu. W dawnych czasach posłalibyśmy ją po prostu na arenę. To jest odpowiednie miejsce dla takich jak ona. Oczywiście i tam nie przyniosłaby nam wiele pożytku. Dwulicowy mały oszust — znam ten gatunek. Wygląda, jakby miała zemdleć na widok krwi, a potem umiera z uśmiechem. Obłudnik w każdym calu. Wydawałoby się, że do trzech zliczyć nie potrafi, a przecież posiada zmysł satyryczny. Stworzenie, które gotowe MNIE uważać za istotę zabawną! Obrzydliwa, nudna, niepozorna skromnisia, a przecież gotowa wpaść w ramiona tego cymbała jak pierwsza lepsza kobieta. Czemu Nieprzyjaciel nie zgładzi jej za to — skoro jest taki zwariowany na punkcie dziewiczości — zamiast patrzeć na to z uśmiechem?

W głębi serca Nieprzyjaciel jest hedonistą. Wszystkie owe posty i nocne czuwania, stosy ofiarne i krzyże są tylko fasadą, czymś na kształt piany u wybrzeży morskich. Im dalej na głębie, im dalej w Jego Królestwo, tym więcej radości — coraz to więcej radości. On nawet nie robi z tego sekretu; u Swej prawicy ma w pogotowiu „radości wieczne”. Brrr. Nie sądzę, aby miał On najślabsze pojęcie o tej wzniosłej surowej tajemnicy, której my dosiegamy w Cierpiętniczej Wizji. On jest wulgarny, Piołunie, o drobnomieszczańskiej umysłowości. Nappełnił swój świat przyjemnościami. Istnieje tyle rzeczy, które ludzie mogą wykonywać codziennie bez żadnego sprzeciwu z Jego strony — śpią, myją się, jedzą, piją, kochają się, bawią, modlą się, pracują. Każda z tych rzeczy musi być wypaczona, jeśli ma przynieść nam jaki taki pożytek. Walczymy w okrutnie niekorzystnych warunkach. Nic z natury swej nie stoi po naszej stronie. (To Cię oczywiście nie usprawiedliwia. Policzę się wkrótce z Tobą; zawsze mnie nienawidziłeś i jeśli tylko potrafiłeś się zdobyć na tyle odwagi, okazywałeś swe zuchwalstwo).

Z kolei, ma się rozumieć, pacjent pozna rodzinę tej kobiety i całe jej otoczenie. Czy nie zdawałeś sobie sprawy, że dom, w którym ona mieszka, jest właśnie tym, do którego Twój pacjent nie powinien był nigdy wejść? Cały ten teren zalatuje tym zabójczym odorem. Nawet ogrodnik, który tam jest dopiero od pięciu lat, zaczyna nim nasiąkać. Nawet goście po weekendowych odwiedzinach unoszą z sobą coś z tego zapachu. Pies i kot są tym skażone. Dom pełen nieprzeniknionej tajemnicy. Jesteśmy pewni (wynika to z podstawowych założeń), że każdy członek tej rodziny musi w jakiś sposób wykorzystywać pozostałych, lecz nie możemy odkryć, w jaki sposób to czyni. Podobnie jak sam Nieprzyjaciel, strzegą zazdrośnie tajemnicy tego, co się rzeczywiście kryje za owym udawaniem bezinteresownej miłości. Cały dom i ogród to jedna wielka ohyda. Jest w tym odrażające podobieństwo do opisu, jaki pewien ich pisarz dał o Niebie: „Przestworza, gdzie jest tylko życie, a wszystko, co nie jest muzyką, jest milczeniem”.

Muzyka i milczenie — jakże nie cierpię jednego i drugiego! Jakże wdzięczni powinniśmy być, że od chwili, w której Ojciec Nasz wkroczył do Piekła (a stało się to dawniej, niż potrafiliby to wyrazić ludzie liczący na lata świetlne), ani skrawek piekielnej przestrzeni, ani chwilka piekielnego czasu nie zostały objęte żadną z tych dwu obrzydliwych sił, lecz wszystko objął hałas — hałas, ten wielki dynamizm, słyszalny wyraz

wszystkiego, co triumfujące, bezlitosne i męskie — hałas, który jest jedyną naszą ochroną przed głupimi żałami, rozpaczliwymi skrupułami i nieziszczalnymi pragnieniami. Cały wszechświat przemienimy w końcu w hałas. Jeśli chodzi o Ziemię, to mamy już w tej dziedzinie poważne osiągnięcia. Melodie i cisza Nieba zostaną w końcu przekrzyczane. Przyznaję, że nie jesteśmy wystarczająco krzykliwi i wciąż są poważne braki w tej dziedzinie. Postęp jest jednak czyniony. Tymczasem ty, podły... wstrętny...

(Tu rękopis urywa się i dalszy ciąg listu pisany jest inną ręką).

Widzę, że w gorączce komponowania pozwoliłem sobie niebacznie na przybranie formy wielkiej stonogi. Wobec tego resztę dyktuję memu sekretarzowi. Obecnie, skoro moje przekształcenie jest już zupełne, rozpoznaję je jako zjawisko okresowe. Jakież pogłoski na ten temat dotarły do ludzi i przekręcony opis tego znajduje się u poety Milтона ze śmiesznym dodatkiem, że takie zmiany postaci są „karą” nałożoną na nas przez Nieprzyjaciela. Bardziej nowoczesny pisarz — ktoś o nazwisku podobnym do „Pshaw” — uchwycił jednak prawdę. Przekształcenie wypływa z wewnątrz i jest wspaniałą manifestacją tej Siły życia, którą czciłby nasz Ojciec, gdyby w ogóle był zdolny czcić cokolwiek prócz siebie. W mej obecnej postaci jeszcze bardziej pragnę ujrzeć Cię i połączyć Cię ze mną w nierozzerwalnym uścisku.

(podpisano) Toadpipe

W zastępstwie

Jego Przepastnej Wzniosłości

Podsekretarza Krętacza, T.E.B.S. etc.

Mój drogi Piołunie

Przez to dziewczę i jej odrażającą rodzinę pacjent poznaje z każdym dniem coraz więcej chrześcijan, i to niestety chrześcijan naprawdę inteligentnych. Skutkiem tego przez dłuższy czas nie będziemy mogli u s u n ą ć z jego życia uduchowienia. Z tym musimy się pogodzić; wobec tego jednak trzeba się starać p o p s u ć za wszelką cenę to uduchowienie. Bez wątpienia ćwiczyłeś nieraz na piekielnym poligonie przekształcanie się w anioła światłości. Obecnie nadeszła najwłaściwsza pora, by próbę tę podjąć w obliczu Nieprzyjaciela. Świat i Ciało zawiodły nas; pozostaje trzecia Siła. A sukces tego trzeciego rodzaju jest najwspanialszy ze wszystkich. Zrujnowany wewnętrznie święty, faryzeusz, inkwizytor lub magik dostarcza Piekłu o wiele więcej rozrywki niż pospolity tyran lub rozpustnik.

Biorąc pod uwagę krąg nowych przyjaciół Twego pacjenta, dochodzę do przekonania, iż najszcześniejszym punktem do podjęcia ataku byłyby zagadnienia z pogranicza teologii i polityki. Kilku z jego nowych przyjaciół jest bardzo czułych na punkcie społecznych konsekwencji religii. Sama w sobie jest to rzecz zła, można to wykorzystać jednak na dobre.

Zwróć uwagę na fakt, że znaczna część pisarzy chrześcijańskich o nastawieniu politycznym sądzi, iż chrześcijaństwo już w bardzo wczesnym stadium swego rozwoju zaczęło zbaczać z drogi i oddalać się od doktryny swego Założyciela. Obecnie nadszedł czas, byśmy tę ideę raz jeszcze spożytkowali jako podnetę do ponownego wskrzeszenia koncepcji „historycznego Jezusa”, którego należy szukać na drodze odrzucenia późniejszych „naleciałości i przekręceń”, a następnie przeciwstawić całej chrześcijańskiej tradycji. W ostatniej generacji forsowaliśmy konstrukcję tezy o „historycznym Jezusie” w duchu liberalnego humanitaryzmu; obecnie formujemy nowego „historycznego Jezusa” skonstruowanego według idei marksistowskich, katastroficznych

i rewolucyjnych. Korzyści z tych konstrukcji, które zamierzamy zmieniać mniej więcej co lat trzydzieści, są wielorakie. Przede wszystkim kierują one ludzką pobożność ku czemuś, co w rzeczywistości nie istnieje, ponieważ każdy „historyczny Jezus” jest niehistoryczny. Dokumenty dotyczące postaci Jezusa mówią to, co mówią, i nic nie można do nich dodać; dlatego każdy nowy „historyczny Jezus” musi z nich być wydobyty przez pomniejszenie i przemilczenie w jednym punkcie, a wyolbrzymienie w innym i przez ten rodzaj domyślania się (t r a f n e g o — to przymiotnik, którego uczymy ludzi używać w tym miejscu), za który normalnie nikt nie dałby grosza, lecz który wystarcza, aby co roku wyprodukować i rzucić na półki księgarskie galerię nowych Napoleonów, Szekspirów i Swiftów.

Po wtóre, wszelkie tego rodzaju konstrukcje upatrują doniosłość posłannictwa „historycznego Jezusa” w jakiejś osobliwej teorii, którą On — wedle ich przekonania — miał głosić. Ma on być „wielkim człowiekiem” w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, przedstawicielem skrajnie ekscentrycznego kierunku myślowego, oferującym jakieś panaceum. W ten sposób odwracamy uwagę ludzi od tego, kim On w rzeczywistości jest, i od tego, czego dokonał. Najpierw czynimy zeń wyłącznie nauczyciela, by następnie zataić całkowitą zgodę między Jego nauką a nauczaniem wszystkich innych autorytetów moralnych. Nie możemy bowiem nigdy dopuścić do tego, by ludzie zauważyli, że wszelkich wielkich moralistów zsyła Nieprzyjaciel nie po to, by ludziom uświadamiali rzeczy nowe, lecz by im przypominali i podawali w sposób bardziej zrozumiały pierwotne zasady moralne — nudne i oklepane — i by to czynili na przekór nam, którzy je ustawicznie zatajamy i spychamy w niepamięć. My produkujemy sofistów, On wskrzesza Sokratesa, by im przeciwdziałał.

Trzecim naszym celem jest zniszczyć przez tego rodzaju konstrukcje zdrową pobożność. Realnej obecności Nieprzyjaciela, doświadczanej przez ludzi w modlitwie i sakramentach, my przeciwstawiamy tylko jakąś prawdopodobną, daleką, mglistą i tajemniczą postać kogoś, kto mówił osobliwym językiem i zmarł dawno już temu. Taka postać nie może już być przedmiotem religijnej czci. Zamiast Stwórcy wielbionego przez stworzenia mamy tylko lidera obwołanego przez swych zwolenników, a wreszcie nieprzeciętny charakter, uznany przez rozsądnego historyka.

Po czwarte wreszcie, tego rodzaju religia, oprócz tego, że jest niehistoryczna w tym, co sądzi o Jezusie, jest jeszcze fałszowaniem historii w innym sensie. Historyczne studium biografii Jezusa tylko jako biografii nie doprowadziło jeszcze do obozu Nieprzyjaciela ani jednego narodu, a z jednostek tylko nieliczne. W rzeczywistości materiały historyczne do pełnej biografii Jezusa są dla ludzi niedostępne. Najwcześniejsi wyznawcy nawracali się przez jedyny fakt historyczny (Zmartwychwstanie) i przez jedyną prawdę teologiczną (Odkupienie), skierowaną przeciwko grzechowi, który u nich już wcześniej istniał; grzechowi nie przeciwko jakiemuś nowemu nakazowi mody w zakresie kostiumów maskowych, wprowadzonemu przez jakiegoś „wielkiego człowieka”, lecz przeciwko staremu, oklepanemu i powszechnemu prawu moralności, którego ich nauczyły matki i niańki. „Ewangelie” zjawiają się później i zostały napisane nie po to, by nawracać chrześcijan, lecz by budować dobrym przykładem już nawróconych.

„Historyczny Jezus” zatem, jakkolwiek mógłby się wydawać w poszczególnym wypadku dla nas niebezpieczny, powinien być zawsze przez nas popierany.

Jeśli chodzi o ogólny związek pomiędzy chrześcijaństwem a polityką, pozycja nasza jest bardziej delikatna. Z pewnością nie chcemy, aby chrześcijaństwo oddziaływało na życie polityczne ludzkości, ponieważ utworzenie czegoś w rodzaju prawdziwie sprawiedliwego społeczeństwa byłoby poważną klęską. Z drugiej strony trzeba nam, i to bardzo, tak urobić ludzi, by traktowali chrześcijaństwo i religię jako środek; najlepiej, oczywiście, jako środek do kariery życiowej, lecz jeśli to się nie uda, jako środek do czegokolwiek — choćby nawet do osiągnięcia sprawiedliwości społecznej. Cała rzecz polega na tym, ażeby najpierw skłonić człowieka, by cenił sprawiedliwość społeczną jako sprawę, której domaga się Nieprzyjaciół, następnie zaś doprowadzić jego umysł do takiego stanu, w którym zacznie cenić chrześcijaństwo tylko dlatego, że może ono wytworzyć społeczną sprawiedliwość. Nieprzyjacielem bowiem i Jego prawdą nie można się posłużyć jako środkiem do celu. Ludzie lub narody, które uważają, iż można uaktywnić i zdynamizować wiarę po to, by następnie uczynić z niej narzędzie do stworzenia wzorowego społeczeństwa, mogliby z równym powodzeniem uważać, że drogi do Nieba można by użyć jako krótszej drogi do pobliskiej apteki. Na szczęście stosunkowo łatwo udaje się zwabić ludzi w ten ślepy zaułek.

Dopiero co znalazłem u pewnego chrześcijańskiego pisarza ustęp, w którym zaleca on swą własną wersję chrześcijaństwa, twierdząc, iż „jedynie taka wiara może przetrwać śmierć starych kultur i narodziny nowych cywilizacji”. Czy widzisz tę szczelinę? „Wierz w to nie dlatego, że to jest prawda, lecz dla jakiegokolwiek innego powodu”. Oto, na czym polega gra.

Twój kochający stryj
Krętacz

Mój drogi Piołunie

Nawiązałem korespondencję ze Slumtrimpetem, który opiekuje się narzeczoną Twego pacjenta i zaczynam dostrzegać szczelinę w jej zbroi. Jest to mała, niezauważalna wada, którą podziela ona ze wszystkimi prawie kobietami wychowanymi w środowisku inteligenckim, zespolonym wspólnie wyznawaną, jasno i wyraźnie sprecyzowaną wiarą. Rysa ta polega na niezmaconym wątpliwością przypuszczeniu, iż ludzie postronni, nie dzielający jej wierzeń, są w pewnym stopniu ograniczeni i śmieszni. Mężczyźni, którzy często spotykają się z ludźmi o innych wierzeniach, nie myślą w ten sposób; ich dufność w siebie, o ile w ogóle są dufni, jest innego rodzaju. Ten jej sposób myślenia, który, jak się jej wydaje, wypływa z Wiary, w rzeczywistości wypływa w znacznej mierze z atmosfery środowiska. W gruncie rzeczy nie różni się on wiele od przekonania, jakie odczuwałyby w wieku lat dziesięciu, że noże do ryb używane w domu jej ojca są właściwymi lub normalnymi, lub „prawdziwymi” nożami, podczas gdy noże używane w sąsiednich rodzinach wcale nie są „prawdziwymi nożami do ryb”. W tym wszystkim jest jednak tak dużo nieświadomości i naiwności, a tak niewiele duchowej pychy, że nie rokuje nam to wielkich nadziei na samą dziewczynę. Lecz czy pomyślałeś nad tym, jak to wykorzystać w pracy nad swym pacjentem?

Pamiętaj, że nowicjusze zawsze przesadzają. Człowiek, którego przyjęto do lepszego towarzystwa, bywa przesadnie subtelny; młody naukowiec jest pedantyczny. Pacjent Twój w tym nowym kręgu ludzi jest również nowicjuszem. Bywa on tam codziennie i styka się z tego rodzaju życiem chrześcijańskim, jakiego sobie przedtem nigdy nie wyobrażał; nadto będąc zakochanym, patrzy na nie jakby przez czarodziejskie szkła. Stara się więc (a nawet mu to Nieprzyjaciel nakazuje) naśladować te zalety. Czy nie mógłbyś go nakłonić, by naśladował również wspomniany uprzednio d e f e k t pani swego serca i by go przejawiał do tego

stopnia, aby to, co u niej jest jeszcze wybaczone, w nim stało się mocno ugruntowaną a najpiękniejszą z wad — duchową pychę.

Warunki zdają się sprzyjać nam wprost idealnie. Nowe grono osób, w jakim się pacjent obecnie znajduje, jest tego rodzaju, że stanowi dla niego przedmiot dumy, a więc i pokusę pychy, i to nie tylko z samego chrześcijaństwa, którym ci ludzie żyją. Jest to towarzystwo bardziej wykształcone, inteligentniejsze i przyjemniejsze niż którekolwiek z dotychczas przez niego napotkanych. Poza tym ulega on również pewnym złudzeniom co do własnego miejsca w tym kółku. Pod wpływem „zakochania się” uważa się jeszcze ciągle za niegodnego swej narzeczonej, natomiast bardzo szybko zatracą to uczucie niegodności w odniesieniu do wszystkich innych. Nie ma zupełnie pojęcia o tym, ile mu wybaczą, ponieważ są wyrozumiali, ani o tym, iż starają się brać go z najlepszej strony, ponieważ obecnie jest już prawie członkiem tej rodziny. Nawet mu się nie śni, że w jego poglądach i rozmowach tamci dostrzegają bardzo często jedynie echa swych własnych rozmów i poglądów. Jeszcze mniej zdaje sobie z tego sprawę, że upodobanie, jakie znajduje w tamtych ludziach, jest w ogromnej mierze wynikiem owego erotycznego czarunku, który ona dla niego wszędzie wokół siebie roztacza. Sądzi na przykład, że lubi ich rozmowy oraz sposób życia dlatego, że pomiędzy ich stanem duchowym, a jego własnym istnieje pewna zgodność, podczas gdy w rzeczywistości tamci przerastają go tak dalece, że gdyby nie był zakochany, byłby bardzo zakłopotany, a wiele z tych rzeczy, które obecnie bez trudności przyjmuje, odrzucałoby go od ich towarzystwa. Jest podobny do psa, który wyobraża sobie, iż rozumie się bardzo dobrze na bronie palnej, ponieważ jego przywiązanie do pana i instynkt polowania umożliwiają mu cieszenie się strzelaniną.

W tym właśnie leży Twoja szansa. Podczas gdy Nieprzyjaciół przez miłość seksualną oraz grono bardzo przyjemnych i mocno w Jego służbie zaawansowanych osób wyciąga tego młodego barbarzyńcę na poziom, którego inaczej nigdy nie zdołałby osiągnąć, Ty musisz postarać się o to, by żył złudzeniem, że odnajduje swój własny poziom, że owi ludzie są ludźmi „jego pokroju” i że wchodząc między nich, wszedł do własnego domu. Gdy wyszedłszy z otoczenia tych ludzi, znajdzie się w innym towarzystwie, to wyda mu się ono nudne, częściowo z tego powodu, że rzeczywiście niemal każde inne towarzystwo w jego zasięgu jest o wiele mniej zajmujące, lecz przede wszystkim dlatego, że brakować mu

będzie czaru owej młodej kobiety. Musisz go nauczyć, by kontrast między gronem ludzi, w którym ma upodobanie, a tamtym, które go nudzi, brał mylnie za kontrast między chrześcijanami a niewierzącymi. Trzeba go tak urobić, by myślał (słowami raczej tego niech nie wyraża): „jakże odmienni jesteśmy my, chrześcijanie”; a przez „my chrześcijanie” powinien bezwiednie rozumieć „moja grupa”; przez „moja grupa” zaś powinien rozumieć nie „ludzie, którzy mnie w swym miłosierdziu i pokorze przyjęli”, lecz „ludzie, z którymi jako równy z równymi obcuje”.

Powodzenie w tym wypadku zależy od tego, czy uda się wprowadzić zamęt w jego życie duchowe. Jeśli spróbujesz skłonić go do jawnej i wyraźnej pychy z tego, że jest chrześcijaninem, to najprawdopodobniej poniesiesz porażkę; przestrogi Nieprzyjaciela są zbyt dobrze znane. Jeśli z drugiej strony usuniesz całkowicie z jego świadomości ideę: „my chrześcijanie”, a zadowolisz się jedynie ideą „moja grupa” — to nie wytworzysz w nim prawdziwej duchowej pychy, lecz tylko towarzyską próżność, która w porównaniu z tamtą jest złudnym, słabiutkim grzeszkiem. W tej sytuacji należałoby wypiełgnować w pacjencie oszukańcze samozadowolenie, przenikające wszystkie jego myśli, a z drugiej strony nie dopuścić do tego, by zadał sobie kiedykolwiek pytanie: „Z czego ja właściwie jestem aż tak zadowolony?” Świadomość przynależności do kręgu wtajemniczonych sprawia mu wielką przyjemność. Potrącaj stale o tę strunę. Naucz go, wykorzystując do tego wpływ tej dziewczyny w momentach, gdy jest najgłupsza, by to, co mówią niewierzący, przyjmował z r o z b a w i o n ą miną. Bardzo pomocne mogą się tu okazać niektóre teorie, z jakimi może się współcześnie spotkać w niektórych kołach chrześcijańskich; mam na myśli teorie, które każą się dopatrywać nadziei społeczeństwa w jakimś wąskim kole „klerków” — jakiejsz wyszkolonej mniejszości teokratów. Niech Cię o to głowa nie boli, czy ta lub owa teoria jest prawdziwa albo fałszywa; najważniejsze jest, by uczynić chrześcijaństwo religią tajemniczą i sprawić, by pacjent uważał siebie za jednego z wtajemniczonych.

Bardzo Cię proszę, nie zapełniaj swych listów śmieciami dotyczącymi wojny europejskiej. Jej ostateczny wynik jest bez wątpienia doniosły, jest to jednak przedmiot zainteresowań i kompetencji Wysokiego Dowództwa. W najmniejszej nawet mierze nie interesują mnie wiadomości, ile ludzi

w Anglii zginęło od bomb. Że mieli kiedyś umrzeć, o tym wiedziałem, w jakim zaś stanie duchowym zmarli, mogę się dowiedzieć w naszym biurze, po tej stronie. Bądź więc łaskaw zająć się poważnie tym, co do Ciebie należy.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Prawdziwa trudność, jeśli chodzi o grupę ludzi, w której obraca się Twój pacjent, polega na tym, że jest ona j e d y n i e chrześcijańska. Naturalnie, wszyscy oni mają swe indywidualne zainteresowania, lecz istotną więzią, która ich łączy, jest chrześcijaństwo. W naszym interesie leży, aby ludzi, którzy stają się chrześcijanami, o ile w ogóle nimi się stają, utrzymywać w takim stanie ducha, który ja nazywam „chrześcijaństwo i...”. Wiesz, o co chodzi, chrześcijaństwo i kryzys, chrześcijaństwo i nowa psychologia, chrześcijaństwo i nowy ład, chrześcijaństwo i leczenie wiarą, chrześcijaństwo i parapsychologia, chrześcijaństwo i wegetarianizm, chrześcijaństwo i reforma pisowni. Jeśli już ludzie muszą być chrześcijanami, to niech przynajmniej będą chrześcijanami różniącymi się czymś. Postaraj się zastąpić samą wiarę jakimś modnym kierunkiem o chrześcijańskim zabarwieniu, wykorzystuj ich pogardę dla rzeczy „starych”. Pogarda dla rzeczy „starych” jest jedną z najcenniejszych namiętności, jakie udało nam się wyhodować w sercu ludzkim — niewyczerpane źródło herezji religijnych, szalonych zamysłów, niewierności w małżeństwie i niestałości w przyjaźni. Ludzie żyją w czasie i doświadczają rzeczywistości w kolejno po sobie następujących zmianach. Dlatego, by poszerzyć swą wiedzę o rzeczywistości, muszą doświadczać wielu różnych rzeczy: innymi słowy, muszą doświadczać zmiany. Ponieważ ludzie potrzebują zmiany, Nieprzyjaciół (będąc w swej istocie hedonistą) uczynił dla nich zmianę czymś przyjemnym, podobnie jak przyjemnym uczynił jedzenie. Ponieważ jednak Nieprzyjaciół nie życzy sobie, by ludzie uczynili zmianę, podobnie zresztą jak i jedzenie, celem samym w sobie, zrównoważył w nich zamięłowanie do zmiany zamięłowaniem do stałości. Wynalazł sposób, by w tym samym świecie, który stworzył, zaspokoić równocześnie oba te dążenia; uczynił to przez owo połączenie zmiany i stałości w tym, co my nazywamy rytmem. On daje ludziom pory roku

— każda odmienna, jednakże w każdym roku ta sama; wiosna jest więc zawsze odczuwana jako nowość, a równocześnie jako powtarzanie się stale tego samego tematu istniejącego od niepamiętnych czasów. W Kościele Swym dał ludziom rok liturgiczny; przechodzą ustawicznie od postu do święta, lecz jest to to samo święto, co w roku poprzednim.

Otóż, podobnie jak to ma miejsce z przyjemnością jedzenia, którą wyolbrzymiamy, by doprowadzić do obżarstwa, tak samo czynimy z naturalną przyjemnością zmiany, którą wypaczamy i zmieniamy w nieustanny głód absolutnej nowości. Głód ten jest całkowicie naszym produktem. Jeśli zaniedbamy nasze obowiązki, to ludzie będą nie tylko zadowoleni, lecz wprost uniesieni radością powstającą z przemieszania tego, co nowe, z tym, co już dobrze znane w pierwiosnkach t e g o stycznia, wschodzie słońca t e g o poranka, dania wigilijnego t e g o Bożego Narodzenia. Dzieci, dopóki ich nie nauczymy inaczej, będą zupełnie szczęśliwe z sezonowego cyklu zabaw, w których gra w klasy następuje po zabawie w piłkę tak regularnie, jak jesień następuje po lecie. Jedynie dzięki naszym ustawicznym wysiłkom podtrzymujemy głód niekończącej się lub nierytmicznej zmiany.

Głód ten jest cenny pod wieloma względami. Przede wszystkim zmniejsza on przyjemność, powiększając równocześnie pragnienie. Przyjemność wynikająca z nowości już z samej natury swej podlega bardziej niż jakakolwiek inna stopniowi skutkiem przyzwyczajenia. Nowość zaś na dalszą metę kosztuje wiele pieniędzy, tak że pragnienie nowości zapowiada zjawienie się chciwości lub uczucia niezadowolenia, nierzadko jednego i drugiego. Po wtóre, im zachłanniej jest żądza nowości, tym wcześniej wyczerpie wszystkie dozwolone źródła przyjemności i przejdzie do tych, których Nieprzyjaciół zabrania. Tym sposobem, przez podsycanie pogardy dla rzeczy starych uczyniliśmy ostatnio na przykład sztukę mniej niebezpieczną dla nas, niż była nią kiedykolwiek przedtem, popychając stale artystów, zarówno „wysokiej” jak i „niższej” klasy ku coraz to nowym wykroczeniom rozwiązłości, bezsensu, okrucieństwa i pychy. Wreszcie pragnienie nowości jest nieodzowne, jeśli chcemy ugruntować wśród ludzi dyktaturę mody.

Użyteczność modnych prądów umysłowych polega na tym, że odrywają one ludzką uwagę od rzeczywistych niebezpieczeństw, które im grożą. Modną wrzawę każdego pokolenia skierowujemy przeciwko tym występkom, które mu najmniej zagrażają, a aprobatę jej

skierowujemy na cnotę najbliższą temu występкови, który usiłujemy najbardziej rozpowszechnić. Pojmujesz, zabawa polega na tym, by w wypadku powodzi wszyscy biegali z przyrządami do gaszenia pożaru, a w łodzi tłoczyli się po tej stronie, która już zanurza się w wodzie. W ten sposób czynimy modnym ostrzeganie ludzi przed niebezpieczeństwem entuzjazmu, w momencie gdy wszyscy stają się coraz bardziej przyziemni i obojętni. Sto lat później, kiedy faktycznie czynimy z nich byronistów upojonych emocjami, kierujemy ten modny krzyk pokolenia przeciwko niebezpieczeństwu czystego „rozumu”. Wieki okrutne ostrzegamy przed sentymentalizmem; próżne i gnuśne przed przyzwoitością; rozpustne przed purytyzmem; gdy wszyscy staczają się ku niewolnictwu lub tyranii, wmawiamy, że liberalizm jest najgroźniejszym niebezpieczeństwem.

Najwspanialszy jednak triumf to doprowadzenie do stanu, w którym pogarda dla rzeczy starych staje się pewnego rodzaju filozofią życiową i w ten sposób nonsens w dziedzinie intelektu wzmacnia bezwład woli. Tu właśnie ewolucyjny lub historyczny charakter współczesnej myśli europejskiej (częściowo nasze dzieło) okazuje się bardzo użyteczny. Nieprzyjaciół lubi rzeczy oklepane. O ile się orientuję, chce On, aby ludzie, obierając jakiś kierunek postępowania, zadawali sobie bardzo proste pytania, na przykład: „Czy to jest uczciwe? Czy to jest roztropne? Czy to jest możliwe?” Otóż, jeśli potrafimy utrzymać stan rzeczy, w którym ludzie pytają się: „Czy to jest zgodne z duchem naszych czasów? Czy dana rzecz jest postępową czy reakcyjną? Czy to jest droga, po której kroczy Historia?” — wówczas zapomną o tamtych istotnych pytaniach. Te natomiast pytania, które stawiają, są nie do rozwiązania. Ludzie bowiem nie znają przyszłości, a to, czym przyszłość będzie, zależy w ogromnej mierze właśnie od tych rozstrzygnięć, po które zwracają się obecnie do przyszłości, by pomogła im je podjąć. W rezultacie podczas gdy umysły ludzkie błakają się w tej próżni, my z większą łatwością możemy się wtrącić i skłonić ludzi do takiego działania, jakie nam najbardziej odpowiada. A mamy już na tym odcinku duże osiągnięcia. Był czas, kiedy ludzie zdawali sobie sprawę z tego, że pewne zmiany prowadzą ku lepszemu, inne ku gorszemu, inne wreszcie są obojętne. My pozbawiliśmy ich w dużym stopniu owego rozeznania. Na miejsce opisowego przymiotnika „niezmienny” postawiliśmy zabarwiony uczuciowo przymiotnik „stagnacyjny”.

Nauczyliśmy ludzi myśleć o przyszłości jako o ziemi obiecanej, którą zdobywają wyróżnieni bohaterowie — nie jako o czymś, co każdy osiąga z szybkością sześćdziesięciu minut na godzinę, niezależnie od tego, czym się zajmuje i kim jest.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Tak, narzeczeństwo jest odpowiednią porą dla zasiania owych ziaren, z których dziesięć lat później wyrośnie domowa nienawiść. Urok niezaspokojonego pożądania daje takie rezultaty, które ludzie, odpowiednio przez nas urobieni, myślą z prawdziwą miłością bliźniego. Wykorzystaj dwuznaczność słowa „miłość”; spraw, niech ludzie myślą, że przez miłość rozwiązali pewne problemy, podczas gdy w rzeczywistości powodowani czarem zakochania się odłożyli je tylko na pewien czas. Podczas gdy to złudzenie trwa, masz wspaniałą okazję do podstępного zaogniania tych utajonych problemów i przekształcenia ich w problemy chroniczne.

Kapitalne znaczenie ma problem „niesamolubstwa”. Zwróć uwagę raz jeszcze na zadziwiające osiągnięcia naszego Oddziału Filologicznego, który w miejsce pochodzącej od Nieprzyjaciela, pozytywnej miłości bliźniego wprowadził negatywne niesamolubstwo. Dzięki temu możesz od samego początku wpajać w umysł pacjenta, by wyrzekł się pewnych wartości nie po to, by nimi uszczęśliwiać innych, lecz tylko po to, by rezygnując z nich, sam stał się niesamolubny. Jest to poważne osiągnięcie. Inną wielką pomocą, gdzie stronami zainteresowanymi są mężczyzna i kobieta, jest ta rozbieżność poglądów na niesamolubstwo, którą zakorzeniliśmy między osobnikami odmiennych płci. Kobieta sądzi, że niesamolubstwo polega głównie na kłopotaniu się o innych; mężczyzna — że na niesprawianiu innym kłopotu. W rezultacie kobieta, która daleko posunęła się w służbie Nieprzyjaciela, może stać się o wiele większym utrapieniem dla innych niż jakikolwiek mężczyzna, z wyjątkiem mężczyzn, których nasz Ojciec opanował już całkowicie; i na odwrót mężczyzna długo musi przebywać w obozie Nieprzyjaciela, zanim zdobędzie się na tyle spontanicznego wysiłku dla dogodzenia innym, na ile zupełnie przeciętna kobieta potrafi się zdobyć każdego dnia. W ten sposób podczas gdy kobieta stara się wykonywać przysługi, a mężczyzna

usiłuje tylko szanować uprawnienia innych ludzi, każda płeć może — pozornie nie bez racji — uważać i faktycznie uważa tę drugą za na wskroś samolubną.

Gdy to osiągniesz, możesz sobie pozwolić na dalsze powiększenie tego zamętu. Erotyczne oczarowanie wytwarza obopólną uprzejmość, w której każda ze stron n a p r a w d ę z przyjemnością poddaje się życzeniom drugiej. Równocześnie zdają sobie oni sprawę, że Nieprzyjaciół żąda od nich miłości bliźniego w stopniu, który jeśli zostanie osiągnięty, daje w rezultacie takie samo postępowanie. Musisz się postarać o to, by narzeczeni przyjęli na całe swe życie małżeńskie jako normę ten stopień wzajemnej ofiarności, który obecnie wyrasta w sposób naturalny z ich zakochania się, lecz na który nie znajdują w sobie dość prawdziwej miłości bliźniego, gdy czar zakochania przeminie. Nie dojrzą tej pułapki, są bowiem podwójnie zaślepieni; myślą seksualne podniecenie z miłością bliźniego, a po wtóre sądzą, że to podniecenie będzie trwać wiecznie.

Gdy już ustalą jako regułę pewien typ oficjalnego, legalnego lub nominalnego niesamolubstwa — regułę, dla zachowania której uczuciowe środki już się wyczerpały, a duchowe jeszcze się nie rozwinęły — wynikną z tego najrozkoszniejsze rezultaty. Przy projektowaniu i dyskutowaniu jakiegokolwiek wspólnej imprezy osoba A będzie z konieczności obstawać za przypuszczalnymi życzeniami osoby B, wbrew swym własnym, podczas gdy osoba B będzie czynić to samo tylko w odwrotnym kierunku. Często się zdarza, że jest rzeczą niemożliwą zorientować się w prawdziwych życzeniach którejkolwiek ze stron; jeżeli wszystko idzie dobrze, to kończy się na tym, że oboje czynią coś, czego żadne z nich nie pragnie, a równocześnie każde z nich odczuwa żarliwość własnej prawości i żywi w skrytości serca pretensję do uprzywilejowanego potraktowania ze względu na wykazane niesamolubstwo oraz dyskretny żal do strony przeciwnej o to, że tak łatwo przyjęła ofiarę. W następnym etapie możesz się odważyć na coś, co można by nazwać „iluzją szlachetnego konfliktu”. Zabawa ta najlepiej się udaje, gdy w grę wchodzi więcej niż dwoje aktorów, a więc na przykład w rodzinie z dorosłymi dziećmi. Ktoś proponuje jakąś zupełnie błahą rzecz, na przykład wspólne wypicie herbaty w ogrodzie. Jeden z członków rodziny stara się wówczas możliwie najdobitniej (choć nie w tyłu słowach) dać do zrozumienia, że on wolałby raczej nie, ale oczywiście z „niesamolubstwa” gotów jest zgodzić się na to,

co zaproponowano. Wówczas pozostali wycofują natychmiast swą propozycję, rzekomo ze względu na ich „niesamolubstwo”, lecz w rzeczywistości dlatego, że nie uśmiecha im się wcale rola manekinów, wobec których pierwszy mówca produkuje swe altruistyczne popisy. Lecz on nie ma wcale ochoty pozwolić się zdystansować innym w tym przetargu niesamolubstwa. Obstaje, aby zrobić to, „Czego inni sobie życzą”. Oni obstają przy tym, czego on sobie życzy. Namiętności zostają rozbudzone. Wkrótce ktoś mówi: „Mam tego dość! Dziękuję za herbatę!” — i powstaje kłótnia powodująca rozgoryczenie i niezadowolenie po obu stronach. Rozumiesz, na czym cała rzecz polega? Gdyby każda ze stron spierała się szczerze o rzeczywiste swe pragnienie, wszyscy zachowaliby granice rozsądku i grzeczności. Spór jednak został odwrócony i każda ze stron walczy nie o własne, lecz o cudze życzenie, a przy tej sposobności wylewa się cała gorycz ukryta pod oficjalnym pojęciem „niesamolubstwa”, która w rzeczywistości powstała z pokrzyżowania ich pozornie prawego postępowania, z uporu i nagromadzonych w ciągu ostatnich dziesięciu lat uraz. Każdy z nich uważa przy tym, że jego niesamolubstwo powinno go wystarczająco usprawiedliwiać. Każda strona jest w rzeczywistości bardzo wrażliwa na tanie niesamolubstwo przeciwnika i na fałszywą pozycję, w jakiej przeciwnik próbuje ją postawić, lecz równocześnie każda z nich potrafi sama siebie uważać za nienaganną i pokrzywdzoną, nie wykazującą większej nieuczciwości nad tę, jaka uchodzi za naturalną wśród przeciętnych ludzi.

Pewien rozsądny człowiek powiedział kiedyś: „Gdyby ludzie wiedzieli, ile zgubnych uczuć wyrasta z niesamolubstwa, to nie zalecaliby go tak często z ambony”; a przy innej okazji: „Ona jest tego rodzaju kobietą, która żyje tylko dla innych — tych innych możesz zawsze poznać po zaszczutym wyrazie twarzy”. Wszystko to możesz rozpocząć realizować już w okresie starania się o dziewczynę. Prawdziwe samolubstwo w niewielkim stopniu zakorzenione w duszy Twego pacjenta da Ci na dłuższą metę mniej korzyści w zabezpieczaniu jego duszy, niż te pierwsze zaczątki owego wypracowanego i uświadomionego niesamolubstwa, które mogą pewnego dnia rozkwitnąć w sposób, jaki dopiero co opisałem. Już teraz można przemycić między nich pewien stopień wzajemnej nieszczerości, pewną pretensję do dziewczyny o to, że nie zawsze zauważa, ile on wykazuje swoim postępowaniem niesamolubstwa. Pielęgnuj te rzeczy, a nade wszystko nie pozwól, by ci

młodzi głupcy je zauważyli. Jeśli je bowiem zauważą, znajdą się na niebezpiecznej drodze prowadzącej do odkrycia, iż „miłość” nie wystarcza, że potrzebna jest jeszcze prawdziwa miłość bliźniego, której dotychczas jeszcze nie osiągnęli, a której żadna zewnętrzna zasada postępowania zastąpić nie może. Chciałbym, aby Slumtrimpet zrobił coś, by osłabić w tej młodej kobiecie zmysł humoru i wyczucie śmieszności.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Wydaje się, że obecnie niewiele robisz dobrego. Oczywiście nie można nic zarzucić wykorzystywaniu „miłości” do odciągania uwagi pacjenta od Nieprzyjaciela, lecz sam zdradzasz się, jak lichy z tego robisz użytek, gdy mówisz, że cała ta sprawa roztargnień i błędzących myśli stała się obecnie jednym z głównych przedmiotów jego modlitw. Znaczy to, że usiłowania Twoje spełzły w zasadzie na niczym. Gdy takie lub inne roztargnienie wkradnie się do jego świadomości, winieneś zachęcać go, by je wyrzucił samą siłą woli i by próbował kontynuować normalną modlitwę tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło; gdy raz uzna to roztargnienie za swój aktualny problem i przedłoży go Nieprzyjacielowi oraz uczyni go głównym przedmiotem swych modlitw i wysiłków, wówczas Twoja działalność nie tylko nie dokonała nic dobrego, ale przyniosła nam szkodę. Każda rzecz, nawet grzech, która w ogólnym rozrachunku przybliży go do Nieprzyjaciela, na dalszą metę działa przeciwko nam.

Obiecująca jest następująca linia postępowania. Teraz, gdy jest zakochany, zrodziła się w jego umyśle nowa idea z i e m s k i e g o szczęścia, a to pociągnęło za sobą nowe nasilenie w jego czysto błagalnych modlitwach — modlitwach, koncentrujących się wokół tej wojny i innych podobnych spraw. Obecnie jest dogodna pora na rozbudzenie intelektualnych trudności w związku z modlitwą tego rodzaju. Zawsze należy popierać fałszywe uduchowanie. W oparciu o tę pozornie nabożną zasadę, że „prawdziwa modlitwa to oddawanie czci i łączność duchowa z Bogiem”, często da się podstępem skierować ludzi na drogę rażącego nieposłuszeństwa Nieprzyjacielowi, który (w swój jak zwykle prosty, banalny, nieciekawý sposób) wyraźnie im nakazał modlić się o chleb powszedni i o powrót do zdrowia chorych. Ty, ma się rozumieć, musisz ukryć przed nim ten fakt, że modlitwa o chleb powszedni, interpretowana w „znaczeniu duchowym”, jest dokładnie tak

samo prymitywna w swej błagalnej formie, jak w każdym innym znaczeniu.

Ponieważ jednak pacjent Twój nabrał okropnego przyzwyczajenia posłuszeństwa, będzie przypuszczalnie kontynuował te „prymitywne” modlitwy niezależnie od tego, co zrobisz. Lecz możesz go niepokoić nawiedzającymi go podejrzeniami, że praktyka taka jest absurdalna i nie może przynieść żadnych obiektywnych rezultatów. Nie omieszkaj posłużyć się argumentacją w stylu: „reszka — ja wygrywam, orzeł — ty przegrywasz”. Jeśli prośba zawarta w tego rodzaju modlitwie nie ziści się, wówczas jest to jeszcze jeden dowód więcej, że tego rodzaju modlitwy są nieskuteczne; jeśli się ziści, to będzie mógł, oczywiście, znaleźć jakieś fizyczne przyczyny, które do tego doprowadziły i „dlatego byłoby się to tak czy inaczej wydarzyło”, a w ten sposób modlitwa wysłuchana staje się takim samym dowodem, jak i niewysłuchana na to, że modlitwy są nieskuteczne.

Tobie, jako duchowi, trudno będzie zrozumieć, w jaki sposób dochodzi on do takiego pomieszania pojęć. Lecz musisz pamiętać o tym, że bierze on czas za niewzruszoną rzeczywistość. Przypuszcza, że Nieprzyjaciel, tak samo jak on, widzi niektóre rzeczy jako teraźniejsze, inne pamięta jako przeszłe, a jeszcze inne przewiduje jako przyszłe; lub nawet jeśli wierzy, że Nieprzyjaciel nie postrzega rzeczy w ten sposób, to jednak, w najgłębszych tajnikach swego serca, uważa to za jedną ze szczególnych cech Jego sposobu postrzegania — faktycznie nie uważa on (choćby powiedziałby, że tak), że Nieprzyjaciel widzi rzeczy tak jak one istnieją! Gdybyś mu próbował wyjaśnić, że dzisiejsze modlitwy ludzi są jednym z niezliczonych czynników, z którymi Nieprzyjaciel harmonizuje pogodę dnia jutrzejszego, odpowiedziałby, że wobec tego Nieprzyjaciel zawsze wiedział, iż ludzie będą zanosić te modlitwy, a jeśli tak, to nie modlą się z wolnej woli, lecz są do takiego postępowania predestynowani. Ponadto dodałby, że można by prześledzić wstecz, aż do początku stworzenia samej materii, przyczyny, jakie wpłynęły na ukształtowanie się pogody w określonym dniu, tak że cała ta sprawa, zarówno po stronie ludzkiej, jak i materialnej bierze swój początek od słów „niech się stanie”. My oczywiście wiemy, co on powinien by w takiej sytuacji powiedzieć: że problem dostosowania konkretnej pogody do konkretnych modlitw jest tylko zewnętrznym przejawem (w dwóch punktach ograniczonego czasem postrzegania pacjenta) ogólnego problemu dostosowania całego świata

duchowego do całego świata materialnego; że akt stwórczy w swym całokształcie dokonuje się w każdym punkcie czasu i przestrzeni; lub raczej, że swoisty rodzaj ludzkiej świadomości zmusza ludzi do oglądania całego, spójnego aktu stwórczego jako serii następujących po sobie zdarzeń. Dla czego ten akt stwórczy pozostawia miejsce na ich wolną wolę, jest problemem problemów, sekretem ukrytym za tym nonsensem Nieprzyjaciela o „miłości”. Jak to się dzieje, nie jest w ogóle żadnym problemem; ponieważ wiedza Nieprzyjaciela płynie nie z faktu, że przewiduje to, co ludzie w przyszłości uczynią, lecz Nieprzyjaciel widzi ich poczynania w swym bezgranicznym Teraz. A oczywiście widzieć człowieka, jak coś czyni, to nie to samo, co skłaniać go, aby to czynił.

Można by powiedzieć, że niektórzy wścibscy pisarze, a szczególnie Boecjusz, ujawnili tę tajemnicę. Lecz w takim klimacie intelektualnym, jaki udało nam się wreszcie wytworzyć w całej zachodniej Europie, nie musisz się o to martwić. Tylko uczeni czytają stare księgi, a z uczonymi daliśmy sobie już radę na tyle, że ze wszystkich ludzi najmniej możemy się o nich obawiać, aby — czyniąc to — nie nabyli mądrości. Dokonaliśmy tego przez wpojenie w ich umysły historycznego punktu widzenia. Historyczny punkt widzenia, wyłożony w skrócie, oznacza, że kiedy uczonego spotyka się u dawnego autora z jakimś twierdzeniem, to jedynym pytaniem, którego sobie nigdy nie stawia, jest pytanie, czy to jest prawda. Zapytuje, kto wywarł wpływ na tego starożytnego pisarza, jak dalece napotkane twierdzenie zgodne jest z tym, co napisał w innych swych dziełach, jaką to fazę w rozwoju pisarza lub w ogólnej historii myśli ilustruje, jaki to wywarło wpływ na późniejszych pisarzy, jak często bywało źle rozumiane (szczególnie przez własnych kolegów tegoż uczonego), jaki był ogólny kierunek krytyki owego ujęcia w ostatnich dziesięciu latach i jak się przedstawia „obecny stan tego zagadnienia”. Traktować starożytnego pisarza jako możliwe źródło wiedzy — spodziewać się, że to, co powiedział, mogłoby w jakiś sposób zmodyfikować myśli lub zachowanie współczesnego człowieka — takie podejście odrzucono by jako niezwykle prostackie. A ponieważ nie jesteśmy w stanie ciągle oszukiwać całej ludzkości, jest rzeczą niezwykle ważną, aby w ten sposób odcinać każdą generację od wszystkich pozostałych; bo tam, gdzie nauka dokonuje swobodnej wymiany myśli na przestrzeni stuleci, istnieje zawsze niebezpieczeństwo, że charakterystyczne błędy jednego stulecia mogłyby być skorygowane

przez charakterystyczne prawdy innego. Lecz dzięki naszemu Ojcu i historycznemu punktowi widzenia wielcy uczeni czerpią obecnie z przeszłości tak mało korzyści, jak najbardziej ignorancki inżynier, który utrzymuje, że „historia to kosałki-opałki”.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Kiedy pisałem Ci, byś nie zapełniał Twych listów śmieciami o wojnie, to miałem wówczas na myśli, byś sobie oszczędził tych dziecinnych rapsodii o śmierci ludzi i zniszczeniu miast. Wymagam natomiast dokładnych sprawozdań o tych wydarzeniach wojennych, które naprawdę wywierają jakiś wpływ na duchowy stan Twego pacjenta. Lecz jeśli chodzi o ten aspekt całej sprawy, wydajesz mi się wyjątkowo tępy. Tak więc donosisz mi z radością, że są podstawy ku temu, by oczekiwać ciężkich nalotów na miasto, w którym to stworzenie żyje. Toż to właśnie jaskrawy przykład tego, na co się już skarżałem — owej skłonności do zapominania o tym, co najważniejsze w trakcie rozkoszowania się ludzkim cierpieniem. Czy nie wiesz, że bomby zabijają ludzi? Albo czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że śmierć pacjenta w obecnej chwili jest właśnie tym, czego najbardziej chcemy uniknąć? Wymknął się z rąk swym światowym przyjaciołom, za sprawą których próbowałeś go omotać; „zakochał się” w prawdziwie chrześcijańskiej kobiecie i przez pewien czas nie będziesz mógł atakować jego czystości, a rozliczne usiłowania, podejmowane z naszej strony dla wypaczenia jego życia duchowego, okazały się, jak dotychczas, bezskuteczne. W obecnej chwili, kiedy potężna zawierucha wojenna przybliża się coraz bardziej, a jego doczesne nadzieje schodzą w jego świadomości na dalszy plan, gdy myśl jego zajęta jest sprawami obrony i niepokojem o narzeczoną, gdy zmuszony jest zająć się sąsiadami w większym stopniu, niż to czynił kiedykolwiek przedtem, i lubi to bardziej, niż się spodziewał, gdy — jak to ludzie mówią — „wychodzi z siebie” i gdy z dniem każdym wrasta w świadomą zależność od Nieprzyjaciela, prawie na pewno będzie dla nas stracony, jeśli zostanie zabity tej nocy. Jest to tak oczywiste, że aż mi wstyd o tym pisać. Czasami zastanawiam się, czy wy, młodzi szatani, nie pozostajecie jednorazowo zbyt długo na stanowisku kuszenia, czy nie grozi wam niebezpieczeństwo zarażenia się uczuciami i wartościami

ludzi, wśród których pracujecie. Oni oczywiście skłonni są uważać śmierć za największe zło, a przetrwanie za największe dobro, lecz ten sposób myślenia podsunęliśmy im my sami. Nie pozwólmy się więc zarazić naszą własną propagandą. Wiem, że wydaje Ci się to dziwne, iż w chwili obecnej głównym Twoim celem ma być dokładnie to samo, o co modli się matka pacjenta i jego ukochana — mianowicie jego cielesne bezpieczeństwo. Tak jednak rzeczywiście jest; Twoim obowiązkiem jest strzec go bez przerwy jak źrenicy oka. Jeśli teraz umrze, stracisz go. Jeśli zaś wojnę przeżyje, to zawsze jeszcze będziesz miał nadzieję zdobycia go. Nieprzyjaciół ochronił go przed Tobą w czasie pierwszej wielkiej fali pokus. Lecz jeśli tylko uda się zachować go przy życiu, czas będzie Twoim sprzymierzeńcem. Długie, nudne i monotonne lata wieku średniego, wypełnione dobrobytem lub naszpikowane przeciwnościami losu, są doskonałym klimatem do prowadzenia akcji. Zdajesz sobie chyba sprawę, jak trudno jest tym ludzkim stworzeniom w y t r w a ć. Znużenie przeciwnościami, stopniowe wystyganie młodzieńczych miłości i nadziei, spokojna (prawie nie odczuwana jako cierpienie) rozpacz i zwątpienie, czy będzie można kiedykolwiek przezwyciężyć chroniczne pokusy, którymi łamiemy ich raz po raz, monotonia i szarzyzna, którą w ich życiu wytworzyliśmy, i niema odraza, którą uczymy ich na to reagować — to wszystko stwarza doskonałą okazję do stopniowego wyjałowienia i wyniszczenia ludzkiej duszy. Jeśli przeciwnie, lata średnie okażą się pomyślne, nasza pozycja staje się jeszcze mocniejsza. Życiowe sukcesy wiążą człowieka mocniej ze światem. Jest głęboko przekonany, że „odnajduje swe miejsce”, podczas gdy w rzeczywistości świat odnajduje swe miejsce w nim. Jego wzrastająca reputacja, poszerzający się stale krąg dobrych znajomych, poczucie własnej wartości, coraz większe pochłonięcie absorbującą przyjemną pracą — gruntuje w nim przeświadczenie, że istotnie jest u siebie w domu na tej Ziemi, a to jest właśnie to, czego my pragniemy. Zechciej zwrócić uwagę, iż ludzie młodzi na ogół mniej niechętnie odnoszą się do śmierci niż ludzie w średnim wieku lub starcy.

Trzeba przyznać, że Nieprzyjaciół przeznaczywszy dziwnym kaprysem te wierutne zwierzęta do życia w Jego własnym wiecznym świecie, zabezpieczył je dość skutecznie przed niebezpieczeństwem zadomowienia się gdziekolwiek indziej. I właśnie dlatego musimy tak często życzyć długiego życia naszym pacjentom; siedemdziesiąt lat to moim zdaniem

ani jeden dzień za wiele dla trudnego zadania odplątania ich dusz od Nieba i ugruntowania w nich mocnego przywiązania do Ziemi. Gdy są młodzi, potrafią często w najbardziej nieodpowiedniej chwili zmienić nagle swe postępowanie. Nawet w wypadku, gdy wysiłkiem naszym udaje nam się utrzymać ich z dala od wyraźnie sprecyzowanej religii, to i wówczas nieobliczalne w swych skutkach powiewy fantazji, muzyki i poezji — nieraz jedna twarzyczka dziewczęcia, śpiew ptaka lub widok horyzontu — potrafią zawsze, jakby za jednym zdmuchnięciem, zniszczyć całą, z trudem przez nas montowaną konstrukcję. Nie chcą się przykładać zbytnio do robienia majątku i kariery życiowej i przestrzegania bezpieczeństwa. Ich apetyt na Niebo jest tak głęboko zakorzeniony, że w obecnym stadium najlepsza metoda przywiązania ich do Ziemi to sprawić, by uwierzyli, że w jakimś określonym punkcie przyszłości Ziemia będzie mogła być przekształcona w Niebo — przez sztukę rządzenia, eugenikę, „naukę” lub psychologię, lub też przez cokolwiek innego.

Prawdziwe przywiązanie do świata jest dziełem czasu, wspomaganego oczywiście przez pychę, albowiem uczymy ich, by w okresie późnej starości bardziej niż na fakt śmierci zwracali uwagę na związaną z tym mądrość, dojrzałość lub doświadczenie. Doświadczenie, w tym szczególnym znaczeniu, jakie mu dzięki nam nadają, jest, nawiasem mówiąc, niezwykle pożytecznym słowem.

Pewien ich wielki filozofomalże nie wydał naszego sekretu, gdy powiedział, że tam, gdzie chodzi o cnotę, „doświadczenie jest matką złudzeń”; lecz dzięki zmianie mody, a także, ma się rozumieć, historycznemu punktowi widzenia, książkę jego w znacznej mierze unieszkodliwiliśmy.

Jak cenny dla nas jest czas, można wnosić z faktu, że Nieprzyjaciel tak mało nam go pozostawia. Większość ludzkiego rodzaju umiera w dzieciństwie; z pozostałych przy życiu wielu umiera w młodości. Jest oczywiste, że dla Niego ludzkie narodziny są ważne głównie ze względu na uzdolnienie do ludzkiej śmierci, przy czym śmierć pojmuję On jedynie jako bramę do owego drugiego rodzaju życia. Pozwolono nam pracować tylko nad wybraną mniejszością ludzkiego gatunku, ponieważ to, co ludzie nazywają „normalnym życiem”, stanowi raczej wyjątek. Widocznie Nieprzyjaciel chce, aby pewna ilość ludzkich zwierząt, choć bardzo ograniczona, mająca zaludnić Niebo, legitymowała się

doświadczeniem opierania się nam na przestrzeni sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu lat doczesnego życia. No cóż, tyle naszej sposobności. Im jej jest mniej, tym lepiej musimy ją wykorzystać. Cokolwiek zrobisz, staraj się za wszelką cenę zachować Twego pacjenta przy życiu.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Obecnie, gdy nie ma już żadnej wątpliwości, że Niemcy będą bombardowali miasto Twego pacjenta i że jego obowiązki kazały mu tkwić w kręgu największego niebezpieczeństwa, musimy zastanowić się nad naszą taktyką. Mamy próbować tchórzostwa — czy też odwagi, która w skutkach może przynieść pychę — a może nienawiści do Niemców?

Otóż obawiam się, że nie jest rzeczą wskazaną robić z niego człowieka odważnego. Niestety nasz oddział badań naukowych nie odkrył jeszcze sposobu wytworzenia jakiegokolwiek cnoty (choć odkrycia tego należy spodziewać się z godziny na godzinę). I to jest poważna przeszkoda. By stać się wielkim i efektywnym grzesznikiem, człowiek potrzebuje jakiejś cnoty. Czymże byłby Attyla bez swej odwagi lub Shylock bez samozaparcia w swym dążeniu do zemsty? Skoro jednak sami nie potrafimy dostarczyć im tych cech, możemy wykorzystywać tylko te, których dostarcza Nieprzyjaciół — a to oznacza pozostawienie Mu pewnej przestrzeni działania u tych ludzi, którymi poza tym zupełnie zawładnęliśmy. Bardzo niezadowolający stan rzeczy, lecz ufam, że pewnego dnia uda nam się to urządzić daleko lepiej.

Nienawiść potrafimy wytworzyć. Napięcie ludzkich nerwów podczas zgiełku, niebezpieczeństwa i zmęczenia czyni ludzi podatnymi na wszelkie gwałtowne wzruszenia i sprawa polega tylko na skierowaniu tej podatności na odpowiednie tory. Jeśli sumienie opiera się, zmać mu myśli. Niech się tłumaczy, że czuje nienawiść nie we własnym imieniu, lecz w imieniu bezbronnych kobiet i dzieci, że kazano mu przebaczać swoim własnym wrogom, nie zaś wrogom innych ludzi. Innymi słowy, niech utożsamia siebie z tymi kobietami i dziećmi tylko do tego stopnia, by mógł w ich imieniu przeżywać swą nienawiść, nie pozwól mu jednak tego utożsamienia posunąć tak daleko, by zrozumiał, że wrogowie tamtych są i jego wrogami, a zatem właściwymi obiektami przebaczenia.

Lecz nienawiść najlepiej jest łączyć ze strachem. Wśród wielu wad, tchórzostwo jest jedyną wadą bolesną; jest straszne w przewidywaniu, okropne w odczuwaniu, zawstydzające we wspomnieniu. Nienawiść natomiast posiada swe przyjemne strony. Dlatego bywa ona często k o m p e n s a t ą, którą człowiek nastraszony wyrównuje sobie przeżyte z powodu strachu udręki i upokorzenia. Im bardziej się boi, tym bardziej nienawidzi. Nienawiść jest również skutecznym narkotykiem dla wstydu. By uczynić możliwie głęboką wyrwę w jego miłości bliźniego, powinienesz więc przede wszystkim sparaliżować jego odwagę.

Lecz nie jest to sprawa prosta ani łatwa. Osiągnęliśmy wprawdzie to, że ludzie czują się dumni z większości swych wad, tchórzostwa jednak nadal się wstydzą. Zawsze gdy już jesteśmy bliscy sukcesu pod tym względem, Nieprzyjaciół dopuszcza wojnę, trzęsienie ziemi lub jakąkolwiek inną klęskę i odwaga staje się na powrót tak cenna w ludzkich oczach i tak bliska ludzkiemu sercu, że cała nasza praca zostaje unicestwiona, a w życiu ludzkim pozostaje nadal przynajmniej jedna wada, której ludzie naprawdę się wstydzą. Dążenie do wytworzenia tchórzostwa w naszych pacjentach przynosi więc z sobą niebezpieczeństwo prawdziwego poznania i obrzydzenia samego siebie, co w konsekwencji prowadzi do żalu i pokory. I tak w ostatniej wojnie tysiące ludzi, odkrywszy swe tchórzostwo, odkryło po raz pierwszy cały świat wartości moralnych. W czasie pokoju możemy doprowadzić do stanu, w którym wielu ludzi całkowicie ignoruje dobro i zło moralne; w czasie niebezpieczeństwa natomiast, dobro i zło stają się tak oczywiste, że nawet my nie możemy ukryć ich przed ludzkimi oczyma. I oto staje przed nami okrutny dylemat: jeśli byśmy popierali wśród ludzi sprawiedliwość i miłość bliźniego, działanie nasze byłoby na rękę Nieprzyjacielowi, lecz jeśli kierujemy ich ku niesprawiedliwości, krzywdzie i nienawiści, wcześniej czy później doprowadza to (ponieważ Nieprzyjaciół dopuszcza, by to doprowadziło) do wojny lub rewolucji, a zarysowująca się wówczas ostro sprawa odwagi i tchórzostwa budzi tysiące ludzi z ich moralnego odrętwienia.

Zaiste, jest to przypuszczalnie jedna z przyczyn, dla których Nieprzyjaciół stworzył świat pełen niebezpieczeństw — świat, w którym sprawy moralności osiągają swój punkt krytyczny. Dostrzega On równie dobrze jak i Ty, że odwaga nie jest po prostu tylko j e d n ą z cnót, lecz formą każdej cnoty w momencie wystawienia jej na próbę, to znaczy

w momencie jej najwyższej realności. Czystość, uczciwość czy litość cofające się przed niebezpieczeństwem są cnotami tylko warunkowo. Piłat był litościwy, póki litość nie stała się ryzykowna.

Możesz więc tyle samo stracić, co i zyskać, jeśli Twego pacjenta uczynisz tchórzem; może on się bowiem zbyt wiele dowiedzieć o sobie samym! Oczywiście, istnieje zawsze szansa nie uśmierzenia, lecz spotęgowania wstydu i doprowadzenia do rozpacz. Byłoby to wielkim triumfem. W tym wypadku okazałoby się, iż pacjent wierząc, przyjął od Nieprzyjaciela przebaczenie wszystkich innych grzechów jedynie dlatego, że nie pojmował w pełni ich brzydoty, natomiast w wypadku tchórzostwa, gdzie pojął całą głębię jego sromoty, nie potrafi szukać miłosierdzia ani mu zawierzyć. Obawiam się jednak, że pozwoliłeś mu zbyt daleko zabrnąć w szkole Nieprzyjaciela i wobec tego wie on już dobrze, że rozpacz jest większym grzechem niż każdy inny grzech, który ją powoduje.

Co do aktualnej techniki kuszenia do tchórzostwa — nie ma potrzeby zbyt wiele się nad tym rozwodzić. Momentem zasługującym przede wszystkim na uwagę jest fakt, iż środki ostrożności wykazują tendencję wzmaganie strachu. Nakazane jednak z urzędu i ogłaszane publicznie środki ostrożności stają się stosunkowo szybko sprawą rutyny i przestają robić wrażenie. Ty musisz postarać się o to, by w umyśle pacjenta (obok świadomej intencji spełnienia spoczywającego na nim obowiązku) ugruntować niejasne przekonanie, że istnieje cały szereg różnych możliwości, z których będzie mógł, w ramach nakazanego obowiązku, skorzystać, a które dadzą mu złudzenie nieco większego bezpieczeństwa. Sprowadź go z drogi prostego nakazu („Mam zatrzymać się w takim i takim miejscu, i wykonać to i to”) na drogę składającą się z szeregu wyimaginowanych możliwości („Gdyby zdarzyło się A — chociaż żywię wielką nadzieję, że się nie zdarzy — mógłbym zrobić B, natomiast gdyby doszło do najgorszego, mógłbym jeszcze zawsze zrobić C”). Można również rozbudzić zabobony, pod warunkiem, że nie zostaną rozpoznane jako takie. Cały dowcip polega na tym, by wytworzyć w nim przekonanie, że może liczyć na coś innego, do czego mógłby się uciec, niż Nieprzyjaciel i odwaga, którą go obdarza, tak by to, co miało być całkowitym oddaniem się obowiązkowi, zostało, na skutek drobnych i nieuświadomionych zastrzeżeń, osłabione i unicestwione. Przez podsuwanie jego wyobraźni szeregu urojonych środków, którymi ma

zapobiec „najgorszemu”, możesz wytworzyć w podświadomych rejonach jego woli zdecydowane postanowienie, że **n i e ś m i e** dojść do najgorszego. Następnie, w momencie prawdziwego przerażenia, wtłocz mu je w nerwy i mięśnie, a możesz osiągnąć to, że popełni ten fatalny czyn, zanim zorientuje się w Twoich knowaniach. Pamiętaj bowiem, że liczy się jedynie **c z y n** tchórzostwa; uczucie lęku samo w sobie nie jest grzechem i choć sprawia nam radość, nie przynosi nic dobrego.

Twój kochający stryj

Krętacz

Mój drogi Piołunie

Czasami zastanawiam się, czy Ty przypadkiem nie sądzisz, że posłano Cię na świat dla Twojej własnej przyjemności. Jak dowiaduję się, nie z Twego żałośnie ubogiego sprawozdania, lecz z raportu Policji Piekielnej, zachowanie pacjenta w czasie pierwszego nalotu przeszło moje najgorsze przewidywania. Był bardzo przestraszony i uważał się za wielkiego tchórza; dlatego nie był ani trochę dumny z siebie, lecz wypełnił wszystko, czego wymagał od niego obowiązek, a być może nawet trochę więcej. Wszystko, co w tej całkowitej klęsce możesz zapisać po stronie zysków, to irytacja pacjenta z powodu psa, który wlaźł mu pod nogi, trochę nieumiarkowania w paleniu papierosów i zapomnienie o modlitwie. I co Ty właściwie chcesz zyskać, skomląc przede mną i narzekając na trudności? Jeżeli szukasz „sprawiedliwości” takiej, jaka istnieje u Nieprzyjaciela, i sugerujesz, że należy wziąć pod uwagę Twoje możliwości i intencje, to nie jestem pewien, czy nie zostaniesz oskarżony o herezję. Tak czy inaczej, wkrótce przekonasz się, że sprawiedliwość Piekła jest całkowicie realistyczna i interesuje się wyłącznie rezultatami. Przynieś nam strawę lub bądź sam strawą.

Jedyny konstruktywny fragment Twego ostatniego listu to ten, w którym wzmiankujesz, że spodziewasz się wciąż jeszcze dobrych rezultatów mogących wyniknąć ze zmęczenia pacjenta. Z tym można by się zgodzić. Lecz to nie wpadnie samo przez się w Twoje ręce. Zmęczenie m o ż e bowiem doprowadzić także do krańcowej łagodności, spokoju umysłu, a nawet do czegoś w rodzaju wizji. Jeśli widywałeś często ludzi, których zmęczenie doprowadzało do gniewu, złośliwości i zniecierpliwienia, to dlatego, że ludzie owi mieli skutecznie działających kusicieli. Jest rzeczą paradoksalną, że umiarkowane zmęczenie jest podatniejszą glebą dla złego humoru niż zupełne wyczerpanie. Zależy to częściowo od przyczyn natury fizycznej, lecz częściowo także od czegoś innego. To nie zmęczenie jako takie jest powodem gniewu, lecz

niespodziewane żądania, które stawia się człowiekowi już zmęczonemu. Jeżeli ludzie czegokolwiek się spodziewają, to wkrótce ulegają złudzeniu, że mają do tego prawo, a wtedy świadomość zawodu, przy odrobinie zręczności z naszej strony, łatwo można przemienić w poczucie krzywdy. Dopiero gdy ludzie poddadzą się nieuniknionej konieczności, zrezygnują z wszelkich nadziei na ulgę i odprężenie oraz przestaną wybiegać myślą choćby na pół godziny naprzód, zjawia się niebezpieczeństwo pokornego i łagodnego znużenia. Dlatego by uzyskać jak najlepsze rezultaty ze zmęczenia pacjenta, musisz karmić go złudnymi nadziejami. Karm go pozornie słusznymi i przekonywającymi argumentami na to, że nałot się już nie powtórzy. Dołóż starań, by pocieszał się myślą o tym, jak bardzo będzie się rozkoszował swym łóżkiem następnej nocy. Staraj się sztucznie spotęgować jego znużenie, podsuwając mu myśl, że ono wkrótce minie; z chwilą bowiem gdy napięcie nerwowe mija lub wydaje im się, że mija, ludzie uważają, że doszło ono już do ostatecznych granic i byłoby na dalszą metę nie do zniesienia. W tej sprawie, podobnie jak w wypadku tchórzostwa, należy unikać całkowitego zdania się pacjenta na łaskę Nieprzyjaciela. Niezależnie od tego, co pacjent m ó w i, niech wewnątrz będzie nastawiony nie na zniesienie wszystkiego, cokolwiek go spotka, lecz na zniesienie tego „przez rozsądny okres czasu” — a ten rozsądny okres niech będzie krótszy niż przypuszczalne trwanie próby. Nie ma potrzeby, by był o w i e l e krótszy; przy atakach na cierpliwość, czystość i męstwo jest rzeczą bardzo zabawną sprawić, by pacjent zrezygnował z walki właśnie wtedy, gdy (o gdybyż on to wiedział) był tylko o krok od zwycięstwa.

Nie wiem, czy jest rzeczą prawdopodobną, aby pacjent spotkał swą dziewczynę w warunkach takiego napięcia nerwowego. Jeśli spotka, zrób użytek z tego faktu, że do pewnych granic zmęczenie czyni kobiety bardziej rozmownymi, a mężczyzn mniej. W takich okolicznościach można wywołać, nawet między zakochanymi, wiele skrytych rozdzźwięków i uraz.

Przypuszczalnie sceny, których obecnie jest świadkiem, nie dostarczą materiału do i n t e l e k t u a l n e g o ataku na jego wiarę; Twoje poprzednie niepowodzenia wytrąciły Ci tę broń z ręki. Lecz istnieje pewna możliwość, uczuciowego zaatakowania wiary, którą to próbę można jeszcze podjąć. Polega ona na tym, aby pacjent, po raz pierwszy zobaczywszy rozbryzgane na ścianie szczątki ludzkie, o d c z u ł, że to

jest obraz tego, „czym w r z e c z y w i s t o ś c i jest świat”, i że cała jego religia była tylko fantazją. Chciej zauważyć, że zupełnie zatarliśmy w ich świadomości znacznie wyrazu „rzeczywisty”. Ktoś z ludzi mówi na przykład o pewnym głębokim duchownym przeżyciu: „Wszystko, co się r z e c z y w i ś c i e zdarzyło, to to, że usłyszeliśmy trochę muzyki w jasno oświetlonym budynku”, tu „rzeczywisty” oznacza nagie fakty fizyczne oddzielone od innych elementów doświadczonych w przeżyciu. Z drugiej strony ten sam człowiek powie: „Łatwo wam dyskutować o tego rodzaju skoku, gdy sobie tutaj siedzicie w fotelach, ale wzbijcie się tam w górę i zobaczcie sami, jak to r z e c z y w i ś c i e wygląda”; tu „rzeczywisty” użyte jest w sensie zupełnie przeciwnym, dla oznaczenia nie faktów fizycznych (które już znają, gdy siedząc w fotelach dyskutują na ten temat), lecz emocjonalnego oddziaływania tych faktów na świadomość człowieka. Jednego i drugiego zastosowania tego wyrazu można bronić; w naszym jednak interesie leży, aby oba te znaczenia szły zawsze ze sobą w parze, tak aby emocjonalna wartość wyrazu „rzeczywisty” mogła być umieszczona raz po jednej, raz po drugiej stronie przeżywanego doświadczenia, w zależności od tego, co nam będzie bardziej odpowiadało. Ogólne prawidło, któreśmy im dość zręcznie zasugerowali, brzmi: we wszystkich przeżyciach, które mogą ludzi uczynić lepszymi lub szczęśliwszymi, „rzeczywiste” są jedynie fakty fizyczne, zaś wszelkie duchowe elementy są „subiektywne”; przeciwnie, we wszystkich przeżyciach, które mogą zniechęcić lub duchowo rozbroić, jedyną rzeczywistością są elementy duchowe, a kto je ignoruje, jest dezterem uciekającym przed rzeczywistością. I tak, według naszego prawidła, kiedy się człowiek rodzi, liczą się jako „rzeczywiste” krew i ból, zaś sama radość z narodzin jest tylko subiektywnym złudzeniem; w śmierci natomiast jedyną „rzeczywistością” jest trwoga i brzydota. Nikczemność znienawidzonej osoby jest „rzeczywista” — nienawiść pozbawia złudzeń, pozwala ludzi osądzić trzeźwo i widzieć takimi, jakimi są; natomiast czar ukochanej osoby jest jedynie subiektywnym otumanieniem, kryjącym „rzeczywistą” przyczynę tego zjawiska, którą jest żądza seksualna lub nadzieja materialnych korzyści. Wojna i ubóstwo są „rzeczywiście” okropne; pokój i dostatek to są nagie fakty fizyczne, o których zdarza się ludziom myśleć z sentymentalnym upodobaniem. Stworzenia zawsze się oskarżają wzajemnie o to, że chcą równocześnie „zjadać ciastka i posiadać je”, lecz

dzięki naszym wysiłkom znajdują się częściej w tej niemiłej sytuacji, że płacą za ciastka, a nie jedzą ich. Jeśli należycie pokierujesz Twoim pacjentem, to bez trudności uzna on swe wzruszenie na widok ludzkich wnętrzności za objawienie rzeczywistości, natomiast wzruszenie, którego dozna na widok szczęśliwych dzieci lub pięknej pogody, tylko za zwykłą uczuciowość.

*Twój kochający stryj
Krętacz*

Mój drogi, mój bardzo drogi Piołunie, moja pieszczotko, moje oczko w głowie

Jakże bardzo się mylisz, pytając mnie kwilącym głosem, teraz gdy wszystko jest stracone, czy wyrazy uczucia, z jakimi się do Ciebie zwracam, nic od samego początku nie znaczyły. Nic bardziej błędnego! Bądź spokojny, moja miłość do Ciebie i Twoja miłość do mnie są kubek w kubek takie same. Ja zawsze pożałowałem Ciebie, a Ty (biedny głupcze) pożałowałeś mnie. Różnica polega jedynie na tym, że ja jestem silniejszy. Myślę, że mi Cię teraz dadzą; jeśli nie całego, to przynajmniej część Ciebie. Czy Cię kocham? Ależ oczywiście, że tak. Tak znakomitym kąskiem nigdy się jeszcze nie tuczyłem.

Pozwoliłeś duszy ludzkiej wymknąć się z Twych rąk. Wycie podrażnionego głodu odbija się w tej chwili echem po wszystkich regionach Królestwa Hałasu, w dół aż do samego Tronu. Myśl o tym przyprawia mnie o szaleństwo. Jakże dokładnie zdaję sobie sprawę z tego, co się wydarzyło wówczas, gdy ci go porwali! Gdy zobaczył Cię po raz pierwszy, oczy jego otwarły się nagle na wszystko (czyż nie tak?), a zarazem rozpoznał tę część, którą w nim miał, i zrozumiał, że jej już nie masz. Pomyśl tylko (i niech to będzie początkiem Twojej agonii), co on odczuł w owej chwili; to tak jak gdyby strup odpadł od zastarzałej rany, jak gdyby wyzwolił się z ohydnej, podobnej do liszaja skorupy, jak gdyby pozbył się raz na zawsze plugawego, wilgotnego, lepiącego się do ciała okrycia. Na Piekło! Dość już naszej niedoli, gdy widzimy ich jak za ziemskiego życia zrzucają z siebie zabrudzone i niewygodne odzienie, zanurzają się w gorącej kąpieli i prężąc z ulgą swe zmęczone ciała, wydają lekkie pomruki zadowolenia. A cóż dopiero powiedzieć o tym ostatecznym wyzwoleniu i całkowitym oczyszczeniu?

Im więcej się o tym myśli, w tym gorszym świetle przedstawia się cała sprawa. Tak łatwo przez to wszystko przebrnął! Żadnych stopniowo

narastających obaw, żadnych orzeczeń lekarskich, żadnej lecznicy ni sali operacyjnej, żadnych złudnych nadziei na utrzymanie się przy życiu; proste, momentalne wyzwolenie. W jednym momencie wydawało się, że cały świat jest nasz; huk bomb, rozsypujące się w gruzy domy, gryzący płuca dym wybuchów i cierpki smak w ustach, piekące ze zmęczenia stopy, serce zamierające od okropności, zawrót głowy, obolałe nogi; w następnej chwili wszystko mija, mija jak zły sen i nie ma już żadnego znaczenia. Pokonany, wyprowadzony w pole durniu! Czy zauważyłeś, w jak naturalny sposób — jak gdyby się po to urodził — ten z ziemi zrodzony robak wszedł w nowe życie? Jak wszystkie jego wątpliwości stały się w okamgnieniu śmieszne? Wiem, co to stworzenie mówiło do siebie w owej chwili! „Tak. Oczywiście. Zawsze bywało tak samo. Wszystkie okropności tak samo się kończyły; coraz gorzej i gorzej, przechodzenie przez coś w rodzaju wąskiego gardła, aż naraz, w chwili gdy wydawało ci się, że zostaniesz zmiażdżony, znalazłeś się poza tym wszystkim i nagle wszystko znów jest dobrze. Wyrwanie zęba dokuczało coraz bardziej i bardziej, a potem nagle zęba już nie było. Sen przemienił się w koszmar, a wtedy obudziłeś się. Umierasz i umierasz, a potem nagle jesteś poza śmiercią. Jakże mogłem w to kiedykolwiek wątpić?”

W chwili gdy zobaczył Ciebie, zobaczył również i c h. Zdaję sobie sprawę z tego, jak to wyglądało. Zatoczyłeś się wstecz oszołomiony i oślepiiony, raniony ich widokiem bardziej niż on bombami. Cóż za poniżenie! — że to coś, powstałe z ziemi i z mułu, mogło stać prosto i rozmawiać z duchami, przed którymi Ty, będąc sam duchem, możesz się tylko kulić. Może się spodziewałeś, że lęk i niezwykłość tego spotkania zniweczą jego radość. Lecz to jest przeklęta sprawa; czyste duchy są nieznane oczom śmiertelników, a jednak nie są im obce. Aż do tego momentu nie miał najsłabszego pojęcia, jak będą wyglądać, a nawet wątpił w ich istnienie. Lecz gdy ich ujrzał, zdał sobie sprawę z tego, że ich zawsze znał, jak również z tego, jaką rolę każdy z nich odegrał w niejednej godzinie jego życia, kiedy przypuszczał, że jest osamotniony; teraz mógłby się zwrócić do każdego z nich nie z pytaniem: „Kto ty j e s t e ś?”, lecz ze słowami: „A więc to t y byłeś ze mną przez cały czas”. Wszystko, czym byli dla niego i co mówili, odżywało w jego pamięci w chwili tego spotkania. Niejasne uświadamianie sobie obecności przyjaciół wokół siebie, które już od dzieciństwa nawiedzało go w chwilach osamotnienia, zostało nareszcie wyjaśnione; owa wewnętrzna

muzyka, przewijająca się dyskretnie poprzez każde czyste doznanie, która zawsze wymykała się jego pamięci, została nareszcie odnaleziona. Rozpoznanie uczyniło go wolnym i swobodnym w ich towarzystwie, nieomal zanim jeszcze znieruchomiały jego zwłoki. Tylko ty pozostałeś odepchnięty na ubocze.

Ujrzał nie tylko ich; on ujrzał również Jego. To zwierzę, ta istota zrodzona w łóżku mogła spoglądać na Niego. To, co jest dla Ciebie duszącym i oślepiającym ogniem, dla niego jest orzeźwiającym światłem, jest samą jasnością, i przyjmuje postać Człowieka. Gdybyś mógł, chciałbyś to padnięcie pacjenta na twarz w Obecności, to jego uczucie odrazy do samego siebie i całkowite poznanie swych grzechów (tak, Piołunie, nawet jaśniejsze poznanie niż Twoje) interpretować na podobieństwo Twoich własnych doznań, owego dławiącego i paraliżującego uczucia przy zetknięciu się z tym śmiertelnym wiewem idącym z samego wnętrza Nieba. Pozbądź się jednak niemądrych złudzeń. Z karą może się jeszcze spotkać, lecz kary te p r z y j m u j ą o n i z e s k w a p l i w o ś c i ą. Nie zamieniliby jej na żadną ziemską uciechę. Wszystkie rozkosze zmysłów, serca lub intelektu, którymi mogłeś go niegdyś kusić na Ziemi, nawet rozkosze cnoty samej, mają dla niego, w porównaniu z obecną sytuacją, taką wartość, jaką miałyby na wpół zwiędłe wdzięki uróżowanej ladacznicy dla mężczyzny, który dowiaduje się, że jego prawdziwie ukochana (którą całe życie miłował, a sądził, że umarła) żyje i stoi właśnie u jego drzwi. Pacjent został porwany w ów świat, gdzie zarówno cierpienia, jak i rozkosze nabierają wartości niewymiernych i gdzie cała nasza arytmetyka zawodzi. Jeszcze raz spotykamy się z czymś niewytłumaczalnym. Obok przekleństwa niedołącznych kusicieli, takich jak Ty, największym przekleństwem, jakie nas spotyka, jest niepowodzenie naszego Departamentu Wywiadu. Gdybyśmy tylko mogli odkryć, do czego On naprawdę zmierza! Niestety! Niestety! Wiedza ta, w istocie swej tak nienawistna i budząca najwyższe obrzydzenie, będzie nam jeszcze nieodzownie potrzebna do zdobycia Władzy. Czasami jestem na skraju rozpacz. Wszystko, co mnie podtrzymuje, to przekonanie, że nasz Realizm, nasze odrzucenie (wbrew wszelkim pokusom) wszystkich nonsensów i pustych frazesów, m u s i w końcu zwyciężyć. Tymczasem pozostaje mi policzyć się z Tobą. Z największym szacunkiem podpisuję własnoręcznie

Twój coraz drapieżniej

miłujący Cię stryj
Krętacz

Toast

(Rzecz dzieje się w Piekło, na dorocznym obiedzie w Szkole Kunsztu Kuszenia, wydanym dla młodych diabłów. Przełożony, dr Slubgob, zaproponował właśnie zdrowie gości. Krętaacz, który jest gościem honorowym, podnosi się, by przemówić)

Panie Przełożony, Wasza Imminencjo, Wasze Niełaskowości, Moje Ciernie, Cienie i Diablewaszmości!

Jest w zwyczaju, że przy takiej okazji mówca zwraca się przede wszystkim do tych spośród was, którzy dopiero co uzyskali promocję, a którym już w krótkim czasie powierzy się oficjalne Stanowiska Kuszenia na Ziemi. Jest to zwyczaj, któremu się chętnie podporządkowuję. Pamiętam dobrze, z jaką tremą oczekiwałem na powierzenie mi mojego pierwszego zadania. Mam nadzieję i wierzę w to, że każdy z was odczuwa dziś wieczorem ten sam niepokój. Wasza kariera jest przed wami. Piekło oczekuje i domaga się, by była ona — podobnie jak swego czasu moja — nieprzerwanym pasmem sukcesów. Jeśli tak nie będzie, wiecie, co was czeka.

Nie chcę tu żadną miarą umniejszać tego zdrowego, realistycznego pierwiastka terroru i tego nieustannego lęku, które muszą wspierać was jak bicz i ostroga w waszych wysiłkach. Jakże często będziecie zazdrościć ludziom ich snu! Jednocześnie chciałbym przedstawić wam w miarę zachęcający obraz ogólnej sytuacji strategicznej.

Wasz przejmujący was lękiem Przełożony zawarł w przemówieniu pełnym argumentów coś w rodzaju apologii przygotowanego przez niego dla was bankietu. No cóż, mości diabły, nie jest to j e g o wina. Lecz daremnie byłoby zaprzeczać, że dusze ludzkie, na których udręce dziś wieczorem uczujemy, są dość podłego gatunku. Cała udoskonalona sztuka kulinarna naszych dręczycieli nie potrafi poprawić ich mdłego smaku.

Och, gdyby tak można jeszcze raz zagłębić swoje zęby w kogoś takiego jak Farinata, Henryk VIII czy nawet Hitler. To było coś naprawdę chrupkiego, coś nadającego się do gryzienia; wściekłość, egotyzm, okrucieństwo w stopniu niewiele nam ustępującym. Coś, co stawiało

rozkoszny opór przy pożeraniu. Coś, co po przełknięciu rozgrzewało wnętrzności.

Zamiast tego, cóż podano nam dziś wieczorem? Był jakiś sobie prominent w sosie łapowniczym. Osobiście nie mogłem doszukać się w nim tego aromatu prawdziwie namiętnego i brutalnego skąpstwa, którym można się było rozkoszować u potentatów przemysłowych ubiegłego wieku. Czyż nie był on niewątpliwą miernotą — człowiekiem od małych łapówek, które prywatnie przyjmował i pokrywając to byle jakim żartem, chował do kieszeni, a do których w swych publicznych wypowiedziach odcinał się, posługując się wytartymi frazesami — takie zrobaczywiałe małe nic, które zeszło na drogę korupcji, ledwie zdając sobie z tego sprawę, i to głównie dlatego, że każdy obok czynił tak samo? Następne danie to letni rondel cudzołożników. Czy można było doszukać się w nim choćby drobnego śladu czegoś z zapalczywej, przekornej, zbuntowanej i nienasyconej żądz? Ja nie mogłem. Wszyscy oni smakowali mi jak seksualnie upośledzeni kretyni, którzy zbłądzili lub wśliznęli się do niewłaściwego łóżka, podświadomie reagując tak na reklamę seksu albo po to, by poczuć się bardziej nowocześni lub wyemancypowani, albo by upewnić się co do swej męskości czy „normalności”, czy wreszcie dlatego, że nie mieli nic innego do roboty. Jeśli mam być szczery, to mnie, który zakosztowałem Mesaliny i Casanovy, przyprawiali oni o mdłości. Działacz związkowy, garnirowany Calptrampem, był może odrobinę lepszy. On wyrządził trochę rzeczywistego zła. Przyczyniał się, niezupełnie bezwiednie, do rozlewu krwi, głodu, tłumienia wolności. Tak, w pewien sposób. Lecz co za sposób! Tak mało zastanawiał się nad tymi ostatecznymi skutkami swego działania. Podporządkowanie się linii partii, zarozumiałość, a nade wszystko zwyczajna rutyna, to zasady, które naprawdę zdominowały jego życie.

Lecz teraz do sedna sprawy. Z gastronomicznego punktu widzenia wszystko to wygląda żałośnie. Żywię jednak nadzieję, że nikt z was nie stawia gastronomii na pierwszym miejscu. Czyż w innym, daleko poważniejszym sensie, nie napawa to nadzieją i nie jest obiecujące?

Rozważmy najpierw samą ilość. Jakość może być mizerna; lecz nigdy nie mieliśmy dusz (jeśli zasługują one na takie miano) w większej obfitości.

A następnie triumf. Kusi nas, by powiedzieć, że takich dusz — lub takich szczątkowych pozostałości czegoś, co było kiedyś duszą — prawie się nie opłaca potępiać. Prawda, lecz Nieprzyjaciel (z jakichś niezbadanych i przewrotnych powodów) uznał je za godne, by podjąć próbę ich zbawienia. Możecie mi wierzyć, że tak postąpił. Wy, młodzi, którzy nie byliście jeszcze zaangażowani w czynnej służbie, nie macie pojęcia, jaki trzeba było włożyć trud, jak subtelnie wykazać się zręcznością, zanim każda z tych marnych kreatur została wreszcie pojmana.

Trudność tkwiła w ich kompletnej małościowości i ślamazarności. To nikczemnicy, tak ogłupiali, tak słabo reagujący na otoczenie, że było rzeczą bardzo trudną wydzwignąć ich na taki poziom jasności umysłu i rozwagi, na jakim możliwe jest popełnienie grzechu ciężkiego. Wydzwignąć na tyle, ile potrzeba, byle nie o ten fatalny milimetr „za wysoko”. Wówczas bowiem wszystko mogłoby być, oczywiście, zaprzepaszczone. Mogliby zrozumieć, mogliby żałować. Z drugiej strony, gdyby podniesiono ich świadomość niedostatecznie wysoko, zakwalifikowaliby się najprawdopodobniej do Otchłani, jako stworzenia nie nadające się ani do Nieba, ani do Piekła; jako ci, którzy nie osiągnęli odpowiedniego poziomu, którym pozwala się na pogrążenie się na zawsze w mniej lub bardziej zadowalający stan podrzędnego człowieczeństwa.

W każdym poszczególnym przypadku tego, co Nieprzyjaciel nazwałby schodzeniem na „złą” drogę, stworzenia te początkowo prawie wcale, jeśli w ogóle, nie znajdują w stanie pełnej duchowej odpowiedzialności. Nie pojmują one bądź to źródła pochodzenia, bądź prawdziwego charakteru zakazów, które przekraczają. Świadomość ich prawie nie istnieje w oderwaniu od atmosfery społecznej, która je otacza. My zaś postaraliśmy się oczywiście o to, by już sam ich język był całkowicie mglisty i nieprecyzyjny; to, co byłoby ł a p ó w k ą w zawodzie wykonywanym przez kogoś innego, w ich przypadku jest n a p i w k i e m lub p r e z e n t e m. Pierwszym zadaniem ich Kusicieli było utrwalić i, przez stałe powtarzanie, zamienić w nawyk ten sprzyjający Piekłu dobór znaczeń. Lecz następnie (i to było najważniejsze) przemienić nawyk w zasadę — zasadę, której stworzenie to gotowe jest bronić. Gdy się to uda, wszystko już dobrze się potoczy. Przystosowanie się do społecznego środowiska, początkowo jedynie instynktowne czy nawet mechaniczne — czyż istota g a l a r e t o w a t a mogłaby się nie przystosować? — staje

się teraz nie w pełni uświadomionym credo czy też ideałem wspólnoty lub niewyróżniania się spośród innych. Zwyczajna ignorancja tycząca praw, które tu łamią, przekształca się stopniowo w bliżej niesprecyzowaną w tym zakresie teorię — pamiętajcie o tym, że nie znają oni historii — teorię określaną mianem „moralności” k o n w e n c j o n a l n e j, p u r y t a n s k i e j czy też b u r ż u a z y j n e j. W ten sposób rodzi się w głębi serca takiej istoty mocny, twardy i trwały załączek postanowienia, by trzymać się dotychczasowego sposobu postępowania, a nawet bronić się przed nastrojami, które mogłyby wpłynąć na jego zmianę. Jest to bardzo mały załączek, pozbawiony jakiegokolwiek refleksji (są tego zbyt nieświadomi) lub przekory (wyklucza to ubóstwo ich wyobraźni i przeżyć emocjonalnych), w swoim rodzaju subtelny i skromny jak mały kamyczek lub początkowy załączek raka. Lecz sytuacja taka działać będzie na naszą korzyść. Oto nareszcie mamy rzeczywiste i rozmyślnie, chociaż wyraźnie nie sformułowane, odrzucenie tego, co Nieprzyjaciół nazywa Łaską.

Mamy więc oto dwa pożądane zjawiska. Najpierw obfitość naszych zdobyczy; choćby menu nasze było nieciekawe, głód nam w ogóle nie zagraża. Następnie triumf — sprawność naszych Kusicieli nigdy nie stała tak wysoko. Lecz trzeci morał, którego jeszcze nie nakreśliłem, jest najważniejszy ze wszystkich.

Gatunek dusz, na których rozpacz i ruina dziś wieczorem, no cóż, nie powiem, że ucztowaliśmy, lecz w każdym razie wegetowaliśmy, rośnie liczebnie i liczba ich w dalszym ciągu będzie wzrastać. Nasze informacje pochodzące od Niższego Dowództwa zapewniają nas o tym, że tak jest rzeczywiście; otrzymywane przez nas dyrektywy przypominają nam, byśmy ukierunkowywali całą naszą taktykę, mając na uwadze tego rodzaju sytuację. „Wielcy” grzesznicy, u których ożywcze i zdrowe pasje popchnięte zostały poza dopuszczalne granice i którzy całą swą koncentrację woli skupiają na celach dla Nieprzyjaciół odrażających, nie znikną z powierzchni Ziemi. Zdarzać się będą jednak coraz rzadziej. Nasze zdobycze będą coraz to liczniejsze; lecz będą się składać w coraz większym stopniu z tandety — tandety, którą dawniej rzucilibyśmy na pożarcie Cerberowi i psom piekielnym, jako niezdatnej do diabelskiej konsumpcji. I są tutaj dwie rzeczy, które chcę, abyście w związku z tym zrozumieli. Po pierwsze, że jakkolwiek może się to wydawać przygnębiające, jest to w gruncie rzeczy zmiana na lepsze. A po drugie,

chciałbym, abyście zwrócili waszą uwagę na sposoby, którymi zostało to osiągnięte.

To jest naprawdę zmiana na lepsze. Wielcy (i apetyczni) grzesznicy są ulepiani z tego samego tworzywa, co te straszne kurioza — wielcy Święci. Całkowity zanik takiego tworzywa może dla nas oznaczać nieciekawą wikt. Lecz czy nie oznacza to również bezgranicznej frustracji i klęski głodu dla Nieprzyjaciela? Nie stworzył On ludzi — nie stał się jednym z nich i nie umarł wśród nich w torturach — po to, by produkować kandydatów do Otchłani; ludzi „zbankrutowanych”. Chciał uczynić Świętych; bogów; stworzenia podobne do Niego. Czyż nieatrakcyjność waszej obecnej kuchni nie jest bardzo niewielką ceną, którą trzeba zapłacić za rozkoszną świadomość, że cały Jego wielki eksperyment stopniowo zawodzi? Lecz nie tylko to. W miarę jak wielcy grzesznicy trafiają się coraz rzadziej, a większość ztraca wszelką indywidualność, ci wielcy grzesznicy stają się dla nas o wiele bardziej efektywnymi agentami. Każdy dyktator czy nawet demagog — prawie każda gwiazda filmowa lub piosenkarz — może obecnie pociągnąć za sobą dziesiątki tysięcy tych ludzkich owiec. Gotowe są oddać się im bez reszty; a poprzez nich, nam. Może nadejść czas, kiedy zupełnie nie będziemy musieli trudzić się i n d y w i d u a l n y m kuszeniem, poza kuszeniem tych nielicznych. Pochwycić tego, który nosi dzwonek, a całe stado pójdzie za nim.

Lecz czy zdajecie sobie sprawę z tego, w jaki sposób udało nam się zredukować tak wielu osobników ludzkiej rasy do poziomu zerowego? To nie zdarzyło się przez przypadek. Jest to nasza odpowiedź — i to wspaniała odpowiedź — na jedno z najpoważniejszych wyzwań, jakiemu kiedykolwiek musieliśmy stawić czoło.

Pozwólcie, że przypomnę wam, jak wyglądała sytuacja ludzkości w drugiej połowie dziewiętnastego wieku — w okresie, kiedy przestałem być Kusicielem w służbie czynnej i kiedy powierzono mi w nagrodę stanowisko w administracji. Wielki ruch społeczny na rzecz wolności i równości znajdował się w pełni rozkwitu i miał już za sobą trwałe osiągnięcia. Niewolnictwo zostało obalone. Amerykańska wojna o niepodległość wygrana. Powiodła się Rewolucja Francuska. Prawie wszędzie przybierała na sile tolerancja religijna. W ruchu tym tkwiło początkowo wiele elementów, które nam sprzyjały. Niósł on ze sobą dużą domieszkę ateizmu, antyklerykalizmu, dużo zawiści i chęci zemsty,

a nawet nieco (raczej absurdalnych) prób przywrócenia pogaństwa. Nie było rzeczą łatwą zdecydować, jaką w takiej sytuacji powinniśmy zająć postawę. Z jednej strony bolesnym ciosem dla nas było — i w dalszym ciągu jest — to, że każdy głodny człowiek ma być nakarmiony i że wszyscy dźwigający od dawna na sobie jarzmo, mają być od niego uwolnieni. Lecz z drugiej strony, w ruchu tym zdarzały się tak liczne odstępstwa od wiary, tyle tam było materializmu, sekularyzmu i nienawiści, iż uważaliśmy, że powinniśmy go popierać.

U schyłku wieku sytuacja była o wiele prostsza, lecz zarazem o wiele bardziej złowieszcza. Na angielskim odcinku (gdzie odbywałem większość mojej służby liniowej) zdarzyła się rzecz strasza. Nieprzyjaciel, za pomocą swego typowego żonglerstwa, przywłaszczył sobie w znacznym stopniu ten postępowy czy też liberalizujący ruch i skierował go ku własnym celom. Pozostało w tym ruchu bardzo mało z jego uprzednio wrogiego nastawienia do chrześcijaństwa. Szerzyło się bardzo niebezpieczne zjawisko zwane socjalizmem chrześcijańskim. Właściciele fabryk dawnego dobrego pokroju, którzy bogacili się na wyzysku robotników, zamiast ginąć z ich ręki — moglibyśmy to wykorzystać — spotykali się z dezaprobatą ze strony swej własnej klasy. Bogaci coraz częściej rezygnowali ze swoich zdobyczy nie w obliczu groźby rewolucji i przymusu, lecz kierując się głosem własnego sumienia. Jeśli chodzi o ludzi biednych, którzy na tym skorzystali, to zachowaniem swoim zawiedli w najwyższym stopniu. Zamiast wykorzystać swoje nowe uprawnienia — jak się tego słusznie spodziewaliśmy i liczyliśmy na to — do urządzania rzezi, gwałtów, plądrowania czy choćby do nałogowego upajania się alkoholem, w sposób przewrotny skierowali oni cały swój wysiłek na to, by stać się bardziej schludni, bardziej zorganizowani, bardziej oszczędni, bardziej wykształceni, a nawet bardziej cnotliwi. Wiercie mi, mości diabły, że groźba czegoś w rodzaju zupełnie zdrowego stanu społeczeństwa wydawała się wówczas całkowicie poważna.

Dzięki naszemu Ojcu z Otchłani groźba została odwrócona. Nasz kontratak przebiegał na dwóch poziomach. Na najgłębszym poziomie nasi spece potrafili w pełni ożywić jeden z elementów tego ruchu, który tkwił w nim od zarania. W samym centrum tego ruchu wolnościowego kryła się zarazem głęboka nienawiść do wolności osobistej. Pierwszym, który ją dostrzegł, był ów nieoceniony człowiek: Rousseau. W jego idealnej demokracji, jak pamiętacie, dozwolona jest tylko religia państwowa,

przywrócone zostaje niewolnictwo, a człowiek poinformowany zostaje o tym, że naprawdę pragnął on tego wszystkiego (choć nie zdawał sobie z tego sprawy), co każe mu czynić władza. Biorąc to za punkt wyjścia, wykorzystując po drodze Hegla (jeszcze jeden niezastąpiony propagandzista po naszej stronie), wpadliśmy łatwo na sposób zorganizowania państwa zarówno nazistowskiego, jak i komunistycznego. Nawet w Anglii odnieśliśmy spore sukcesy. Onegdaj słyszałem, że w kraju tym człowiek nie może, bez pozwolenia, ściąć własnego drzewa swoją własną siekierą, pociąć go na deski swoją własną piłą i zbudować z tych desek we własnym ogrodzie szopy na narzędzia.

Tak wyglądał nasz kontratak na jednej płaszczyźnie. Wam, którzy dopiero zaczynacie, nie będzie się powierzać tego rodzaju pracy. Powierzy wam się stanowiska Kusicieli pojedynczych osób. Nasz kontratak przeciwko nim, lub poprzez nich, przybiera inną formę.

D e m o k r a c j a to jest słowo, za pomocą którego musicie ich wodzić za nos. Osiągnięcia naszych ekspertów od językoznawstwa, pracujących nad korupcją ludzkiego języka, są wystarczająco znane, by trzeba wam jeszcze przypominać, że nie należy im nigdy pozwolić na to, aby nadali temu słowu jasne i precyzyjne znaczenie. Nie zrobią tego. Nie przyjdzie im nigdy do głowy, że d e m o k r a c j a w sensie prawidłowym jest nazwą systemu politycznego, nawet systemu głosowania, i że ma to tylko bardzo odległy i nikły związek z tym, co wy usiłujecie im sprzedać. Ani, oczywiście, nie należy im nigdy pozwolić na postawienie sobie arystotelesowskiego pytania czy „postępowanie demokratyczne” oznacza postępowanie, które demokracje lubią, czy też postępowanie, które ustrzeże demokrację. Bo gdyby sobie je postavili, to nie mogłoby im nie przyjść do głowy, że to nie musi oznaczać tego samego.

Słowa tego używać macie wyłącznie w jego znaczeniu magicznym; jeśli wolicie — jedynie dla jego atrakcyjności. Jest to słowo, dla którego żywią oni głęboki szacunek. Wiąże się to, oczywiście, z politycznym ideałem, zakładającym, że ludzie powinni być traktowani jednakowo. Do was zaś należy, by niepostrzeżenie ideał ten przekształcić w ich umysłach w niezachwiane przekonanie, że wszyscy ludzie są równi. A szczególnie człowiek, którym się opiekujecie. W rezultacie możecie posługiwać się słowem d e m o k r a c j a, by usankcjonować w jego myślach to najbardziej degradujące (a zarazem najmniej przyjemne) ze wszystkich ludzkich uczuć. Możecie go doprowadzić do takiego

postępowania, praktykowanego nie tylko bez żenady, lecz z poczuciem wewnętrznego żarliwego przekonania, które gdyby nie było chronione przez to magiczne słowo, byłoby powszechnie wyśmiane.

Uczucie, które mam na myśli, to oczywiście to, które powoduje, że człowiek mówi *j e s t e m r ó w n i e d o b r y j a k t y*.

Pierwszą i rzucającą się w oczy korzyścią jest to, że doprowadza się go do tego, iż umieszcza on na piedestale, w samym centrum swego życia, pocziwe, solidne i wierutne kłamstwo. Nie mam na myśli jedynie tego, że twierdzenie jego jest samo w sobie fałszywe, że nie jest on bardziej równy każdej napotkanej osobie pod względem uprzejmości, uczciwości czy zdrowego rozsądku niż pod względem wzrostu czy obwodu w talii. Chcę tu powiedzieć, że on sam w to nie wierzy. Żaden człowiek, który mówi *j e s t e m r ó w n i e d o b r y j a k t y*, nie wierzy w to. Gdyby w to wierzył, nie powiedziałby tego. Pies z Przełęczu św. Bernarda nie powie tego nigdy do pieska pokojowego ani uczony do nieuka, ani człowiek pracy do próżniaka, czy ładna kobieta do kobiety pozbawionej urody. Pretensje do równości, poza sferą ściśle polityczną, wysuwane są tylko przez tych, którzy czują, że pod jakimś względem nie dorównują innym. Wyrażają one dokładnie to dojmujące, bolesne i męczące poczucie niższości, której pacjent nie chce uznać.

I dlatego oburza się. Tak, i dlatego oburza się na każdy przejaw wyższości u innych; poniża ją; pragnie jej unicestwienia. Wkrótce zaczyna podejrzewać każdą zwyczajną różnicę o chęć okazania wyższości. Nikt nie powinien różnić się od niego głosem, ubiorem, zwyczajami, sposobem spędzania wolnego czasu, gustem kulinarnym. „Oto ktoś, kto mówi po angielsku wyraźniej i bardziej eufonicznie niż ja — jest to niewątpliwie nikczemna, zarozumiała, pretensjonalna afektacja. Oto jegomość, który mówi, że nie lubi hot dogów — uważa się niewątpliwie za kogoś o zbyt wybrednym podniebieniu, by mógł je lubić. Oto mężczyzna, który nie włączył szafy grającej — musi być jednym z owych intelektualistów i postępuje tak, by to podkreślić. Gdyby byli ludźmi jak należy, nie różniliby się ode mnie. Nie mają żadnego powodu, by się różnić. Jest to niedemokratyczne”.

Otóż to korzystne zjawisko nie jest samo w sobie żadną miarą nowe. Pod nazwą „zazdrość” znane ono było ludziom od tysiący lat. Lecz do tej pory zazdrość uważano zawsze za najbrzydszą i również

za najkomiczniejszą wadę człowieka. Ci, którzy zdawali sobie sprawę z tego, że ją odczuwają, wstydzieli się tego; ci, którzy jej w sobie nie odczuwali, nie darowali jej innym. Rozkoszna oryginalność obecnej sytuacji polega na tym, że można ją usankcjonować — uczynić ją godną szacunku, a nawet chwalebną — za pomocą magicznego posługiwania się słowem *d e m o k r a t y c z n y*.

Pod wpływem tego magicznego słowa ci, którzy pod jakimkolwiek, lub pod każdym względem ustępują innym, mogą pracować z większym zapałem i z lepszym rezultatem nad tym, aby ściągnąć każdego innego w dół, do swego własnego poziomu. Lecz to nie wszystko. Z tego samego powodu ci, którzy są na dobrej drodze do tego, lub mają takie możliwości, by osiągnąć pełnię człowieczeństwa, w gruncie rzeczy wycofują się z obawy, by nie okazało się, że są *n i e d e m o k r a t y c z n i*. Posiadam wiarygodne informacje, że obecnie młodzi ludzie tłumią w sobie nieraz rodzące się u nich zamiłowanie do muzyki klasycznej lub dobrej literatury, ponieważ to mogłoby naruszyć ich zasadę niewyróżniania się spośród innych; że ludzie, którzy naprawdę chcieliby być — i otrzymują Łaskę, która umożliwiłaby im to, aby byli — ludźmi uczciwymi, czystymi czy też wstrzemięźliwymi, rezygnują z tego. Gdyby na to przystali, mogłoby ich to wyróżnić, mogłoby naruszyć przyjęty sposób życia, wyłączyć ich ze wspólnoty, osłabić ich integrację z grupą. Mogliby stać się (co za okropność!) indywidualnościami.

Wszystko to streszcza się w modlitwie, którą — jak donoszą — wypowiedziała ostatnio młoda kobieta: „Och Boże, spraw, abym była normalną dziewczyną dwudziestego wieku!” Dzięki naszej mozolnej pracy oznaczać to będzie w coraz większym stopniu: „spraw, abym była osobą swawolną, głupią i pasożytem”.

Tymczasem, jako rozkoszny produkt uboczny, nieliczni (z każdym dniem mniej liczni), którzy oprą się normalności, regularności, niewyróżnianiu się i integracji, wykazują w rzeczy samej w coraz to większym stopniu tendencję do stawiania się zarozumialcami i dziwakami, takimi, za jakich pospółstwo by ich tak czy owak uważało. Podejrzewanie bowiem rodzi często fakty. („Skoro niezależnie od tego, co będę czynił, sąsiedzi i tak podejrzewać będą, że jestem przeciwnikiem politycznym lub agentem komunistycznym, to równie dobrze mogę naprawdę kimś takim zostać”). W rezultacie mamy obecnie warstwę inteligencji, która aczkolwiek niezbyt liczna, jest bardzo pożyteczna dla sprawy Piekła.

Lecz to tylko produkt uboczny. To, na czym chcę skupić waszą uwagę, to ten wielki, ogólny ruch w kierunku dyskredytacji i ostatecznie eliminacji wszelkiego rodzaju doskonałości u człowieka — moralnej, kulturalnej, społecznej czy intelektualnej. I czyż nie jest rzeczą przyjemną zauważyć, jak d e m o k r a c j a (w jej sensie magicznym) wykonuje obecnie za nas tę pracę, którą niegdyś wykonywały starożytne dyktatury, i to tymi samymi metodami? Pamiętacie, jak jeden z greckich dyktatorów (wówczas nazywano ich „tyranami”) wysłał swego posła do drugiego dyktatora, by prosić go o radę w sprawie zasad rządzenia. Drugi dyktator zaprowadził posła na pole, na którym rosło zboże, i tam odcinał trzcina wierzchołek każdego źdźbła wyrastającego około cala ponad ogólny poziom. Morał był oczywisty. Nie pozwalać, aby ktokolwiek z poddanych się wyróżniał. Nie dać szansy życia nikomu, kto jest mądrzejszy, lepszy lub bardziej znany, lub nawet urodziwszy od masy pozostałych. Należy wszystkich przycinać do jednakowego poziomu; wszyscy niewolnikami, wszyscy pozbawieni osobowości, wszyscy kompletnymi zerami. Wszyscy równi. W ten sposób tyrani mogli, w pewnym sensie, praktykować „demokrację”. Lecz dzisiaj „demokracja” może pełnić tę samą rolę bez potrzeby odwołania się do jakichkolwiek innych form tyranii poza jej własną. Nikt nie musi chodzić po polach z kijem. Małe źdźbła nie przymuszane przez nikogo, odgryzać będą wierzchołki źdźbeł dorodnych. Dorodne zaczynają odgryzać swe własne wierzchołki w swym dążeniu do niewyróżniania się spośród innych źdźbeł.

Powiedziałem, że doprowadzenie do potępienia tych miernych dusz, tych istot, które prawie już straciły swą indywidualność, jest rzeczą żmudną i wymagającą wielu zręcznych zabiegów. Lecz jeśli się do tego przyłożyć i wysilić wszystkie swe umiejętności, to można, z dużą dawką nadziei, liczyć na pozytywny rezultat. Wielcy grzesznicy w y d a j ą s i ę łatwiejszą zdobyczą. Z drugiej strony są oni jednak nieobliczalni. Po siedemdziesięciu latach pomyślnego rozgrywania ich partii w siedemdziesiątym pierwszym Nieprzyjaciół może wyrwać ich z waszych szponów. Rzecz polega na tym, że są oni zdolni do prawdziwej skruchy. Są świadomi realnej winy. Jeśli sprawy przybierają zły obrót, będą oni tak samo gotowi przeciwstawić się naciskom otoczenia przez wzgląd na Nieprzyjaciela, jak gotowi byli czynić to przez wzgląd na nas. Pod pewnymi względami bardziej kłopotliwą rzeczą jest dopaść i pacnąć

umykającą osę niż zastrzelić z bliskiej odległości słonia. Lecz słoń jest bardziej kłopotliwy, jeśli się chybi.

Moje własne doświadczenia pochodzą, jak to już wzmiankowałem, z sektora angielskiego i w dalszym ciągu otrzymuję więcej wiadomości z tego odcinka niż z jakiegokolwiek innego. Być może, że to, co zamierzam teraz powiedzieć, nie będzie się stosowało w jednakowym stopniu do sektorów, w których niektórzy z was będą pracować. Lecz kiedy się tam znajdziecie, będziecie to mogli dopasować do zastanej sytuacji. Prawie z całą pewnością jakieś zastosowanie to znajdzie. Jeśli będzie niewielkie, musicie pracować nad tym, by kraj, na odcinku którego działacie, upodobnić bardziej do tego, czym Anglia już jest.

W tym obiecującym kraju duch nastawienia j e s t e m r ó w n i e d o b r y j a k t y t o już więcej niż ogólnospołeczne oddziaływanie. Zaczyna on torować sobie drogę do systemu edukacyjnego tego kraju. Jak daleko te oddziaływania w chwili obecnej zaszły, nie chciałbym się na ten temat jednoznacznie wypowiadać. Nie o to zresztą chodzi. Z chwilą gdy się raz uchwyci tę tendencję, można łatwo przewidzieć jej przyszły rozwój; tym bardziej, że my odegramy swoją rolę w jej rozwoju. Założeniem podstawowym nowego systemu edukacji ma być niedopuszczenie do tego, by nieuki i wałkonie czuli się kimś pośledniejszym niż uczniowie inteligentni i pracowici. To byłoby „niedemokratyczne”. Różnice istniejące pomiędzy uczniami — bo są to oczywiste i gołym okiem widoczne różnice o s o b o w o ś c i o w e — muszą być zatuszowane. Można to robić na różnych poziomach. Na studiach uniwersyteckich egzaminy mają być tak prowadzone, by prawie każdy student mógł uzyskać dobre stopnie. Egzaminy wstępne winny być przeprowadzane w ten sposób, by każdy, lub prawie każdy obywatel mógł dostać się na uniwersytet, niezależnie od tego, czy może (lub chce) wynieść z wyższych studiów jakieś korzyści, czy nie. W szkołach dzieci, które są za mało inteligentne lub zbyt leniwe, by uczyć się języków, matematyki i podstaw wiedzy o świecie, mogą być zatrudniane do wykonywania rzeczy, które dzieci zazwyczaj lubiły w wolnych chwilach robić. Niech na przykład zajmują się lepieniem babek z piasku i niech nazywają to modelowaniem. Cały czas nie powinno się jednak czynić najlżejszej aluzji, że ustępują one dzieciom, które w tym czasie się uczą. Jakkolwiek nonsensowne byłoby to, czym się zajmują, musi to posiadać — wydaje mi się, że Anglicy używają już tego określenia — „parytet ważności”. Nie

należy wykluczyć nawet bardziej drastycznego planu postępowania. Dzieci zdolne do tego, by przejść do wyższej klasy, mogą być sztucznie przetrzymywane, ponieważ pozostałe dzieci mogłyby doznać p r z e ż y c i a t r a u m a t y c z n e g o — o Blezebubie, co za pozytywne słowo! — przez to, że zostały w tyle. Bystry uczeń pozostaje w ten sposób, w całym okresie nauki szkolnej, przykuty demokratycznie do swej grupy wiekowej, a chłopak, który mógłby zabrać się do Ajschylosa czy Dantego, siedzi słuchając, jak jego rówieśnicy usiłują sylabizować WLAZŁ KOTEK NA PŁOTEK.

Krótko mówiąc, istnieją podstawy ku temu, by oczekiwać, że z chwilą gdy postawa j e s t e m r ó w n i e d o b r y j a k t y przyjmie się powszechnie, kształcenie w prawdziwym tego słowa znaczeniu zostanie zaniechane. Wszelkie bodźce skłaniające do uczenia się i wszelkie sankcje stosowane za nieuczenie się znikną. Nieliczni, którzy chcieliby się uczyć, będą pozbawieni takich możliwości; kimże oni są, by wyrastać ponad swych kolegów? A w każdym razie nauczyciele — lub może powinienem powiedzieć niańki? — będą zbyt zajęci uspokajaniem nieuków i poklepywaniem ich po ramieniu, by tracić czas na prawdziwe nauczanie. Nie będziemy już musieli planować i trudzić się wokół tego, by szerzyć wśród ludzi niezachwianą zarozumiałość i nieuleczalną ignorancję. Ta niedorośła gawiedź sama to za nas robi.

Oczywiście nie doszłoby do tego, gdyby cały system szkolnictwa nie przeszedł w ręce państwa. Lecz przejdzie. Jest to częścią składową tego samego ruchu. Nałożenie specjalnie zaplanowanych w tym celu podatków likwiduje klasę średnią, klasę, która była gotowa oszczędzać, ponosić koszty i poświęcać się po to, by kształcić swe dzieci w szkołach prywatnych. Pomijając fakt, że wiąże się to z zaniechaniem kształcenia, usunięcie tej klasy jest szczęśliwym i nieuniknionym rezultatem wynikającym z ducha owego j e s t e m r ó w n i e d o b r y j a k t y. Była to mimo wszystko grupa społeczna, która dawała ludzkości przytłaczającą większość jej uczonych, lekarzy, filozofów, teologów, poetów, artystów, kompozytorów, architektów, prawników i organizatorów. Jeśli kiedykolwiek istniała wiązka dorodnych żdźbeł domagająca się obciążenia im ich wierzchołków, to z całą pewnością byli to ci właśnie ludzie. Jak to zauważył niedawno jeden z angielskich polityków: „Demokracja nie domaga się wybitnych osobistości”.

Na próżno byłoby żądać od takiego jegomościa wyjaśnienia czy przez d o m a g a s i ę rozumie on „potrzebuje”, czy „chce”. Lecz dla nas sprawa powinna być jasna. Wyłania się tu bowiem ponownie problem Arystotelesa.

My tutaj w Piekło powitaliśmy z zadowoleniem zanik demokracji w ścisłym tego słowa znaczeniu: porządku politycznego o takiej nazwie. Tak jak każdy ustrój, pracuje ona często na naszą korzyść; lecz na ogół rzadziej niż inne formy ustrojowe. Musimy sobie zdawać sprawę z tego, że „demokracja” w diabolicznym sensie tego słowa (j e s t e m r ó w n i e d o b r y j a k t y, niewyróżnianie się spośród innych, zespołowość) jest najdoskonalszym instrumentem spośród tych, które mogłyby wchodzić w rachubę dla wyplenienia demokracji politycznych z powierzchni Ziemi.

„Demokracja” lub „postawa demokratyczna” (w znaczeniu diabolicznym) prowadzi bowiem w kierunku pojawienia się narodu bez ludzi wybitnych, narodu składającego się w swej przeważającej części z półanalfabetów, moralnie słabego z braku dyscypliny w młodym wieku, pełnego zadufania, wynikającego z pochlebstwa i ignorancji, zniewieściałego dzięki rozpieszczaniu go przez całe życie. I to jest to, czym Piekło pragnie widzieć każdy naród demokratyczny. Bo gdy naród taki wejdzie w konflikt z narodem, gdzie od dzieci w szkole wymagano pracy, gdzie wysoko sobie cenią talent i gdzie rzeszy ignorantów nie dopuszcza się do decydowania o sprawach państwowych, rezultat jest łatwy do przewidzenia.

Jeden z krajów demokratycznych był ostatnio zaskoczony, kiedy doszedł do wniosku, że Rosja wyprzedziła go w nauce. Co za wyborny przykład ludzkiej ślepoty! Jeśli ich społeczeństwo powszechnie nastawione jest wrogo wobec wszelkich przejawów wyższości, to na jakiej podstawie spodziewali się, że ich uczeni będą przodować?

Naszym zadaniem jest popierać zachowania, maniery, postawy umysłowe, które demokracje z natury swej lubią i w których gustują, ponieważ to są właśnie te rzeczy, które, jeśli im się nie przeszkodzi, zniszczą demokrację. Można by się temu nawet dziwić, że ludzie sami tego nie dostrzegają. Nawet jeśli nie czytają Arystotelesa (byłoby to niedemokratyczne), można by się było spodziewać, że Rewolucja Francuska nauczy ich, iż zachowania, które arystokraci z natury swej lubią, nie są zachowaniami, które chronią arystokrację od zguby. Gdyby

to dostrzegli, mogliby odnieść tę samą zasadę do wszystkich form ustrojowych.

Lecz nie chciałbym kończyć na tej uwadze. Nie chciałbym — niech Piekło broni! — utwierdzać w waszych umysłach tego bałamutnego przeświadczenia, które wy powinniście starannie pielęgnować w umysłach waszych ludzkich ofiar. Mam na myśli złudne przeświadczenie, że los narodów jest s a m w s o b i e ważniejszy niż los pojedynczych dusz. Obalanie wolnych narodów i tworzenie państw opartych na niewolnictwie jest dla nas jednym ze środków (oprócz tego, oczywiście, że jest to zabawne); natomiast prawdziwym celem jest niszczenie jednostek. Tylko bowiem jednostki mogą być zbawione lub potępione, mogą stać się synami Nieprzyjaciela lub żerem dla nas. Dla nas ostateczna wartość każdej rewolucji, wojny czy klęski głodu leży w tym, że mogą stać się one źródłem udręki, zdrady, nienawiści, gniewu i rozpaczyny pojedynczych ludzi. Zasada j e s t e m r ó w n i e d o b r y j a k t y jest użytecznym środkiem do niszczenia społeczeństw demokratycznych. Lecz posiada ona daleko głębszą wartość jako cel sam w sobie, jako stan umysłu, który z konieczności wykluczając pokorę, miłosierdzie, zadowolenie i każdą radość wynikającą z poczucia wdzięczności czy podziwu, odwodzi ludzką istotę niemal od każdej drogi, która mogłaby ją ostatecznie doprowadzić do Nieba.

Lecz teraz przechodzę do najprzyjemniejszej części mojej powinności. Przypada mi zaszczyt zaproponować w imieniu gości toast za zdrowie przewodniczącego Slubgoba i zespołu pedagogicznego Szkoły Kunsztu Kuszenia. Napełnijcie swoje szklanice. Lecz cóż to jest, co ja widzę? Cóż to za wyborny bukiet wina, którego woń wdycham? Czyż to możliwe? Panie Przewodniczący, cofam moje wszystkie przykre uwagi na temat obiadu. Widzę i czuję, że nawet w warunkach wojennych piwnica Szkoły zaopatrzona jest w kilka tuzinów mocnego F a r y z e u s z a starego rocznika. No, no, no. Przypomina to dawne czasy. Przybliżcie na moment szklanice do waszych nozdrzy, mości diabły. Potrzymajcie je pod światło. Przyjrzyjcie się tym ognistym smugom, które się wiją i kłębią, jak gdyby się ze sobą zmagaly. I tak rzeczywiście jest. Czy wiecie, jak sporządzano to wino? By otrzymać ten subtelny aromat, zebrano plon różnych typów faryzeuszy, udeptano i wspólnie fermentowano. Typów, które na Ziemi były nastawione względem siebie najbardziej antagonistycznie. Jedni nie dostrzegający niczego poza przepisami, relikwiami i różańcami; inni nie

dbający o ubiór, o posępnym wyrazie twarzy, kultywujący pomniejsze formy abstynencji od wina, kart czy teatru. Wspólną cechą obu typów był ich faryzeizm oraz niemal nieskończony dystans dzielący ich poglądy od tego, czym jest lub nakazuje być Nieprzyjaciel. Niemoralność innych religii była w religii każdego z nich jedyną żywą doktryną; zniesławienie stanowiło jej ewangelię, a obmowy jej litanię. Jakże oni się wzajemnie nienawidzili tam na górze, pod słonecznym niebem. W jakże większym stopniu nienawidzą się wzajemnie teraz, gdy są na zawsze połączeni, lecz nie pojednani. Ich zaskoczenie, ich oburzenie z powodu takiej kombinacji oraz jęcząca się po wsze czasy nieprzejednana złośliwość, wszystko to oddziaływać będzie jak ogień na nasz duchowy system trawienny. Jak ciemny żar. Pomijając to wszystko, cośmy tu powiedzieli i przygotowali, muszę, moi koledzy, dodać, że będzie to dla nas niepomysłny dzień, jeżeli to, co większość ludzi rozumie przez „religię”, zniknie z powierzchni Ziemi. Może ona nam w dalszym ciągu dostarczać naprawdę wybornych grzechów. Dorodny kwiat bezbożności rozwijać się może tylko w bezpośrednim sąsiedztwie tego, co Święte. Nigdzie kuszenie nasze nie przynosi tak dobrych wyników, jak kuszenie u samych stopni ołtarza.

Wasza Imminencjo, Wasze Niełaskawości, moje Ciernie, Cienie i Diablewaszności: ofiarowuję wam toast — Przewodniczącego Ślubgoba i Szkoły!

Przypisy

[1] Der Räuberbräutigam

[2] Screwtape (przyp. red.)

[3] Scrooge — postać z książki Opowieść wigilijna Charlesa Dickensa; screw — śruba; thumbscrew — (hist.) jedno z narzędzi tortury; tapeworm — tasiemiec; red tape — biurokracja; slob — niechluj; slobber — ślinić; slubber — partaczyćć; gob — gęba (przyp. tłum.).

[4] Ze względu na użytą w pierwszym wydaniu książki formę „Krętacz” (zamiast angielskiego „Screwtape”) i zrozumiałość tej formy oraz jej popularność wśród polskich czytelników, Wydawnictwo — wbrew sugestiom Tłumacza — zdecydowało się na pozostawienie jej i w tym wydaniu (przyp. red.).